WIELKIE SERIE SF

ARTHUR C. CLARKE

RAMA

acclarke.pl

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Ludzkość 2130 roku opanowała już cały Układ Słoneczny i szykuje się do lotów ku bardziej odległym gwiazdom nie mając nadziei na odnalezienie “braci w rozumie”. Nieoczekiwanie w obszar obserwacji ziemskich astronomów trafia zadziwiający obiekt o idealnie równym kształcie walca.

“Rama”, bo tak nazwano planetoid, okazuje się dziełem istot rozumnych. Straż Kosmiczna wysyła natychmiast ekspedycję z misją zbadania gwiezdnego przybysza. Dowódcę, komandora Nortona i innych uczestników wyprawy czekają niezwykłe przeżycia i doświadczenia…

Powieść otrzymała nagrodę Nebula w 1973, nagrody Hugo, Campbell, Locus i Jupiter w 1974.

- Arthur C. Clarke
  - 1. Straż kosmiczna
  - 2. Intruz
  - 3. Rama i Sita
  - 4. Spotkanie
  - 5. Pierwsze kroki
  - 6. Komitet
  - 7. Dwie żony
  - 8. Wewnątrz Piasty
  - 9. Rekonesans
  - 10. Zejście w ciemność
  - 11. Mężczyźni, kobiety i małpy
  - 12. Schody bogów
  - 13. Równina Ramy
  - 14. Ostrzeżenie przed burzą
  - 15. Brzeg morza
  - 16. Kealakekua
  - 17. Wiosna
  - 18. Świt
  - 19. Ostrzeżenie z Merkurego
  - 20. Apokalipsa
  - 21. Po burzy
  - 22. Rejs po Morzu Cylindrycznym
  - 23. Nowy Jork, Rama
  - 24. Walka
  - 25. Dziewiczy lot
  - 26. Gkos Ramy

- 27. Wiatr elektryczny
- 28 Ikar
- 29. Pierwszy kontakt
- 30. Kwiat
- 31. Prędkość końcowa
- 32. Fala
- 33. Pająk
- 34. Jego ekscelencja żałuje…
- 35. Przesyłka specjalna
- 36. Obserwator biobotów
- 37. Pocisk
- 38. Zgromadzenie Ogólne
- 39. Decyzja dowódcy
- 40. Sabotażysta
- 41. Bohater
- 42. Saklam Świątynia
- 43. Odwrót
- 44. Napęd kosmiczny
- 45. Feniks
- 46. Interludium

Arthur C. Clarke
Spotkanie z Ramą

1. Straż kosmiczna

Wcześniej czy później to musiało się stać. 30 czerwca 1908 roku zagłada ominęła Moskwę tylko o trzy godziny i cztery tysiące kilometrów — odchylenie znikome według kryteriów wszechświata. I znów dnia 12 lutego 1947 roku inne miasto rosyjskie było jeszcze bliższe katastrofy, gdy spadł drugi meteoryt dwudziestego wieku w odległości niecałych czterystu kilometrów od Władywostoku, przy czym tej detonacji nie dałoby się porównać z wybuchem świeżo wynalezionej bomby atomowej.

W tamtych czasach człowiek nic nie potrafił zrobić, żeby uchronić się przed takimi przypadkowymi pociskami zabłąkanymi w bombardowaniu kosmicznym, które niegdyś poznaczyło lejami powierzchnię Księżyca. Meteoryty w roku 1908 i 1947 spadły na bezludzia; ale w następnym wieku nie było na Ziemi już ani jednego rejonu, mogącego służyć artylerii kosmicznej jako cel do nieszkodliwych ćwiczeń. Ludzkość rozprzestrzeniła się od bieguna do bieguna. Toteż nieuniknienie…

O godzinie 9.46 średniego czasu zachodnioeuropejskiego rano w dniu 11 września, pod koniec wyjątkowo pięknego lata roku 2077, większość mieszkańców Europy zobaczyła oślepiającą kulę ognia, która ukazała się na niebie od wschodu. W ciągu paru sekund jaśniejsza niż Słońce sunęła po niebie — zrazu cicho — pozostawiając za sobą rozwirowany słup dymu i pyłu.

Gdzieś nad Austrią zaczęła się rozpadać. Od grzmotów tych detonacji ponad milion osób ogłuchło całkowicie. To byli ci szczęśliwcy.

Tysiąc ton kamienia i metalu, sunąc z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na sekundę, gruchnęło na równiny północnych Włoch i w jednej płomiennej chwili praca stuleci obróciła się wniwecz. Padwa i Werona zostały zmiecione z powierzchni Ziemi, resztki chwały Wenecji zginęły w morzu, gdy wody Adriatyku z hukiem zalały ląd po tym uderzeniu z kosmosu.

Śmierć poniosło sześćset tysięcy ludzi, ogólne szkody oceniono na sumę ponad tryliona dolarów. Ale na polu sztuki. historii i nauki cała ludzkość — po wieki wieków poniosła straty nieobliczalne i niepowetowane, jak gdyby w ciągu jednego poranka stoczono i przegrano jakąś wielką wojnę, i mało kto mógł czerpać przyjemność z faktu, że jeszcze przez długie miesiące, podczas gdy pył zagłady powoli opadał, cały świat oglądał świty i zachody słońca najwspanialsze od czasów wybuchu Krakatau.

Po pierwszym wstrząsie ludzkość — jak nigdy dotąd, w żadnym stuleciu — zjednoczyła się, zdeterminowana. Zdawała sobie sprawę,

że taka katastrofa może nie po

wtórzyć się przez tysiąc lat, ale też może powtórzyć się już jutro. A następnym razem pociągnie to skutki jeszcze straszliwsze.

Dobrze: nie będzie następnego razu.

Sto lat przedtem świat, znacznie uboższy, dysponujący mniejszymi zasobami, marnował swoje bogactwa, usiłując niszczyć broń, wypuszczoną samobójczo przez ludzkość przeciwko ludzkości. Tych wysiłków nigdy nie uwieńczył sukces, ale nabyte wówczas doświadczenie nie poszło w niepamięć. Teraz można było je wykorzystać w szlachetniejszym celu i wobec nieskończenie większej widowni. Żaden meteoryt dostatecznie duży, żeby spowodować nieszczęście, nie miał przedrzeć się przez zaporę obronną Ziemi.

Tak powstał projekt Straży Kosmicznej. Pięćdziesiąt lat później, w okolicznościach, jakich żaden z projektantów nie mógł przewidzieć, uzasadnił swoje istnienie.

2. Intruz

W roku 2130, dzięki urządzeniom radarowym zainstalowanym na Marsie, wykrywano nowe asteroidy mniej więcej po dwanaście dziennie. Komputery Straży Kosmicznej automatycznie obliczały ich orbity i w swoich przepastnych pamięciach magazynowały informacje, tak żeby co kilka miesięcy każdy zainteresowany astronom mógł mieć wgląd w nagromadzone dane. Dane te były już imponujące.

Przez sto dwadzieścia parę lat, od czasu gdy akurat pierwszego dnia dziewiętnastego wieku odkryto Ceres, największy z tych maleńkich światów, wykrywano pierwszy tysiąc asteroid. Setki ich znajdowano i gubiono, i znajdowano znowu — takie roje, że pewien rozjątrzony astronom nazwał je "robactwem wszechświata". Bardzo by się przeraził, gdyby wiedział, że liczba asteroid, śledzonych teraz przez Straż Kosmiczną, wynosi pełne pół miliona.

Tylko pięć olbrzymów — Ceres, Pallas, Junona, Eunomia i Westa — miało ponad dwieście kilometrów średnicy; przeważnie asteroidy były po prostu monstrualnymi głazami o rozmiarach niedużego parku. Prawie wszystkie krążyły po orbitach poza Marsem; zaledwie kilka — te, które posunęły się w kierunku Słońca na tyle, by stanowić ewentualne niebezpieczeństwo dla Ziemi — interesowało Straż Kosmiczną. I ani jedna z całego tysiąca na przestrzeni dalszej historii Układu Słonecznego nie miała zbliżyć się do Ziemi na odległość mniejszą niż milion kilometrów.

Obiekt figurujący z początku w katalogu jako 31/439 (co oznaczało rok łamany przez kolejny numer odkrycia) wypatrzono, gdy jeszcze znajdował się poza orbitą Jowisza. Nie było nic niezwykłego w jego położeniu: wiele asteroid przesuwało się poza Saturna, zanim skręciło w stronę swego dalekiego słońca. A Thule II, mając najdalszy zasięg, kręciła się tak blisko Urana, że równie dobrze mogłaby być zabłąkanym księżycem tej planety.

Ale pierwszy kontakt radarowy na taką odległość był bez precedensu; najwidoczniej 31/439 musiała mieć niezwykłe rozmiary. Z siły echa komputery wydedukowały, że jej średnica mierzy co najmniej czterdzieści kilometrów. Takiego olbrzyma wykryto po raz pierwszy od stu lat. To, że przeoczano go tak długo, wydawało się wprost niewiarygodne.

Obliczono orbitę i rozwiązano tę zagadkę, po czym wyłoniła się zagadka jeszcze większa. 31/439 nie sunęła normalnym szlakiem asteroid po elipsie, odtwarzanej z dokładnością mechanizmu zegarowego co kilka lat. Ten samotny wędrowiec wśród gwiazd składał w Układzie Słonecznym swoją wizytę pierwszą i ostatnią; sunął tak szybko, że pole grawitacyjne Słońca nigdy nie mogłoby go

zatrzymać. Pędził w głąb Układu Słonecznego poprzez orbity Jowisza, Marsa, Ziemi, Wenus i Merkurego, przy każdym z nich zwiększając prędkość, aż miał zatoczyć krąg wokół Słońca i skierować się znowu w nieznane.

W tej właśnie chwili komputery zaczęły błyskami nadawać swój sygnał: “Hej, wy tam! Mamy coś ciekawego!” i dlatego 31/439 zainteresowała istoty ludzkie. W Kwaterze Głównej Straży Kosmicznej zrobił się hałas i temu międzygwiezdnemu włóczędze raz dwa nadano godność, określając go nazwą, a nie, jak dotąd, tylko numerem. Dawno już astronomowie wykorzystali wszystkie nazwy z mitologii greckiej i rzymskiej; teraz czerpali z panteonu hinduskiego. Tak więc asteroida numer 31/439 została nazwana Ramą.

Przez kilka dni wszystkie środki przekazu wywołały doniesieniami o tym gościu wielką sensację, ale sprawę bardzo utrudniała znikomość danych. Wiedziano tylko, że Rama porusza się po niezwykłej orbicie, oraz z grubsza znano jej rozmiary. I to były tylko domysły, wysnute na podstawie echa radarowego. Rama oglądana przez teleskop nadal wydawała się słabą gwiazdką piętnastej wielkości — znacznie za małą, żeby ukazywać się jako wyraźny krążek. Ale zmierzając w kierunku serca Układu Słonecznego, miała nabierać mocy, coraz większa i jaśniejsza z miesiąca na miesiąc, zanim zniknie na zawsze. Orbitujące obserwatoria miały przekazywać bardziej dokładne informacje o jej kształcie i rozmiarach. Czasu było mnóstwo i w ciągu następnych kilku lat mogło się zdarzyć, że jakiś statek kosmiczny na zwykłej swojej trasie będzie przelatywał dość blisko Ramy, żeby zrobić dobre fotografie. Bezpośrednie zbliżenie wydawało się nieprawdopodobne: zbyt dużo kosztowałoby paliwo, potrzebne na zrównanie się z obiektem przecinającym orbity planet z prędkością ponad stu tysięcy kilometrów na godzinę.

Świat wkrótce zapomniał o Ramie, ale astronomowie nie zapomnieli. Z biegiem miesięcy ich podniecenie wzrastało; nowa asteroida stawała się coraz większą zagadką.

Przede wszystkim zastanawiano się nad jasnością Ramy. Zmian natężenia światła nie było.

Światło wszystkich bez wyjątku znanych asteroid ulegało powolnym zmianom — przybywało go i ubywało w przeciągu kilku godzin. Przed dwustu laty z górą uznano, że to jest nieunikniony skutek ruchu wirowego i nierówności kształtów. Asteroida sunąc po swej orbicie wciąż się obraca i wciąż inną powierzchnią zwrócona jest do Słońca, którego jasność tym samym odbija wciąż inaczej.

Otóż Rama nie wykazywała takich wahań. Albo nie kręciła się wcale, albo była symetryczna. Oba te tłumaczenia jednak wydawały się równie mało prawdopodobne.

Sprawa pozostawała w zawieszeniu przez kilka miesięcy, ponieważ nie można było żadnego z dużych orbitujących teleskopów odrywać od stałej obserwacji dalekich przestworzy wszechświata. Astronomia kosmiczna to bardzo drogie hobby: czas korzystania z cennego instrumentu kosztuje, lekko licząc, tysiąc dolarów za minutę. Doktor William Stenton nigdy by nie mógł dysponować dwustumetrowym zwierciadłem dalekiego zasięgu przez pełne piętnaście minut, gdyby nie to, że przeprowadzanie jakiegoś ważniejszego programu uległo chwilowej zwłoce, bo zawiódł któryś z kondensatorów po pięćdziesiąt centów sztuka. Pech jednego astronoma okazał się szczęśliwym trafem dla innego.

Bill Stenton nie wiedział, co zaobserwował, dopóki nie docisnął się nazajutrz do komputera. Nawet wtedy, gdy rezultaty w końcu błysnęły na ekranie, dopiero po długiej chwili zrozumiał ich znaczenie.

Blask Słońca, który odbijała Rama, nie miał stałego natężenia. Było pewne małe, regularne wahanie trudne do wykrycia, ale stwierdzone nieomylnie. Jak wszystkie inne asteroidy Rama rzeczywiście się obracała. Jednakże podczas gdy normalny “dzień” asteroidy trwał kilka godzin, “dzień” Ramy ograniczał się do czterech zaledwie minut.

Doktor Stenton szybko zrobił obliczenia i wprost nie mógł uwierzyć w ich wynik. Ten maleńki światek kręcił się z prędkością obwodową wynoszącą na równiku ponad tysiąc kilometrów na godzinę, tak że byłoby raczej nieroztropnie próbować lądowania gdziekolwiek poza biegunami. Siła odśrodkowa równika Ramy na pewno odrzuciłaby każdy nie przytwierdzony obiekt z przyspieszeniem prawie równym ziemskiemu. Rama była kręcącym się głazem, do którego nigdy nie przywarło ani trochę kosmicznego mchu; to zdumiewające, że takie ciało nie rozpadło się i nie krążyło już od dawna w milionach kawałków.

Obiekt o średnicy czterdziestu kilometrów, z okresem obrotu wynoszącym tylko cztery minuty — gdzież coś takiego umieścić w astronomicznym układzie rzeczy? Doktor Stenton był człowiekiem obdarzonym dość bujną wyobraźnią i chyba nazbyt skłonnym do wyciągania pochopnych wniosków. Teraz pochopnie wyciągnął wniosek, który na kilka minut przyprawił go doprawdy o drżenie.

Jedynym takim okazem kosmicznego zoo może być gwiazda po grawitacyjnym kolapsie. Kto wie, czy Rama nie jest martwym słońcem? Oto kręci się szaleńczo kula neutronów, przy czym każdy jej centymetr sześcienny waży miliardy ton…

W tym momencie raptem przypomniało się przerażonemu doktorowi Stentorowi pozaczasowe klasyczne dzieło H.G. Wellsa “Gwiazda”. Doktor Stentor przeczytał tę książkę w dzieciństwie i

przyczyniła się ona do rozbudzenia w nim zainteresowań astronomicznych. W ciągu ponad dwustu lat nie utraciła nic ze swojej aktualności i grozy. Na zawsze pozostały mu w pamięci obrazy huraganów i fal przypływu, i miast osuwających się w morze, gdy gość z kosmosu walnął w Jowisza, a potem opadając w kierunku Słońca mijał Ziemię. To fakt, gwiazda, którą opisał stary Wells, nie była zimna; była rozżarzona i na jej moc niszczycielską składał się w wielkiej mierze ten żar. Ale czy to ma znaczenie? Rama, chociaż jest ciałem zimnym i tylko odbija światło Słońca, może zniszczyć samą siłą ciążenia tak całkowicie jak ogniem.

Każda masa gwiezdna wdzierając się w Układ Słoneczny zupełnie by odkształciła orbity jego planet. Wystarczy, żeby Ziemia przesunęła się o parę milionów kilometrów bliżej Słońca — albo gwiazd — i od razu przestanie istnieć owa delikatna równowaga klimatów. Arktyczna pokrywa lodowa stopnieje i woda zaleje wszystkie niziny, albo też morza zamarzną i cały świat skuje na wieki zima. Wystarczy jedno szturchnięcie w tę czy w tamtą stronę…

Wkrótce jednak doktor Stenton uspokoił się i odetchnął z ulgą. Taka bzdura — rzeczywiście powinien się wstydzić. Niemożliwe przecież, żeby Rama była zrobiona ze zgęszczonej materii. Żadna masa wielkości gwiazdy nie mogłaby przeniknąć tak głęboko w Układ Słoneczny, nie wywołując zakłóceń, które objawiłyby się już dawno. Na tej właśnie zasadzie odkryto Neptuna, Plutom i Persefonę. Nie, to zupełnie niemożliwe, żeby obiekt o takiej masie jak martwe słońce wkradł się nie zaobserwowany.

Poniekąd szkoda. Spotkanie z “czarną” gwiazdą byłoby bardzo ciekawe i podniecające.

Dopóki by się nie skończyło…

3. Rama i Sita

Zebranie nadzwyczajne Rady do Spraw Kosmosu było krótkie i burzliwe. Nawet w dwudziestym drugim wieku jeszcze nie znaleziono żadnego sposobu na to, by kluczowych stanowisk w administracji nie zajmowali uczeni podstarzali i konserwatywni. Doprawdy wątpliwe, czy ten problem kiedykolwiek zostanie rozwiązany.

Na domiar złego przewodniczącym RSK był emerytowany profesor honoris causa Olaf Davidson, wybitny astrofizyk. Profesor Davidson niezbyt interesował się obiektami mniejszymi niż galaktyki i nigdy nie zawracał sobie głowy ukrywaniem swoich upodobań. Chociaż musiał przyznać, że dziewięćdziesiąt procent jego wiedzy opiera się na obserwacjach przez instrumenty usytuowane w kosmosie, wcale nie był z tego zadowolony. Co najmniej trzy razy w ciągu jego znakomitej kariery naukowej satelity wystrzelone, żeby potwierdzić którąś z jego ukochanych teorii, przynosiły wyniki wprost odwrotne, niż oczekiwał.

Zagadnienie przedłożone Radzie było dosyć proste. Nie ulega wątpliwości, że Rama to obiekt niezwykły, ale czy ważny? Za kilka miesięcy zniknie na zawsze, niewiele więc pozostaje czasu do działania. Okazja raz utracona nigdy się nie powtórzy.

Koszta były zawrotne, ale sondę, którą zamierzano wypuścić z Marsa w przestrzeń kosmiczną za orbitą Neptuna, można było przeprogramować i wysłać z dużą prędkością na spotkanie Ramy. Możliwość spotkania bezpośredniego oczywiście wykluczano: to miał być najszybszy notowany w kronikach przelot dwóch ciał mijających się z prędkością dwustu tysięcy kilometrów na godzinę. Intensywna obserwacja Ramy miała trwać zaledwie kilka minut, a w zbliżeniu nie dłużej niż sekundę. Ale to wystarczało, żeby za pomocą odpowiednich instrumentów otrzymać odpowiedzi na wiele pytań.

Profesor Davidson do tego projektu z sondą wysłaną poza orbitę Neptuna odniósł się bardzo sceptycznie, ale już przedtem zostało to zaakceptowane, zresztą nie widział celu, żeby wykładać jeszcze więcej ciężko zdobytych pieniędzy na błahą sprawę. Bardzo płynnie wygłosił przemówienie o szaleństwie, jakim jest polowanie na asteroidy, a także nawoływanie, że koniecznie trzeba zainstalować na Księżycu nowy interferometr o wysokiej rozdzielczości, żeby raz na zawsze potwierdzić niedawno wskrzeszoną teorię powstania wszechświata w drodze Wielkiego Wybuchu.

To był poważny błąd taktyczny, ponieważ w Radzie zasiadali trzej najbardziej żarliwi zwolennicy zmodyfikowanej teorii stanu ustalonego. W głębi duszy zgadzali się oni z profesorem Davidsonem: polowanie na asteroidy to wyrzucone pieniądze, jednakże…

O przegranej profesora Davidsona zadecydował jeden głos.

W trzy miesiące później wystrzelono z Fobosa, wewnętrznego księżyca Marsa, sondę kosmiczną, którą nazwano Sita. Czas lotu wynosił siedem tygodni, a jej aparatura włączyła się na pełną moc dopiero na pięć minut przed przechwyceniem Ramy. Jednocześnie wypuszczony przez nią rój kamer przelatując koło Ramy miał sfotografować ten obiekt ze wszystkich stron.

Pierwsze zdjęcia, zrobione z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów, sprawiły, że ludzkość przerwała wszelkie swoje działania. Na miliardzie ekranów telewizyjnych ukazał się maleńki nijaki walec, który powiększał się z sekundy na sekundę. Gdy podwoił swoje rozmiary, nikt nie mógł udawać, że uważa Ramę za obiekt naturalny.

Rama była walcem tak idealnie równym, jakby została obrobiona na jakiejś ogromnej tokarce z kłami oddalonymi od siebie o pięćdziesiąt kilometrów. Oba jej końce o średnicy dwudziestu kilometrów były zupełnie płaskie, jedynie na środku powierzchni jednego z nich sterczały jakieś nieduże konstrukcje. Z odległości uniemożliwiającej wyczucie proporcji Rama wyglądała prawie śmiesznie jak zwyczajny domowy bojler.

Powiększała się, aż zapełniła cały ekran. Jej matowa ciemna szarość przypominała bezbarwną powierzchnię Księżyca. Nie było na niej żadnych oznaczeń, tyle że w połowie walca widniała plama, a raczej smuga długości jednego kilometra, jak gdyby kiedyś przed wiekami coś uderzyło i rozbryznęło się w tym miejscu.

Nic nie wskazywało na to, by owo uderzenie mogło bodaj trochę uszkodzić krągłą ścianę Ramy; ale właśnie ta

smuga powodowała pewną fluktuację światła i tym samym umożliwiła Stentorowi dokonanie odkrycia.

Zdjęcia z innych kamer nie przydały niczego nowego. Jednakże trajektorie, którymi kamery przeleciały poprzez znikome pole grawitacyjne Ramy, pozwoliły uzyskać bardzo ważną informację — o masie tego walca.

Rama była stanowczo za lekka, żeby być ciałem litym. Bez zdumienia przyjęto fakt, że jest pusta w środku.

Oto więc wreszcie nadchodzi czas spotkania od dawna wzbudzającego lęk, od dawna wyczekiwanego. Ludzkość ma podejmować swego pierwszego gościa z gwiazd.

4. Spotkanie

Komandor Norton zapamiętał pierwsze transmisje telewizyjne z ostatnich minut tego spotkania, powtarzane wielokrotnie w zwolnionym tempie. Ale było coś, czego z pewnością obraz elektroniczny nie mógłby przekazać niesamowitość rozmiarów Ramy.

Norton nigdy nie doznawał podobnego wrażenia, gdy lądował na naturalnych obiektach jak Księżyc czy Mars. To były światy, więc ich wielkość go nie dziwiła. I przecież lądował także na Jowiszu VIII, który był tylko trochę większy od Ramy i wydawał się obiektem zupełnie małym.

Łatwo jednak można rozwiązać tę paradoksalną zagadkę. Na wrażenie odniesione teraz przez Nortona wpłynął fakt, że Rama to twór sztuczny, milion razy cięższy niż wszystko, co ludzkość kiedykolwiek wystrzeliła w przestrzeń kosmiczną. Masa Ramy wynosiła co najmniej dziesięć bilionów ton: w każdym kosmonaucie myśl o tym budziła nie tylko lęk i uznanie, ale i grozę. Nic dziwnego, że Norton uświadamiał sobie własną znikomość i patrzył przygnębiony, jak ten walec z jakiegoś nie starzejącego się metalu coraz bardziej zapełnia niebo.

Dołączyło się tu poczucie niebezpieczeństwa, zupełnie dla niego nowe, chociaż doświadczenie miał bogate. Lądując, zawsze dotąd wiedział, czego się spodziewać; zawsze istniała możliwość katastrofy, ale nigdy nie było możliwości zaskoczenia. W przypadku Ramy jedynym pewnikiem mogło być właśnie zaskoczenie.

Teraz Śmiałek krążył w odległości niecałego tysiąca metrów ponad północnym biegunem Ramy, nad samym środkiem powoli kręcącej się okrągłej tarczy. Wybrano ten koniec walca, ponieważ był w blasku Słońca; za każdym obrotem cienie zagadkowych niskich konstrukcji niedaleko osi miarowo omiatały metalową równinę. Północna powierzchnia Ramy była olbrzymim zegarem słonecznym, który odmierzał błyskawiczne mijanie jego czterominutowego dnia.

Lądowanie ważącego pięć tysięcy ton statku kosmicznego na środku kręcącej się płyty było najmniejszą z trosk komandora Nortona. Nie różniło się to od siadania na osi dużej stacji kosmicznej; boczne dysze już wprawiły statek w synchroniczny ruch obrotowy i Norton mógł zaufać porucznikowi Joemu Calvertowi, że Śmiałek przy pomocy czy też bez pomocy komputera nawigacyjnego opadnie lekko jak płatek śniegu.

— Jeszcze trzy minuty — powiedział Joe nie odrywając wzroku od monitora — i będziemy wiedzieli, czy to rzeczywiście jest antymateria.

Norton uśmiechnął się, przypomniał sobie niektóre z bardziej

przerażających teorii o pochodzeniu Ramy. Gdyby ten nieprawdopodobny domysł okazał się prawdą, za parę sekund doszłoby do największego zderzenia od czasów powstania Układu Słonecznego. Krótko mówiąc, anihilacja dziesięciu tysięcy ton dałaby planetom naszego układu na krótko drugie słońce.

A przecież zakres misji Śmiałka obejmował nawet takie raczej niemożliwe ewentualności. Śmiałek wystrzelił w Ramę z jednej ze swoich dysz strumieniem cieczy z bezpiecznej odległości tysiąca kilometrów. Nie stało się nic w ogóle, gdy rozszerzająca się chmura pary dotarła do celu — a reakcja między materią i antymaterią, obejmująca choćby kilka miligramów, przecież by wywołała straszliwy pokaz fajerwerków.

Norton, podobnie jak wszyscy dowódcy statków kosmicznych, był ostrożny. Długo i uważnie przyglądał się północnej powierzchni Ramy, żeby wybrać punkt lądowania. Po głębokim namyśle zadecydował, że najlepiej będzie ominąć to oczywiste miejsce — sam środek osi. Była to wyraźnie zaznaczona na biegunie okrągła płyta o stumetrowej średnicy; podejrzewał, że stanowi ona zewnętrzne zamknięcie jakiejś ogromnej śluzy. Istoty, które zbudowały ten wydrążony świat, musiały mieć jakiś sposób wprowadzenia tam swoich statków kosmicznych. Było to logiczne miejsce na główne wejście, więc uznał, że byłoby nieroztropnie blokować drzwi frontowe swoim statkiem.

Ale jego decyzja zrodziła inne problemy. Gdyby Śmiałek wylądował w odległości bodaj kilku metrów od osi, gwałtowny ruch obrotowy Ramy zacząłby odsuwać statek . od bieguna. Początkowo siła odśrodkowa byłaby bardzo słaba. ale stała i nieubłagana. Nortona nie zachwycała perspektywa, że jego statek może zacząć ślizgać się po tej biegunowej płaszczyźnie, z minuty na minutę nabierając szybkości, aż wreszcie po dotarciu do krawędzi zostanie ciśnięty w przestrzeń z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę.

Może nie dopuściłoby do tego znikome pole grawitacyjne Ramy — około jednej tysięcznej pola grawitacyjnego Ziemi. Przyciąganie zatrzymałoby Śmiałka na tej płaszczyźnie siłą kilku ton i jeśli powierzchnia tam jest dostatecznie szorstka, statek mógłby dokować w pobliżu bieguna. Ale komandor Norton nie miał zamiaru konfrontować nie znanej siły tarcia z całkowicie pewną siłą odśrodkową.

Na szczęście sami projektanci Ramy dostarczyli rozwiązania. W równej odległości od osi bieguna były trzy niskie przypominające bunkry kapsuły o dziesięciometrowej średnicy. Jeżeli Śmiałek wyląduje pomiędzy dwiema z nich, siła odśrodkowa dociśnie go do nich i zatrzyma w miejscu, podobnie jak statek w porcie przyciskają do mola napływające fale.

— Lądowanie za piętnaście sekund — powiedział Joe. I czekał w

napięciu nad podwójnym zespołem przyrządów do sterowania, mając nadzieję, że przecież nie będzie musiał ich dotykać. Komandor Norton nagle do głębi sobie uświadomił, co oznacza ta właśnie chwila. Jest to chyba najbardziej doniosłe lądowanie, odkąd człowiek sto pięćdziesiąt lat temu po raz pierwszy stanął na Księżycu.

Szare bunkry przesunęły się powoli w górę za łukiem obserwacyjnym. Po raz ostatni syknęła dysza i poczuli ledwo wyczuwalny wstrząs.

W ciągu ubiegłych tygodni komandor Norton często zastanawiał się, co powie w tym momencie. Ale teraz słowa same wyrwały mu się z ust. Historia przemówiła za niego. Prawie bezwiednie, nie słysząc w tym echa przeszłości, powiedział:

— Tu baza na Ramie. Śmiałek wylądował.

Jeszcze miesiąc przedtem wcale by nie wierzył, że to jest możliwe. Gdy odebrał ten rozkaz, Śmiałek odbywał zwykły swój lot celem umieszczania i sprawdzania boi sygnalizacyjnych ostrzegających przed asteroidami. Był w Układzie Słonecznym jedynym statkiem kosmicznym, który mógł spotkać się z Ramą, zanim ten przybysz okrąży Słońce i pomknie z powrotem ku gwiazdom. A i tak okazało się konieczne ograbienie z paliwa trzech innych statków Służby Badawczej, które teraz unosiły się bezradnie i czekały na tankowce. Norton lękał się, że nieprędko kapitanowie Kalipso, Ogara i Zucha odezwą się do niego znowu.

Nawet z tym dodatkowym zapasem -paliwa pościg był długi i trudny: Dopiero za orbitą Wenus Śmiałek dogonił Ramę. Żaden inny statek nie zdołałby tego dokonać. Norton zdawał sobie sprawę, że to niezwykły przywilej i że ani jednej chwili w następnych tygodniach nie wolno zmarnować. Niezliczeni naukowcy na Ziemi chętnie by zaprzedali dusze, żeby mieć taką okazję; teraz mogli tylko patrzeć na ekrany telewizorów, przygryzać usta i myśleć, o ile lepiej sami by się spisywali. Mieli prawdopodobnie rację, ale alternatywy nie było. Nieubłagane prawa mechaniki nieba sprawiły, że Śmiałek stał się tym pierwszym i jedynym ze wszystkich statków kosmicznych ludzkości, który mógł kiedykolwiek nawiązać łączność z Ramą.

Wskazówki, jakie Norton nieustannie otrzymywał z Ziemi, nie zmniejszały brzemienia jego odpowiedzialności. Gdyby należało podejmować błyskawiczne decyzje, nikt by mu nie pomógł, bo opóźnienie odbioru radiowego z Ośrodka Kontroli wynosiło już dziesięć minut, a wciąż się zwiększało. Norton często zazdrościł wielkim nawigatorom z dawnych czasów, którzy wówczas, gdy nie było jeszcze łączności elektronicznej, mogli po swojemu tłumaczyć zapieczętowane rozkazy, wolni od ciągłej kontroli ze strony Kwatery Głównej. I nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, dlaczego popełnili jakieś błędy.

A przecież jednocześnie był rad, że pewne decyzje można pozostawiać Ziemi. Teraz, gdy orbita Śmiałka została zgrana z orbitą Ramy, posuwali się w stronę Słońca jak jedno ciało: za czterdzieści dni mieli dotrzeć do peryhelium i minąć Słońce w odległości dwudziestu milionów kilometrów. Odległość niepokojąco mała: na długo przedtem Śmiałek będzie musiał zużyć resztki paliwa, aby przejść na bezpieczniejszą orbitę. Badania chyba mogą potrwać ze trzy tygodnie, zanim na zawsze rozstaną się z Ramą.

Potem stanie się to już problem Ziemi. Śmiałek właściwie bezradny popędzi orbitą, dzięki której mógłby zostać pierwszym statkiem kosmicznym, który dotrze do gwiazd — za jakieś pięćset stuleci. Ale Ośrodek Kontroli Misji zapewnił, że nie ma czym się martwić. W taki czy inny sposób, bez względu na koszt, Śmiałek otrzyma zaopatrzenie w paliwo nawet gdyby trzeba było wysłane mu na pomoc tankowce porzucić w Kosmosie po przekazaniu z nich ostatniego grama paliwa. Rama jest zdobyczą wartą każdego ryzyka, z wyjątkiem misji samobójczej.

Ale oczywiście mogło dojść do najgorszego. Komandor Norton nie łudził się. Po raz pierwszy od stu lat w poczynania ludzkie wkradł się znów pierwiastek całkowitej niepewności. A właśnie niepewność była czymś, czego ani naukowcy, ani mężowie stanu nie mogli tolerować. Gdyby ceną miał być Śmiałek i jego załoga, bez wahania spisano by ich na straty.

5. Pierwsze kroki

Rama wydawała się cicha jak grobowiec — którym może była. Żadnych sygnałów radiowych na żadnej częstotliwości fali, żadnych wstrząsów, możliwych do uchwycenia dla sejsmografów, poza mikrowstrząsami niewątpliwie spowodowanymi przez coraz większy żar Słońca, żadnych prądów elektrycznych, żadnej radioaktywności. To była cisza niemal złowieszcza, przecież nawet asteroida dałaby się jakoś słyszeć.

Czego my się spodziewamy? — zadawał sobie Norton pytanie. Komitetu powitalnego? Nie wiedział, czy ma być rozczarowany, czy odczuwać ulgę. Tak czy inaczej przypuszczał, że inicjatywa należy do niego.

Wydał rozkaz: czekać przez dwadzieścia cztery godziny, a potem wyjść na rozpoznanie. Nikt nie spał w ciągu tej pierwszej doby; nawet ci z załogi, którzy nie pełnili służby, zajmowali się sprawdzaniem instrumentów badawczych albo po prostu wyglądali przez otwory obserwacyjne na dziwny, geometryczny krajobraz przed nimi. — Czy to świat żywy? — pytali raz po raz. — Czy martwy? Czy może tylko uśpiony?

Na to pierwsze rozpoznanie Norton wziął tylko jednego towarzysza — komandora porucznika Karla Mercera, odważnego i pomysłowego oficera do spraw bezpieczeństwa. Nie zamierzał wychodzić poza zasięg widoczności ze statku, zresztą w razie jakichkolwiek kłopotów większa grupa na pewno nie byłaby bezpieczna. Na wszelki wypadek wydał jednak rozkaz, żeby dwaj wybrani spośród załogi stali w pogotowiu w śluzie.

Kilka gramów ciężaru, które wywoływało przyciąganie Ramy w połączeniu z siłą odśrodkową, ani nie pomagało, ani nie przeszkadzało. Norton i Mercer byli zdani całkowicie na swoje silniki odrzutowe. Kiedy tylko będzie to możliwe — mówił sobie Norton — trzeba rozciągnąć poziome drabinki z lin pomiędzy statkiem a kapsułami Ramy, żeby można było poruszać się nie marnując paliwa.

Najbliższy bunkier wznosił się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od śluzy i Norton przede wszystkim sprawdził, czy ta bliskość nie spowodowała uszkodzenia statku. Śmiałek opierał się kadłubem o kolistą ścianę, ale ten napór kilku ton rozkładał się równo. Uspokojony zaczął krążyć wokół bunkra, usiłując zrozumieć, do czego on służy.

Przebył zaledwie kilka metrów, gdy natrafił na wyrwę w tej gładkiej, chyba metalowej ścianie. Zrazu myślał, że to jest jakaś szczególna ozdoba, bo wydawała się zgoła niefunkcjonalna. W owym metalu było sześć głębokich bruzd czy też szczelin tworzących jak gdyby promienie, a w nich sześć skrzyżowanych prętów jak szprychy

koła bez obwodu, z małą piastą pośrodku. Ale w jaki sposób obracać koło tak mocno osadzone w ścianie?

Po chwili zauważył ze wzrastającym podnieceniem, że na końcach szprych są wnęki o regularnym kształcie, jak gdyby dopasowane do chwytających za te szprychy rąk (czy też szponów? czułków? macek?). Stojąc tak, jak on stoi wyprężony pod tą ścianą, i pociągając za szprychę, można by…

Gładko, wprost jedwabiście koło odsunęło się od ściany. Ku swemu wielkiemu zdumieniu, bo właściwie był pewny, że wszelkie części ruchome przed laty zostały poddane spawaniu w próżni — Norton stwierdził, że trzyma za te szprychy. Równie dobrze mógłby jako kapitan starego żaglowca stać u steru swojego okrętu:

To dobrze, że osłona przeciwsłoneczna hełmu nie pozwalała Mercerowi zobaczyć wyrazu jego twarzy.

Był przerażony, ale też i zły na siebie: może już popełnił pierwszy błąd? Może alarm rozbrzmiewa teraz w Ramie, może te jego bezmyślne poczynania uruchomiły jakiś nieubłagany mechanizm?

Ze Śmiałka jednak nie było meldunków o żadnej zmianie. Czujniki nadal przekazywały tylko słabe termiczne trzaski samego statku.

— No, kapitanie… obrócisz to?

Norton znów pomyślał o otrzymanych instrukcjach. “Postępować według własnego uznania, ale ostrożnie”. Gdyby uzgadniał każde posunięcie z Kontrolą Misji, nigdy nie doszedłby do niczego.

— Jak uważasz, Karl? — zapytał.

— To jest najwidoczniej ręczne sterowanie jakiejś śluzy… Prawdopodobnie system awaryjny na wypadek, gdyby zawiodło zasilanie. Nie wyobrażam sobie żadnej technologii, choćby najbardziej zaawansowanej, która by nie podejmowała takich środków ostrożności.

I mógłby to być właz asekuracyjny — pomyślał Norton działający tylko w warunkach całkowitego bezpieczeństwa…

Chwycił mocno dwie przeciwległe szprychy, zaparł się nogami i spróbował obrócić koło. Ani drgnęło.

— Pomóż — poprosił Mercera.

Mercer chwycił za inną szprychę. Pomimo wysiłków ich obu koło nadal się nie poruszyło.

Ale oczywiście nie było żadnych podstaw do przypuszczenia, że wskazówki zegarów i gwinty Ramy obracają się w tym samym kierunku co na Ziemi…

— Spróbujmy w drugą stronę — zaproponował Mercer. Tym razem nie natrafili na żaden opór. Koło obróciło się prawie bez ich wysiłku o trzysta sześćdziesiąt stopni bez mała.

W odległości pół metra zaokrąglona ściana bunkra zaczęła się

stopniowo rozwierać jak skorupa mięczaka. Trochę cząsteczek pyłu uleciało z uchodzącym powietrzem, tryskając na zewnątrz jak brylanty rozmigotane cudownie, gdy padł na nie ostry blask słońca.

Droga do Ramy stała otworem.

6. Komitet

To był poważny błąd — myślał nieraz doktor Bose umieszczenie Kwatery Głównej Planet Zjednoczonych na Księżycu. Nieuniknienie Ziemia przejawia skłonność do dominowania nad wszelkimi poczynaniami, tak jak dominuje nad krajobrazem poza swoim nieboskłonem. Jeżeli już trzeba budować tam, to może lepiej byłoby przejść na drugą stronę Księżyca, gdzie nasze hipnotyzujące Słońce nigdy nie świeci…

Ale oczywiście za późno już było na zmianę, zresztą nie nasuwała się żadna realna alternatywa. Toteż jakkolwiek koloniom mogło się to bardzo nie podobać, Ziemia musiała być w zakresie gospodarczym i kulturalnym władczynią Układu Słonecznego jeszcze przez stulecia.

Doktor Bose urodził się na Ziemi i wyemigrował na Marsa dopiero gdy miał lat trzydzieści, więc uważał, że potrafi patrzeć na tę sytuację polityczną dosyć beznamiętnie. Już wiedział, że nigdy nie wróci na ojczystą planetę, chociaż jest oddalona tylko o pięć godzin drogi promem międzyplanetarnym. Teraz miał lat zaledwie sto piętnaście i cieszył się doskonałym zdrowiem, wolał jednak nie poddawać się kuracji regeneracyjnej, koniecznej, żeby znosić przyciąganie ziemskie trzykrotnie większe niż to, któremu podlegał przez większość życia. Dał się wygnać raz na zawsze ze świata, w którym się urodził. Ponieważ nie był sentymentalny, nadmiernie go to nie rozrzewniało.

Czasem jednak przygnębiała go konieczność przebywania rok po roku ciągle wśród tych samych dobrze znanych twarzy. Cuda medycyny, owszem, to bardzo piękne i z pewnością on w żadnym razie nie chciałby cofnąć wskazówek zegara, ale są przy tym stole konferencyjnym ludzie, z którymi pracuje już pół stulecia z górą. Jakaż to nuda wiedzieć, co będą mówili i na co będą głosowali w każdej przedłożonej sprawie. Pragnął, żeby wreszcie któryś z nich postąpił jakoś zupełnie nieoczekiwanie — nawet po wariacku.

A oni prawdopodobnie oczekiwali czegoś takiego z jego strony…

Skład Komitetu do Spraw Ramy nadal był rozsądnie nieduży, Chociaż bez wątpienia wkrótce miał się powiększyć. Sześciu kolegów doktora Bose — przedstawiciele Merkurego, Ziemi, Luny, Ganimedesa, Tytana i Trytona w Organizacji Planet Zjednoczonych — stawiło się osobiście. Musieli: na takie dystanse w Układzie Słonecznym dyplomacja elektroniczna nie była możliwa. Niejeden ze starszych mężów stanu, przyzwyczajonych do błyskawicznej łączności na Ziemi, wcale nie pogodził się z faktem, że na przesłanie fal radiowych poprzez otchłań między planetami trzeba minut, czy nawet godzin. “Czy wy, naukowcy, nic nie możecie na to poradzić?” — utyskiwali, gdy im się mówiło, że rozmowa bez opóźnień pomiędzy Ziemią i

którymkolwiek z jej dalekich dzieci jest niemożliwa. Tylko w kontaktach z Księżycem było niewielkie opóźnienie półtorej sekundy — co, rzecz jasna, pociągało za sobą różne następstwa natury politycznej i psychologicznej. I dlatego Księżyc, jedynie Księżyc miał być zawsze przedmieściem Ziemi.

Również osobiście stawili się trzej specjaliści dokooptowani do Komitetu. Profesor astrofizyki Davidson, stary znajomy doktora Bose, wydawał się tego dnia mniej krewki niż zazwyczaj. Doktor Bose nie wiedział nic o spięciu poprzedzającym wystrzelenie pierwszej sondy do Ramy, ale koledzy specjaliści nie dawali profesorowi o tym zapomnieć.

Doktor Thelma Price była sławna dzięki wielu występom w telewizji, reputację naukową jednak zdobyła sobie przed pięćdziesięciu laty w okresie eksplozji badań archeologicznych po osuszeniu ogromnego muzeum morskiego, jakim okazało się Morze Śródziemne.

Doktor Bose jeszcze pamięta, jak się ekscytowano w tamtych czasach, gdy znów na światło dzienne wyłaniały się zaginione skarby Greków i Rzymian, i tuzina innych cywilizacji. Nawet żałował wtedy, że mieszka na Marsie, a to nieczęsto mu się zdarzało.

Oczywiście do Komitetu został też wybrany egzobiolog Carlisle Perera; tak samo Dennis Solomons, historyk nauk ścisłych. Nieco mniej doktor Bose był zadowolony z wybrania Conrada Taylora, słynnego antropologa, który zasłynął łącząc w oryginalny sposób erudycję z erotyzmem w swoim studium obrządków okresu dojrzewania na Beverley Hills pod koniec dwudziestego wieku.

Nikt jednakże nie mógłby kwestionować faktu, że w Komitecie zasiadał sir Lewis Sands. Jego wiedzy równa była

tylko jego wytworność. Podobno sir Lewis tracił panowanie nad sobą wyłącznie wtedy, gdy nazywano go współczesnym Arnoldem Toynbee.

Ten wielki historyk nie stawił się osobiście: stanowczo nie chciał wyjeżdżać z Ziemi nawet teraz, na konferencję tak doniosłą. Jego stereowizyjny obraz, nie dający się odróżnić od rzeczywistości, pozornie zajmował fotel po prawej ręce doktora Bose; jak gdyby dla dopełnienia iluzji stała przed nim prawdziwa szklanka z wodą. Doktor Bose uważał, że taki technologiczny *tour de jarce* jest zbędną sztuczką, ale było zdumiewające, ilu bezsprzecznie wielkich ludzi cieszy się jak dzieci z możności przebywania w dwóch miejscach naraz. Czasami obraz elektroniczny powodował komiczne kłopoty: doktor Bose widział na pewnym przyjęciu dyplomatycznym, jak ktoś próbuje przejść przez stereogram i stwierdza za późno, że to jest osoba rzeczywista. Jeszcze zabawniej wyglądały stereowizyjne obrazy usiłujące się witać uściskiem ręki…

Jego ekscelencja ambasador Marsa w Organizacji Planet Zjednoczonych zebrał swe błądzące myśli, odchrząknął i powiedział:

— Panowie, otwieram zebranie. Chyba mam rację mówiąc, że zgromadziły się tu niezwykłe talenty po to, by zająć się niezwykłą sytuacją. Sekretarz generalny polecił nam rozważyć tę sytuację i udzielić rad komandorowi Nortonowi w razie potrzeby.

Była to istna perełka arcyuproszczenia i wszyscy o tym wiedzieli. Jeżeli nie powstanie absolutna konieczność, może nigdy nie nawiążą bezpośredniej łączności z komandorem Nortonem, który w dodatku chyba nawet nie słyszał, że ich zespół w ogóle istnieje. Komitet został powołany czasowo przez Wydział Nauk Ścisłych przy Organizacji Planet Zjednoczonych, składający sprawozdania sekretarzowi generalnemu za pośrednictwem swojego dyrektora. W istocie Organizacja Planet Zjednoczonych obejmowała nadzór przestrzeni kosmicznej tylko od strony operacyjnej, nie naukowej. Teoretycznie to nie powinno sprawiać dużej różnicy: nie było powodu, żeby Komitet do Spraw Ramy — czy ktokolwiek inny, skoro już o tym mowa — nie miał nawiązać łączności z komandorem Nortonem i służyć mu wskazówkami.

Cóż, kiedy środki łączności z Daleką Przestrzenią Kosmiczną są kosztowne. Ze Śmiałkiem można było się kontaktować tylko za pośrednictwem Tele-Planet, ogromnej firmy słynnej ze swej dokładnej i sprawnej księgowości. Uzyskanie kredytu w Tele-Planet musiało potrwać i ktoś już gdzieś nad tym pracował, ale. na razie bezlitosne komputery nie uznawały istnienia Komitetu do Spraw Ramy.

— Ten komandor Norton — powiedział sir Robert Mackay, ambasador Ziemi — ponosi straszliwą odpowiedzialność. Jakiego rodzaju to człowiek?

— Ja mogę panom odpowiedzieć. — Profesor Davidson zaczął przebierać palcami po klawiaturze swego podręcznego komputera. Zmarszczył brwi, patrząc na ekran zapełniony informacjami, i natychmiast zaczął je streszczać.

— William Tsien Norton, urodzony w roku 2077 w Brisbane w stanie Oceana, kształcił się w Sydney, w Bombaju i w Houston. Potem przez pięć lat w Astrogradzie specjalizował się w systemach napędowych. Stopień oficerski w roku 2102. Awansował normalnie, jako porucznik wziął udział w trzeciej ekspedycji na Persefonę. Wyróżnił się w piętnastej próbie założenia bazy na Wenus… Hm… wzorowa przeszłość… Podwójne obywatelstwo, Ziemia i Mars… Żona i jedno dziecko w Brisbane, druga żona i drugie dziecko w Port Lowell, pozwolenie na trzecią… — Żonę? — zapytał Taylor niewinnie.

— Nie, latorośl, oczywiście — warknął profesor, zanim dostrzegł uśmieszek na twarzy Taylora.

Przy stole rozbrzmiał tłumiony śmiech, chociaż mieszkańcy

zatłoczonej Ziemi wydawali się nie tyle rozbawieni, co zawistni. Po stu latach wytężonych starań wciąż jeszcze nie zdołano zmniejszyć liczby ludności do jednego miliarda…

— …mianowany dowódcą statku Nadzoru Badań Systemu Słonecznego Śmiałek. Pierwszy rejs do oddalających się satelitów Jowisza… No, to było trudne… Misja w związku z wykrywaniem asteroid, przerwana rozkazem przygotowania się do obecnej operacji… Udało mu się dotrzymać terminu…

Profesor skasował informację z ekranu i popatrzył na kolegów.

— Moim zdaniem mieliśmy niesłychane szczęście zważywszy, że tylko on był osiągalny w tak krótkim terminie. Mógł nam się trafić zwyczajny, niczym się nie wyróżniający kapitan. — Zabrzmiało to tak, jakby mówił o legendarnym, głupawym kapitanie kuternodze z pistoletem w jednej ręce i z nożem myśliwskim w drugiej.

— Jego akta świadczą jedynie, że dotychczas był kompetentny — sprzeciwił się ambasador Merkurego (liczba ludności: 112 500, wciąż wzrastająca). — Ale jak będzie reagował w sytuacji przecież nowej i osobliwej?

Na Ziemi sir Lewis Sands chrząknął. W półtorej sekundy później chrząknięcie dało się słyszeć na Księżycu.

— Niezupełnie osobliwej — przypomniał Merkurianinowi — chociaż minęło już trzysta lat, odkąd zdarzyło się ostatnio coś podobnego. Jeżeli Rama jest martwa, czy też nie ma na niej żadnych istot… a na razie wszystko za tym przemawia… to Norton znajdzie się w położeniu archeologa odkrywającego ruiny jakiejś wygasłej kultury. Ukłonił się grzecznie pani doktor Price, która przytaknęła. — Oczywistymi przykładami są Schliemann w Troi albo Mouhout w Angkor Wat. Niebezpieczeństwo jest minimalne, chociaż wypadku nigdy nie można wykluczać.

— Ale co z tymi pułapkami i mechanizmami, o których mówili pandorzyści? — zapytała doktor Price.

— Pandorzyści? — zapytał ambasador Merkurego szybko. — Cóż to znowu?

— Wariacki ruch — wyjaśnił sir Robert z taką dozą zakłopotania, jaką może kiedykolwiek okazać dyplomata. Pandorzyści od imienia tej mitycznej kobiety, Pandory. Są przekonani, że Rama jest potencjalnie poważnym niebezpieczeństwem. Beczka, której nie należy otwierać, wie pan. Wątpił, czy Merkurianin rzeczywiście wie: do studiów klasycznych nie zachęcano na Merkurym.

— Pandora… paranoja — warknął Conrad Taylor. Och, oczywiście takie rzeczy można sobie wyobrażać, czemuż by jednak inteligentne plemię miało bawić się w dziecięce płatanie figlów?

— No, nawet pomijając taką niestosowność-ciągnął sir Robert-musimy nadal brać pod uwagę coś o wiele bardziej złowieszczego:

możliwość życia i aktywności w Ramie. Wtedy to sytuacja będzie starciem dwóch kultur… na bardzo różnych poziomach technologicznych. Pizarro i Inkowie. Peary i Japończycy. Europa i Afryka. Prawie zawsze następstwa były katastrofalne… dla jednej bądź dla obu stron. Ja nic nie zalecam, po prostu przypominam precedensy.

— Dziękuję, sir Robercie — powiedział doktor Bose. To, że w jednym małym komitecie zasiada dwóch sirów, ostatecznie mu nie przeszkadzało. W tych czasach tytuł szlachecki stał się już zaszczytem, którego uniknęła tylko garstka Anglików. — Jestem pewny, że każdy z nas bierze pod uwagę te niepokojące ewentualności. Ale jeśli istoty w Ramie są… hmm… wrogie… czyż nie wszystko jedno w gruncie rzeczy, co zrobimy?

— Mogłyby zignorować nas, gdybyśmy od nich odleciel i.

— Co? Po przebyciu miliardów kilometrów i tysięcy lat? Ten argument został wysunięty na początku zebrania i teraz sam się potwierdził. Doktor Bose usiadł głębiej w fotelu i prawie nie zabierając głosu czekał, aż zapanuje jednomyślność.

Tak jak przepowiedział, wszyscy się zgodzili, że skoro komandor Norton już otworzył pierwsze drzwi, byłoby niedorzecznością zakończyć misję przed otwarciem drugich.

7. Dwie żony

Gdyby moje żony zaczęły porównywać wideogramy, które dostają ode mnie — myślał komandor Norton raczej rozbawiony niż zaniepokojony taką perspektywą — miałbym mnóstwo dodatkowej pracy. Teraz wystarczała jedna długa wersja z dorzuceniem osobistych krótkich wiadomości i czułych słów; kopie do nadawania na Marsa i na Ziemię.

Oczywiście było wysoce nieprawdopodobne, żeby jego żony kiedykolwiek zrobiły coś takiego: nawet przy zniżkach udzielanych rodzinom kosmonautów za drogo by to kosztowało. I nie miałoby celu: jego rodziny utrzymywały z sobą stosunki, wymieniały zwykłe pozdrowienia w urodziny i rocznice ślubu. A przecież, ogólnie biorąc może lepiej, że te dziewczyny nigdy się nie spotkały i chyba nigdy się nie spotkają. Myrna urodziła się na Marsie, więc nie mogłaby znieść przyciągania ziemskiego. A Caroline nie cierpiała podróży nawet po Ziemi, gdzie najdłuższe trwają dwadzieścia pięć minut.

— Przepraszam, że się spóźniłem o cały dzień z tą transmisją — powiedział Norton, gdy już wygłosił ogólnikowe wstępne pozdrowienia — ale wierzysz mi czy nie wierzysz, już od trzydziestu godzin jestem poza statkiem.

Nie denerwuj się, wszystko idzie doskonale. To zabrało nam dwa dni, ale już prawie przedostaliśmy się przez kompleks śluz. Moglibyśmy to zrobić w dwie godziny, gdybyśmy wiedzieli tyle, ile wiemy teraz. Ale woleliśmy nie ryzykować. Wysłaliśmy naprzód zdalnie sterowane kamery i krążyliśmy wokół tych śluz z dziesięć razy, żeby się upewnić, że nie zamkną się za nami, kiedy już przejdziemy…

Każda śluza to zwyczajny obracający się walec z podłużnym otworem z jednej strony. Wchodzi się przez ten otwór, przekręca się walec o sto osiemdziesiąt stopni i wtedy otwór natrafia na inne drzwi, przez które można przejść. A raczej przelecieć.

Ci Ramianie rzeczywiście byli zapobiegliwi. Są trzy takie cylindryczne śluzy, jedna za drugą, pod zrębem kadłuba Ramy poniżej włazu wejściowego. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby jedna bodaj z nich zawiodła, jeżeli ktoś nie wysadzi jej materiałem wybuchowym, ale gdyby nawet, pozostaje na wszelki wypadek druga, a po niej trzecia…

A to jest dopiero początek. Ostatnia śluza otwiera się na korytarz, który ciągnie się prosto jak strzelił i ma prawie pół kilometra długości. Czysty i schludny jak te komory: co kilka metrów są małe wnęki i w nich prawdopodobnie jakieś światła, ale teraz wszędzie jest zupełnie czarno i, mogę ci powiedzieć, strasznie. Przez całą długość tego tunelu

biegną wyżłobione w ścianach dwie równoległe szczeliny, szerokie mniej więcej na centymetr. Podejrzewamy, że przesuwa się w nich coś w rodzaju czółenka, żeby holować sprzęt — czy też ludzi — tam i z powrotem. Gdyby udało się je uruchomić, oszczędziłoby to nam sporo kłopotu.

Mówiłem ci, że długość tego tunelu wynosi pół kilometra. Otóż, jak wynika z naszych sejsmicznych badań, wiemy, że tyle mniej więcej wynosi grubość powłoki Ramy, więc najwidoczniej prawie już przez nią przeszliśmy. Nie zdziwiliśmy się, kiedyśmy stwierdzili, że na końcu tunelu jest jeszcze jedna śluza.

Właśnie. I jeszcze jedna. I jeszcze jedna. Ci ludzie chyba lubią mieć wszystkiego po trzy. Jesteśmy teraz w ostatniej śluzie i czekamy na zgodę Ziemi, zanim ruszymy dalej. Wnętrze Ramy jest w odległości zaledwie kilku metrów od nas. Będę czuł się o wiele lepiej, kiedy ta niepewność się skończy.

Znasz Jerry'ego Kirchoffa, mojego oficera, który ma taką bibliotekę prawdziwych książek, że nie stać go na wyemigrowanie z Ziemi? No więc Jerry mi opowiadał, że już była sytuacja podobna do naszej. Dawno temu, na początku dwudziestego pierwszego… nie, dwudziestego wieku. Pewien archeolog natrafił na grobowiec jakiegoś egipskiego króla, pierwszy nie splądrowany przez złodziei. Jego robotnicy całymi miesiącami wykopywali przejście komora po komorze, aż doszli do ostatniej ściany. Przebili się przez ten mur, archeolog wyciągnął rękę z latarnią, wsunął głowę w wyrwę i zajrzał. Ujrzał przed sobą komnatę pełną skarbów — niewiarygodnych rzeczy, złota i klejnotów…

Może także Rama jest grobowcem? Wydaje się to coraz bardziej prawdopodobne. Nawet teraz nie słychać żadnych odgłosów, nic nie wskazuje na jakąkolwiek działalność. No, ale jutro już powinniśmy wiedzieć.

Komandor Norton przełączył dźwignię wideomagnetofonu na STOP. Co jeszcze — zastanowił się — powiedzieć o tej pracy przed dorzuceniem serdeczności oddzielnie dla obu rodzin? Normalnie nie wdawał się w tyle szczegółów, okoliczności jednak nie były normalne. Może to ostatnia "wiadomość", jaką on w życiu wysyła do najbliższych: winien im jest wyjaśnienie, czego dokonuje.

Gdy żony zobaczą te obrazy i usłyszą te słowa, będzie już znajdował się we wnętrzu Ramy — na dobre czy na złe.

8. Wewnątrz Piasty

Nigdy dotąd Norton nie odczuwał tak bliskich powiązań z owym dawno zmarłym egiptologiem. Odkąd Howard Carter po raz pierwszy zajrzał do grobowca Tutenchamona, nikt chyba nie mógł mieć podobnego przeżycia a przecież to porównanie było prawie niedorzeczne.

Tutenchamon został pochowany zaledwie wczoraj niecałe cztery tysiące lat temu. Rama może jest starsza niż ludzkość. Tamten mały grobowiec w Dolinie Królów mógłby zagubić się w korytarzach, którymi chodziły istoty w Ramie, i przestrzeń za tym ostatnim zamknięciem rozciąga się co najmniej milion razy większa. Co do skarbów, jakie Rama może zawiera — to przekracza wszelką wyobraźnię.

W eterze panowała cisza od pięciu chyba minut: dobrze wyszkolony zespół nawet nie zameldował, że wszystko skontrolowane. Mercer bez słowa po prostu dał sygnał O.K. i ruchem ręki wskazał otwarty tunel. Zupełnie tak, jakby wszyscy zdawali sobie sprawę, że nadeszła chwila historyczna, której nie wolno zepsuć zbyteczną, błahą rozmową. To odpowiadało komandorowi Nortonowi, bo na razie on też nie miał nic do powiedzenia. Zapalił reflektor na swoim hełmie, włączył dysze i powoli, ciągnąc za sobą linę ratunkową, podryfował przez krótki korytarzyk. W kilka sekund później był wewnątrz.

Wewnątrz czego? Patrzył w głąb ciemności, w której nic nie odbijało smugi jego światła. Spodziewał się, że tak będzie, ale właściwie w to nie wierzył. Obliczenia wykazały, że przeciwległa ściana Ramy jest oddalona o dziesiątki kilometrów: teraz widział na własne oczy, że to musi być prawda. Dryfując powoli, rad był z uspokojenia, jakie mu dawała lina ratunkowa, rad bardziej niż kiedykolwiek przedtem, nawet wówczas, gdy po raz pierwszy w życiu wyruszył na rozpoznanie. Śmieszne — on, który sięgał już wzrokiem poprzez lata świetlne bez zawrotu głowy… Dlaczego teraz przejmuje go lękiem kilka kilometrów sześciennych pustki?

Nadal nieswój, zastanawiał się nad tym zagadnieniem, kiedy poczuł, że amortyzator rozpędu na końcu liny hamuje go delikatnie. Zatrzymał się w miejscu z prawie niewyczuwalnym szarpnięciem. Daremnie przesunął smugę światła po nicości pod sobą: nie zobaczył powierzchni, z której się wynurzył.

Równie dobrze mógłby wisieć nad środkiem małego krateru, będącego jak dołek w dnie jakiegoś krateru znacznie większego. Z obu jego stron w zasięgu światła wznosiły się kompleksy tarasów i pomostów symetrycznych, najwidoczniej sztucznych. Przed nimi, odległe może o sto metrów, były wyjścia z tamtych dwóch systemów

śluz; zupełnie takie same.

I to już wszystko. Nie widział nic szczególnie egzotycznego ani obcego w tym widoku; właściwie przypominało to opuszczoną kopalnię. Doznał lekkiego rozczarowania: po takim wysiłku powinno było go czekać jakieś dramatyczne, a nawet transcendentalne objawienie. Ale zaraz sobie uprzytomnił, że oświetla i ogarnia wzrokiem tylko paręset metrów. W ciemnościach poza jego polem widzenia może jeszcze kryć się więcej cudów, niż chciałby zobaczyć.

Złożył krótki meldunek swoim czekającym niespokojnie towarzyszom, po czym dodał:

— Rzucam flarę… Zwłoka dwie minuty. Już.

Z całej siły podrzucił tę niedużą tubę prosto w górę czy też na zewnątrz — i zaczął liczyć sekundy, w miarę jak tuba, coraz mniejsza, oddalała się w smudze światła. Zanim doliczył do piętnastu sekund, zniknęła z jego pola widzenia. Doliczając do stu, przysłonił oczy i wycelował kamerę. Zawsze świetnie ustalał czas: brakowało tylko dwóch sekund, kiedy ów mroczny świat zajaśniał wspaniale. Tym razem już nie było powodów do rozczarowania.

Nawet moc milionów watów, jaką miała flara, nie wystarczyła, żeby oświetlić całą ogromną jamę, ale to, co teraz Norton widział, dawało mu pojęcie o jej rozplanowaniu i olbrzymiej skali. Znajdował się u jednego z wylotów cylindra o średnicy co najmniej dziesięciu kilometrów i długości nieokreślonej. Ze swego miejsca na osi widział zaokrąglone ściany, na nich taką masę szczegółów, że jego umysł mógł przyjąć zaledwie drobny ułamek tego: oto krajobraz nieznanego świata oglądany w przelotnej jasności błyskawicy. Wielkim wysiłkiem woli starał się utrwalić ten widok w pamięci.

Wszędzie wokół niego wznoszące się tarasowate zbocza “krateru” wtapiały się w zwartą ścianę obramowującą przestworza. Nie, to wrażenie było fałszywe: musiał odrzucić instynkt zarówno ziemski, jak kosmiczny, żeby zorientować się w nowym systemie współrzędnych.

Znajdował się nie w najniższym punkcie tego dziwnego wywróconego świata, tylko w najwyższym. Stąd wszystkie kierunki wiodły w dół, a nie w górę. Gdyby odszedł od tej środkowej osi w stronę wklęsłej ściany, której już nie powinien uważać za ścianę, siła ciężkości stopniowo by wzrastała. Gdyby więc dotarł na tę wewnętrzną powierzchnię walca, mógłby w każdym miejscu stanąć na niej wyprostowany, nogami do gwiazd, a głową do środka tego kręcącego się bębna. W zasadzie nic nowego — pomyślał — od zarania lotów kosmicznych siłę odśrodkową wykorzystuje się do symulacji siły przyciągania. Zadziwiająca jednak jest ta skala… Nawet Synchrosat Pięć, największa ze wszystkich stacji w przestrzeni kosmicznej, ma niecałe dwieście metrów średnicy. Trzeba by trochę czasu, żeby przywyknąć do stacji sto razy większej.

Krajobraz w tej przedziwnej rurze znaczyły obszary światła i cienia, którymi mogłyby być puszcze, pola, zamarznięte jeziora i miasteczka; z daleka w zanikającym blasku flary nie sposób było czegokolwiek rozpoznać. Wąskie linie przecinały ten krajobraz tworząc geometryczną sieć i mogłyby to być szosy, kanały czy też dobrze uregulowane rzeki: dalej w głąb walca ciemniało pasmo gęstniejącego cienia. Pełnym kręgiem otaczało wnętrze tego świata i Nortonowi przypomniał się nagle mit o Oceanusie, owym morzu, które w myśl wierzeń starożytnych otaczało Ziemię.

Tutaj chyba jest jeszcze dziwniejsze morze, nie płaskie, tylko walcowate. Zanim zamarzło w noc międzygwiezdną, czy były fale, przypływy i prądy, i ryby?

Flara wypaliła się i zgasła: chwila objawienia minęła. Ale Norton wiedział, że do końca życia zachowa te obrazy w pamięci. Żadne z odkryć, jakie przyniesie przyszłość, nie zatrze tego pierwszego wrażenia. I historia nigdy mu nie odbierze tego przywileju; on pierwszy spośród wszystkich ludzi ujrzał dzieło jakiejś obcej cywilizacji.

9. Rekonesans

— Wystrzeliliśmy już pięć długo świecących flar po osi walca, więc mamy dobre fotografie jego całej długości. Wszystkie główne cechy nanosi się na mapę; chociaż mało którą potrafimy zidentyfikować, nadajemy im prowizoryczne nazwy.

Wnętrze Ramy mierzy pięćdziesiąt kilometrów długości i szesnaście szerokości. Oba końce od wewnątrz mają kształt mis i dosyć skomplikowane kształty geometryczne. Nasz koniec nazwaliśmy Półkulą Północną i zakładamy naszą pierwszą bazę tutaj na osi.

Ze środkowej Piasty wystają co sto dwadzieścia stopni trzy drabiny, długie prawie na kilometr. Prowadzą w dół na kolisty taras czy też pierścień otaczający tę misę. Stamtąd przedłużeniem tych drabin są trzy ogromne klatki schodowe, które prowadzą na samą równinę. Jeżeli możecie sobie wyobrazić parasol o trzech tylko symetrycznie rozmieszczonych drutach, to będziecie mieli należyte pojęcie, jak wygląda ten koniec Ramy.

Każdy z drutów parasola to schody, bardzo strome, a potem z wolna coraz łagodniej opadające ku równinie w dole. Nazwaliśmy je Alfa, Beta, Gamma. Nie są ciągłe, przerywa je pięć następnych okrągłych tarasów. Obliczyliśmy z grubsza, że każde z tych schodów mają od dwudziestu do trzydziestu tysięcy stopni… Przypuszczalnie są to schody awaryjne, bo niemożliwe, żeby Ramianie — czy też jak ich tam będziemy nazywać — nie mieli żadnej lepszej drogi do osi swojego świata.

Półkula Południowa wygląda zupełnie inaczej: po pierwsze, nie ma tam schodów i nie ma płaskiej centralnie umieszczonej piasty, tylko pośrodku wznosi się ogromny szpic, wysoki na całe kilometry, i wokół niego sześć mniejszych. Cały ten układ jest bardzo dziwny, pojęcia nie mamy, co oznacza.

Pięćdziesięciokilometrową część walca pomiędzy tymi dwiema misami nazwaliśmy Równiną Środkową. Można by myśleć, że głupio określiliśmy słowem “równina” coś tak oczywiście zakrzywionego, ale potrafimy tę nazwę uzasadnić. To może wydawać się nam płaskie, kiedy tam schodzimy — podobnie jak wnętrze butelki na pewno wydaje się płaskie chodzącej po nim mrówce.

Najbardziej uderzającą cechą Równiny Środkowej jest w samej jej połowie ciemne pasmo o szerokości dziesięciu kilometrów. Wygląda jak obręcz z lodu, więc nazwaliśmy ją Morzem Równikowym. Pośrodku tego pasma widać dużą owalną wyspę o długości dziesięciu kilometrów i szerokości trzech, na niej jakieś wysokie budowle. Ponieważ ta wyspa przypomina nam Stary Manhattan, nazwaliśmy ją Nowy Jork. Nie sądzę jednak, żeby to było miasto; jest raczej jak

ogromna fabryka bądź zakłady chemiczne.

Ale miasta są tutaj, czy już w każdym razie miasteczka. Co najmniej sześć, wielkości takiej jak miasto ludzkie liczące około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców. Nazwaliśmy je Rzym, Pekin, Paryż, Moskwa, Londyn, Tokio… Są połączone szosami i czymś, co wygląda na tory kolejowe.

Chyba wystarczyłoby materiału na całe stulecia badań w tym zamarzniętym, martwym świecie. Przed nami cztery tysiące kilometrów kwadratowych do spenetrowania i zaledwie kilka tygodni, żeby tego dokonać. Nie wiem, czy kiedykolwiek znajdziemy rozwiązanie dwóch zagadek, które mnie dręczą, odkąd tylko dostaliśmy się tutaj: kim oni są i co się z nimi stało?

Nagranie się skończyło. Na Ziemi i na Księżycu członkowie Komitetu do Spraw Ramy już w odprężeniu zaczęli oglądać znowu fotografie i mapy rozpostarte przed nimi. Studiowali je przez wiele godzin, ale dopiero głos komandora Nortona nadał Ramie wymiar, jakiego żadne zdjęcia nie mogłyby odtworzyć. Norton tam jest rzeczywiście i w krótkich chwilach, gdy odwieczną noc Ramy oświetlają flary, widzi na własne oczy nadzwyczajny, przenicowany świat. To właśnie człowiek, który poprowadzi ekspedycję, żeby ten świat zbadać.

— Doktorze Perera, pan zapewne ma jakieś uwagi? Ambasador Bose zastanowił się szybko, czy nie powinien udzielić najpierw głosu profesorowi Davidsonowi, będącemu przecież starszym uczonym i jedynym w komitecie astronomem. Ale stary kosmolog, najwyraźniej nieswój, jeszcze nie ochłonął po doznanym wstrząsie. Odkąd poświęcił się nauce, przyjął, że wszechświat jest areną olbrzymich bezosobowych sił ciążenia, magnetyzmu i promieniowania, i nigdy nie uznawał doniosłej roli życia w układzie wszechświata, więc fakt, że życie pojawiło się na

Ziemi, Marsie i Jowiszu, wydawał mu się po prostu przypadkowym naruszeniem zasad.

Teraz był dowód na to, że życie nie tylko istnieje poza Układem Słonecznym, ale wspięło się już powyżej wszystkiego, co ludzkość osiągnęła dotychczas, czy też miała nadzieję osiągnąć przez następne stulecia. Co więcej, odkrycie Ramy stanowiło wyzwanie dla jeszcze jednego dogmatu, o którym profesor Olaf wykładał od lat. Chociaż gdy przyciskano go do muru, przyznawał niechętnie, że jakieś życie prawdopodobnie istnieje w innych systemach gwiezdnych, to jednak zawsze utrzymywał, że nie zdoła ono nigdy przebyć międzygwiezdnych otchłani i że wyobrażenie sobie tego jest absurdem.

Może właśnie Ramianom nie udało się przeżyć, jeżeli komandor Norton miał rację, uważając, że Rama to obecnie grobowiec. Ale

przynajmniej próbowali dokonać takiego wyczynu na skalę świadczącą o ich wielkiej ufności w rezultat. Skoro zdarzyło się to teraz, mogło też zdarzyć się w galaktyce, gdzie jest sto miliardów słońc, już wiele razy przedtem… i komuś gdzieś w końcu powinno się udać.

Tak uważał doktor Carlisle Perera i od lat bezpodstawnie, ale z żywą gestykulacją wykładał swoją tezę. Teraz był bardzo zadowolony, ale jednocześnie prawie rozczarowany. Odkrycie Ramy efektownie potwierdziło jego pogląd cóż, kiedy nie mógł znaleźć się tam wewnątrz, ani bodaj zobaczyć Ramy na własne oczy. Gdyby nagle ukazał się diabeł i dał mu możność natychmiastowej teleportacji, on by podpisał kontrakt z mocami piekieł, nawet się nie fatygując odczytać klauzul wypisanych drobnym drukiem.

— Tak, panie ambasadorze, myślę, że otrzymaliśmy ciekawe informacje. To jest niewątpliwie jakaś arka kosmiczna. Dawny pomysł w literaturze astronautycznej: mogę to wytropić już w twórczości brytyjskiego fizyka J.D. Bernala, który zaproponował tę właśnie metodę kolonizacji międzygwiezdnej w książce wydanej w roku 1929… tak, dwieście lat temu. Jeszcze wcześniej wysunął podobną propozycję wielki pionier rosyjski, Ciołkowski.

…Na to, by przenieść się z jednego systemu gwiezdnego do innego, jest do wyboru kilka sposobów. Przyjmując, że prędkość światła jest ograniczeniem absolutnym, a to jeszcze nie zostało niezbicie ustalone, jakkolwiek może panować zdanie wręcz przeciwne… — po tych słowach dało się słyszeć pełne oburzenia prychnięcie profesora Davidsona, ale nie był to formalny protest — … można odbyć szybki lot małym statkiem albo długą podróż jakimś olbrzymim. Wydaje się, że nie ma żadnego technicznego powodu, dla którego statek kosmiczny nie mógłby osiągnąć, a nawet przekroczyć dziewięćdziesięciu procent prędkości światła. To by oznaczało, że lot pomiędzy sąsiadującymi gwiazdami trwałby od pięciu do dziewięciu lat… uciążliwy zapewne, ale ostatecznie realny, zwłaszcza dla istot długowiecznych. Człowiek potrafi sobie wyobrazić takie loty, odbywane statkami niewiele większymi niż nasze.

Ale, być może, osiąganie takiej prędkości jest niemożliwe ze średnio dużym ładunkiem: proszę pamiętać, że trzeba mieć paliwo, żeby wytracić prędkość przy końcu lotu, nawet jeżeli będzie to lot tylko w jedną stronę. Więc chyba sensowniej nie spieszyć się… dziesięć tysięcy, sto tysięcy lat…

Bernal i inni przypuszczali, że będzie można tego dokonać ruchomymi planetkami, które by mierzyły parę kilometrów średnicy i przewoziły tysiące pasażerów w podróż trwającą przez całe pokolenia. Naturalnie musiałyby być hermetycznie zamknięte, z wciąż odnawianymi zapasami żywności i innego wyposażenia, podległego

zużyciu. Oczywiście tak właśnie funkcjonuje Ziemia… na trochę większą skalę.

Niektórzy pisarze uważali, że arki kosmiczne należy budować w formie kul koncentrycznych. Inni proponowali puste w środku walce, tak wirujące, żeby siła odśrodkowa wytwarzała sztuczne ciążenie. To właśnie, co znaleźliśmy w Ramie…

Profesor Davidson nie mógł pozwolić na takie bzdury.

— Nie ma czegoś takiego jak siła odśrodkowa. To tylko wymysł inżynierów. Jest tylko inercja.

— Pan profesor ma zupełną rację, naturalnie — przyznał Perera — chociaż może nie bardzo by się dało o tym przekonać kogoś, kogo na przykład wyrzuciło z karuzeli. Ale nie sądzę, żeby matematyczna ścisłość w dobieraniu słów była konieczna…

— Proszę, proszę! — wykrzyknął doktor Bose trochę

rozjątrzony. — Wszyscy wiemy, co pan ma na myśli, czy też wydaje nam się, że wiemy. Niech pan nie rozwiewa naszych złudzeń.

— No, ja tylko chciałem wykazać, że koncepcja Ramy to nic nowego, chociaż jej rozmiary są zdumiewające. Ludzie wyobrażają sobie takie rzeczy już od dwustu lat. Teraz powrócę do innego zagadnienia. Właściwie jak długo Rama krąży po przestrzeni kosmicznej?

Mamy już bardzo dokładne dane o jej orbicie i prędkości. Zakładając, że Rama nie dokonuje żadnych manewrów nawigacyjnych, możemy wyśledzić jej położenie na przestrzeni milionów lat wstecz. Przypuszczaliśmy, że nadlatuje od strony którejś z pobliskich gwiazd… Wcale jednak tak nie jest. Minęło ponad dwieście tysięcy lat, odkąd Rama przelatywała w pobliżu jakiejkolwiek gwiazdy, której parametry zmieniają się nieregularnie… chyba najbardziej niefortunnego słońca, jakie można by sobie wyobrazić dla układu słonecznego, gdzie nie ma życia. Jasność jej waha się od jednego do ponad pięćdziesięciu: wszystkie planety jej układu są co kilka lat na zmianę spieczone albo zamarznięte.

— Chwileczkę — zabrała głos doktor Price. — Być może to by wszystko tłumaczyło. Może owa gwiazda była kiedyś normalnym słońcem, którego równowaga nagle się zachwiała? I właśnie dlatego Rama musiała wyruszyć na poszukiwanie nowego słońca?

Doktor Perera wprost uwielbiał tę starą panią archeolog, więc nie chciał jej speszyć. Ale co ona powie — zastanowił się — kiedy zacznę wykazywać rzecz w tej chwili oczywistą z zakresu jej własnej specjalności?

— W istocie braliśmy to pod uwagę — rzekł oględnie. Ale w myśl naszych obecnych teorii ewolucji gwiezdnej, jeśli są one zgodne z prawdą, ta gwiazda nigdy nie mogła mieć stałych parametrów… nigdy nie mogła mieć planet, na których by istniało życie. Tak więc Rama

krąży w kosmosie od dwustu tysięcy lat, czy nawet i od miliona.

Teraz jest zimna i ciemna, wyraźnie martwa, i chyba wiem dlaczego. Ramianie może nie mieli innego wyjścia… może faktycznie uciekali przed katastrofą… tylko że pomylili się w rachubach.

Wzajemne stosunki między organizmami i zamkniętym ich środowiskiem nigdy nie mogą być w stu procentach wydajne: zawsze coś pójdzie na marne, będą straty, zatrucie środowiska i nagromadzenie zanieczyszczeń. Miliardy lat może trwać degradacja i zagłada planety, ale w końcu się dokona. Oceany wyschną, atmosfera zacznie ulatywać…

Według naszych kryteriów Rama jest ogromna a przecież to nadal bardzo mała planeta. Moje obliczenia, oparte na uchodzeniu atmosfery przez jej kadłub, i logiczne domysły, jeśli chodzi o tempo owej biologicznej zmiany, wskazują, że z punktu widzenia ekologii mogłaby przetrwać tylko tysiąc lat. Najwyżej, powiedzmy, dziesięć tysięcy…

Przy obecnej prędkości Ramy byłoby to dosyć długo na przelot pomiędzy stłoczonymi słońcami w centrum galaktyki. Ale nie tutaj, gdzie tak daleko są rozrzucone gwiazdy jej spiralnych ramion. Rama jest statkiem kosmicznym, na którym zapasy się wyczerpały, zanim dotarła do miejsca przeznaczenia. Jest wrakiem unoszącym się wśród gwiazd.

Tylko jedną poważną obiekcję można wysunąć przeciwko tej teorii i sam ją wysunę, zanim uczyni to ktoś inny. Otóż orbita, po której leci Rama, wiedzie zdecydowanie w System Słoneczny i to mi wcale nie wygląda na czysty zbieg okoliczności. W istocie, powiedziałbym, że teraz niepokojąco zbliża się do Słońca. Śmiałek będzie musiał oderwać się na długo przed peryhelium, żeby uniknąć przegrzania.

Nie udaję, że to rozumiem. Może jakaś forma automatycznego sterowania jeszcze działa kierując Ramę do najbliższej odpowiedniej gwiazdy przez całe wieki po śmierci jego budowniczych.

A że oni nie żyją, ręczę moją reputacją. Wszystkie próbki, które pobraliśmy z wnętrza Ramy, są absolutnie jałowe… Nie znaleźliśmy ani jednego mikroorganizmu. Mówi się, jak państwo chyba słyszeli, o spowolnieniu funkcji życiowych, ale możemy to zlekceważyć. Są zasadnicze przyczyny, dla których sposoby hibernacji mogą być skuteczne na przeciąg tylko niewielu stuleci, a mytu mamy do czynienia z okresami tysiąckrotnie dłuższymi.

Tak więc pandorzyści i ich zwolennicy nie mają się czym denerwować. Ja z mojej strony żałuję. Byłoby cudownie spotkać przedstawicieli innego inteligentnego gatunku.

Ale przynajmniej otrzymaliśmy odpowiedź na jedno odwieczne pytanie. Nie jesteśmy samotni. Gwiazdy już nigdy nie będą dla nas

takie jak przedtem.

10. Zejście w ciemność

Komandor Norton miał ogromną ochotę — ale jako dowódca przede wszystkim poczuwał się do obowiązków wobec swego statku. Gdyby w czasie tej pierwszej wyprawy w głąb Ramy stało się coś niedobrego, może trzeba by uciekać.

Wobec tego oczywiście wybrał swego drugiego oficera, komandora porucznika Mercera. Chętnie zresztą przyznawał, że Karl nadaje się lepiej do takiego zadania, jako autorytet w dziedzinie ochrony życia. Napisał nawet kilka akademickich podręczników. Na sobie samym sprawdzał niezliczone rodzaje wyposażenia, często w trudnych warunkach, i zasłynął z panowania nad swoim organizmem. W jednej chwili potrafił zwolnić tętno o pięćdziesiąt procent i wstrzymać oddech prawie zupełnie na okres do dziesięciu minut. Te użyteczne sztuczki nieraz ocaliły mu życie.

A jednak przy całej swojej inteligencji i wielkich zdolnościach miał ubogą wyobraźnię. Większość ryzykownych eksperymentów czy misji to były dla niego po prostu zadania, które musiały być wykonane. Nigdy nie podejmował zbędnego ryzyka, więc nie potrzebował wykazywać tego, co nazywa się pospolicie odwagą.

Dwa napisy na jego biurku stanowiły podsumowanie jego filozofii życiowej. Jeden był pytaniem: “O czym zapomniałeś?” Drugi był zaleceniem: “Zdławiaj w sobie odwagę”. Jeśli go kiedykolwiek coś gniewało, to tylko fakt, że uważano go za najodważniejszego z odważnych we Flocie.

Skoro już został wybrany Mercer, automatycznie został także wybrany jego nieodłączny towarzysz, porucznik Joe Calvert. Chociaż właściwie nikt nie mógł zrozumieć, co ci dwaj mają ze sobą wspólnego: szczupły i zwinny Joe Calvert, oficer nawigacyjny, był o dziesięć lat młodszy niż Mercer, flegmatyczny, niewzruszenie spokojny, i w dodatku na pewno nie podzielał zainteresowań przyjaciela pasjonującego się sztuką prymitywnego kina.

Ale nigdy nie wiadomo, gdzie piorun uderzy, więc tak się stało, że przed laty Mercer i Calvert zawarli trwałą przyjaźń. Płaszczyzna dostatecznie wspólna. O wiele bardziej niezwykłe było to, że na Ziemi mieli też wspólną żonę, która każdemu z nich urodziła po jednym dziecku. Komandor Norton żywił nadzieję, że może ją kiedyś pozna: musiała to być wyjątkowa kobieta. Ten trójkąt trwał co najmniej od pięciu lat i nadal wydawał się stabilny.

Dwaj ludzie to za mały zespół badawczy. Dawno już stwierdzono, że najlepiej wysyłać trzech, bo jeśli któryś z nich zginie, dwaj pozostali mają jeszcze szanse powrotu, podczas gdy jeden, zdany tylko na własne siły, raczej nie dałby sobie rady. Po głębokim namyśle

Norton wybrał sierżanta technika Willarda Myrona. Ten utalentowany inżynier umiejący naprawić każdą maszynę — albo też na jej miejsce, gdy mimo to nie działała, zaprojektować lepszą idealnie się nadawał do badania nie znanego sprzętu. Był profesorem nadzwyczajnym przy katedrze astrotechniki, obecnie na długim urlopie naukowym, i odmówił przyjęcia stopnia oficerskiego, oświadczając, że nie powinien stawać na drodze oficerom zawodowym, którzy bardziej na awans zasługują. Nikt nie potraktował jego wyjaśnienia zbyt poważnie; ogólnie się zgadzano, że Will to człowiek bez ambicji. Mógł awansować na sierżanta oddziałów kosmicznych, ale wtedy nie zostałby profesorem zwyczajnym. Will Myron, podobnie jak niezliczeni podoficerowie przed nim, odkrył możliwość idealnego kompromisu pomiędzy władzą i odpowiedzialnością.

Gdy ci trzej, dryfując przez ostatnią śluz, wylecieli w stanie nieważkości na oś Ramy, porucznik Calvert znowu, jak często mu się zdarzało, miał wrażenie, że odgrywa retrospektywną scenę w filmie. Czasami zastanawiał się, czy nie próbować się z tego wyleczyć, ale ostatecznie uznawał, że to nawyk zgoła nieszkodliwy; sprawia, że sytuacja nawet najnudniejsza staje się interesująca i — kto wie? — może kiedyś ocali mu życie. Zawsze warto pamiętać, co Fairbanks bądź Connery, bądź Hiroshi robili w podobnych okolicznościach…

Tym razem Calvert ujrzał się w scenie nocnego wypadu z czasów jednej z wojen na początku dwudziestego wieku: sierżant Mercer prowadzi trzyosobowy patrol na ziemię niczyją. I oto są na dnie ogromnego leja po pocisku. Nietrudno było sobie to wyobrazić, chociaż ów lej otaczały równym kręgiem wznoszące się tarasy. Trzy szeroko rozmieszczone łukowe lampy plazmowe oświetlały całe to wnętrze. Ale za krawędzią najdalszego tarasu rozciągały się mroki pełne tajemnic.

Calvert dobrze wiedział, co się tam kryje. Najpierw kolista równina o ponadkilometrowej średnicy, podzielona na trzy równe części przez trzy szerokie drabiny, które wyglądają jak szerokie tory kolejowe i których szczeble we wnękach nie stanowiłyby żadnej przeszkody, gdyby coś się z góry ześlizgiwało. Ponieważ to układ symetryczny, wszystko jedno, którą drabinę wybierze się do zejścia. Oni wybrali najbliższą śluzę Alfa tylko dla wygody.

Szczeble, chociaż daleko od siebie, nie stanowiły problemu. Nawet na skraju Piasty, w odległości pół kilometra od osi, przyciąganie nadal wynosiło zaledwie jedną trzydziestą przyciągania ziemskiego. Nieśli na sobie prawie sto kilogramów wyposażenia i aparatury do ochrony życia, ale widzieli, że będą mogli łatwo chwytać się szczebli ręka za rękę.

Komandor Norton i drużyna rezerwowa towarzyszyli im tak

daleko, jak sięgała siatka lin przeciągniętych z komory powietrznej Alfa do brzegu krateru. Dalej nie sięgało też światło lamp łukowych. Czekała ich ciemność Ramy. W pląsających promieniach reflektorów hełmów widzieli tylko pierwsze kilkaset metrów drabiny coraz mniejszej w głębi na płaskiej i nijakiej równi.

Teraz Karl Mercer powiedział sobie: Muszę podjąć swoją pierwszą decyzję. Czy mam po tej drabinie wchodzić, czy schodzić?

To pytanie nie było błahe. Nadal unosili się w stanie nieważkości, więc mógł według uznania nastawić się psychicznie wobec tej wędrówki. Samym wysiłkiem woli mógł uznać, że to, na co patrzy, jest poziomą równiną albo ścianą pionowej skały ponad nim, albo też stromym spadkiem urwiska poniżej. Niejeden już astronauta doznał poważnych psychicznych zaburzeń, bo zaczynając wykonywać jakieś skomplikowane zadanie wybrał niewłaściwe współrzędne.

Mercer zdecydował się posuwać głową naprzód. W ten sposób można poruszać się najzręczniej i lepiej widzieć drogę przed sobą. Przebywając pierwsze kilkaset metrów miał więc przyjmować, że wspina się pod górę; dopiero wtedy, gdy wzrastające przyciąganie nie pozwoli mu podtrzymywać tego złudzenia, miał przestawić się psychicznie o sto osiemdziesiąt stopni.

Chwycił za pierwszy szczebel i zaczął lekko sunąć po drabinie. Przychodziło mu to tak łatwo, jakby płynął w morzu — a nawet jeszcze łatwiej, skoro nie było oporu wody. Aż korciło go, żeby przyspieszyć tempo, ale doświadczenie nakazywało mu ostrożność.

W słuchawkach słyszał miarowe oddechy swoich dwóch towarzyszy. To dostatecznie świadczyło, że obaj są w dobrej formie, nie tracił więc czasu na rozmowę. Chociaż miał ochotę się obejrzeć, wolał nie ryzykować, dopóki nie dotrą do platformy przy końcu drabiny.

Odległość między szczeblami wynosiła pół metra i pierwszą część tej wspinaczki przebył chwytając się co drugiego. Ale liczył je starannie, toteż wiedział, że wyraźne przyciąganie zaczął odczuwać przy dwusetnym. Były to skutki ruchu obrotowego Ramy.

Przy czterechsetnym szczeblu ocenił, że jego pozorna masa wynosi około pięciu kilogramów. To nie szkodziło, trudno jednak mu było dalej udawać, że wspina się, gdy w istocie coś go mocno ciągnęło w górę.

Przy pięćsetnym szczeblu uznał, że może sobie pozwolić na chwilowy postój. Mięśnie rąk już zmęczyła ta niezwykła gimnastyka, chociaż teraz wszystkie ich wysiłki przejęła Rama, a on musiał tylko zachowywać kierunek.

— Wszystko w porządku, kapitanie — zameldował. Przebyliśtny połowę drogi. Joe, Will… macie jakieś trudności?

— Ja się czuję świetnie — odpowiedział Joe Calvert dlaczego

przystanąłeś?

— Ja też świetnie — odezwał się Myron. — Ale uważajcie na siłę Coriolisa. Zaczyna się zwiększać.

Mercer stwierdził to już. Odkąd puścił szczebel, wyraźnie znosiło go w prawo. Rozpoznawał w tym po prostu skutek wirowania Ramy, ale wydawało się, że delikatnie odpycha go od drabiny jakaś tajemnicza siła.

Może więc pora, żeby posuwać się nogami naprzód, teraz, gdy "dół" zaczyna mieć znaczenie fizyczne. Zaryzykował, mimo że to groziło chwilową utratą orientacji.

— Uwaga… robię obrót.

Mocno trzymając się szczebla, przekręcił się na rękach o sto osiemdziesiąt stopni. Najpierw wzrok mu poraziły światła reflektorów hełmowych Myrona i Calverta. Potem wysoko w górze — teraz zdawał sobie sprawę, że w górze zobaczył nikłą łunę na krawędzi stromego urwiska. Na tle łuny rysowały się sylwetki komandora Nortona i drużyny pomocniczej. Ci ludzie bardzo mali i dalecy obserwowali go w napięciu, więc uspokajająco pomachał do nich ręką.

Rozluźnił palce na szczeblu i poddał się wciąż jeszcze słabemu pozornemu przyciąganiu Ramy. Opadnięcie z jednego szczebla na drugi trwało ponad dwie sekundy; na Ziemi w ciągu dwóch sekund człowiek spadając przeleciałby trzydzieści metrów.

Tempo tego opadania było tak żałośnie powolne, że spróbował trochę je przyspieszyć: popychając się oburącz, zjeżdżał po dwanaście szczebli naraz i hamował nogami, ilekroć czuł, że opada zbyt szybko.

Na siedemsetnym szczeblu znów się zatrzymał, przy czym światło reflektora hełmowego skierował w dół; tak jak sobie wyliczył, schody zaczynały się już o pięćdziesiąt metrów poniżej.

W parę minut później wszyscy trzej zeszli z drabiny. Dziwne przeżycie: po miesiącach w przestrzeni kosmicznej stanąć prosto na twardej powierzchni i poczuć jej opór pod stopami. Ważyli nadal nie więcej niż po dziesięć kilogramów, ale to wystarczało, żeby mieli poczucie stabilności. Zamykając oczy Mercer mógł uwierzyć, że znów jest w konkretnym świecie.

Parapet, a raczej podest, z którego dalej w dół prowadziły schody, mierzył około dziesięciu metrów średnicy i okręcał się z jednej i z drugiej strony w mrokach. Mercer wiedział, że tworzą pełny krąg i że gdyby przeszedł pięć kilometrów, wróciłby prosto do swego punktu wyjściowego po obejściu całego obwodu Ramy.

Jednakże przy tak znikomym przyciąganiu, jakie było tutaj, nie mogliby normalnie iść pieszo: mogli tylko dawać olbrzymie susy, a w tym właśnie kryło się niebezpieczeństwo.

Schodzenie ze stopni, wiodących daleko w ciemność, poniżej zasięgu świateł, wydawało się łatwe. Ale należało bezwzględnie

trzymać się którejś z wysokich poręczy schodów: krok zbyt śmiały, i natychmiast nieostrożny wędrowiec wyleciałby łukiem w przestrzeń i opadł może sto metrów niżej; uderzenie, jakkolwiek samo nieszkodliwe, mogłoby pociągnąć fatalne skutki, ponieważ schody w ruchu obrotowym Ramy już przesunęłyby się bardziej w lewo. A więc spadające ciało trafiłoby tylko w gładką zaokrągloną ścianę nad płaszczyzną znajdującą się o siedem kilometrów poniżej.

Byłby to piekielny zjazd — powiedział sobie Mercer. Końcowa prędkość wynosiłaby kilkaset kilometrów na godzinę. Może jednak dałoby się wprowadzić dostateczne tarcie, żeby zwolnić tempo karkołomnego zjeżdżania. Jeśliby się dało, mógłby to nawet być dogodny sposób na przebycie drogi do wewnętrznej powierzchni Ramy. — Ale wiedział, że przedtem trzeba tę możliwość zbadać.

— Kapitanie — zameldował — zeszliśmy z drabiny bez trudności. Czy pozwolisz nam ruszyć do następnego podestu? Chcę obliczyć przeciętny czas schodzenia z tych stopni. Norton odpowiedział bez namysłu:

— Ruszajcie. — Nie potrzebował dodawać: ale ostrożnie.

Niewiele czasu zabrało Mercerowi dokonanie zasadniczego odkrycia. Niemożliwością było, przynajmniej na tym poziomie, gdzie przyciąganie równało się jednej dwudziestej przyciągania ziemskiego, schodzić w sposób normalny. Każdy krok pomimo wysiłków rozwlekał się jak w zwolnionym filmie, jak we śnie, doprawdy zbyt uciążliwie; pozostawało tylko ignorować stopnie schodów i opuszczać się przekładając ręce na poręczy. Calvert doszedł do tego samego wniosku.

— Te schody zbudowano, żeby po nich wchodzić, a nie schodzić! — wykrzyknął. — Stopnie służą, kiedy się poruszamy przeciwko sile ciążenia, ale teraz są dla nas mordęgą. Może to nam nie przystoi, moim zdaniem jednak najlepiej zjeżdżać po poręczy.

— Śmieszne — zaprotestował sierżant Myron. — Trudno mi uwierzyć, że Ramianie tak zjeżdżali.

— Wątpię, czy oni kiedykolwiek korzystali z tych schodów… Według mnie to jest wyjście w razie awarii. Musieli mieć jakiś system mechaniczny, żeby dostawać się na górę. Powiedzmy, jakąś kolejkę linową. Bo i po cóż innego by były wyżłobienia biegnące od Piasty?

— Ja przyjąłem, że to był system odpływowy… Ale chyba mógłby być jednym i drugim. Ciekaw jestem, czy padały tu deszcze.

— Prawdopodobnie — powiedział Mercer. — No, myślę, że Joe ma rację i do diabła z tym, co nam przystoi. Jazda.

Poręcz — przypuszczalnie zaprojektowana z myślą o czymś w rodzaju rąk — była gładką, płaską metalową sztabą opartą na szeroko rozstawionych słupkach wysokości jednego metra. Komandor Mercer usiadł na niej okrakiem, starannie wypróbował możliwość hamowania

rękami i zaczął zjeżdżać.

Bardzo spokojnie, powoli nabierając szybkości, sunął w ciemność, rozrywając ją kręgiem światła z lampy na hełmie. Przebył tak około pięćdziesięciu metrów i zawołał do towarzyszy, żeby poszli za jego przykładem.

Żaden nie przyznałby się do tego, ale wszyscy trzej czuli się znów jak smarkacze, zachwyceni tym zjeżdżaniem. W niespełna dwie minuty przebyli kilometr drogi bezpiecznie i wygodnie. Od czasu do czasu hamowali rozpęd, zaciskając mocniej ręce na poręczy.

— Mam nadzieję, że dobrze się — bawicie! — zawołał przez radio komandor Norton, gdy zeszli na drugi podest. — Wdrapywać się z powrotem nie będzie już tak łatwo.

— To właśnie chcę sprawdzić — odpowiedział Mercer, który dla eksperymentu posuwał się to do przodu, to do tyłu. Czuł teraz silniejsze przyciąganie. — Tutaj mamy już jedną dziesiątą grawitacji ziemskiej… Zauważyliście różnicę?

Doszedł — czy też, mówiąc ściślej, dosunął się — do krawędzi podestu i skierował reflektor hełmu na następną kondygnację schodów. W zasięgu światła ta kondygnacja wyglądała nie inaczej niż poprzednia — ale po dokładnym obejrzeniu fotografii wiedział, że wysokość stopni zmniejsza się, w miarę jak wzrasta przyciąganie. Te schody najwidoczniej zaprojektowano tak, żeby wysiłek wchodzenia był raczej jednakowy na każdym odcinku ich zaokrąglonej długości.

Odwracając się Mercer spojrzał w stronę Piasty, oddalonej o dwa kilometry, teraz w górze. Nieduża łuna światła i maleńkie sylwetki na jej tle wydawały się strasznie daleko. Po raz pierwszy był rad, że nie może zobaczyć tych ogromnych schodów w całej ich długości. Chociaż nerwy miał ze stali i zbywało mu na wyobraźni, nie wiadomo, jak by zareagował, gdyby raptem zobaczył sam siebie pełznącego jak owad po powierzchni pionowo ustawionego spodka o wysokości ponad szesnastu kilometrów, którego górna połowa wznosi się nad nim jak urwisko. Do tej chwili ciemność go irytowała, teraz nieomal się z niej cieszył.

— Temperatura bez zmiany — zameldował komandorowi Nortonowi. — Nadal trochę poniżej zera. Ale ciśnienie wzrasta, tak jak się spodziewaliśmy… Około trzystu milibarów. Nawet przy tej niskiej zawartości tlenu prawie można oddychać; niżej nie będzie żadnych problemów. Jakież to ułatwienie badań. Co za odkrycie… Pierwszy nieznany świat, po którym możemy chodzić bez aparatów do oddychania. W istocie, zaraz dobrze pociągnę nosem.

Wysoko na Piaście komandor Norton poruszył się trochę niespokojnie. No, ale Mercer wie, co robi. Dosyć przeprowadził prób, żeby sprawić sobie tę satysfakcję.

Mercer wyrównał ciśnienie, odpiął zatrzask na hełmie i odetchnął

przez szczelinę, najpierw ostrożnie, potem głębiej.

Powietrze Ramy było nieruchome i zatęchłe jak w grobowcu tak pradawnym, że wszelkie ślady rozkładu zniknęły przed wiekami. Nawet on sam swym świetnym powonieniem, wyrobionym wskutek wieloletniego próbowania różnych systemów ochrony życia, i to nieraz w chwilach krytycznych, nie poczuł żadnych dających się rozpoznać zapachów. Tyle że wykrył jakiś słaby metaliczny zapach i nagle coś sobie przypomniał: pierwsi ludzie na Księżycu meldowali o lekkim zapachu spalonego prochu, gdy ponownie uszczelnili swoją kapsułę księżycową. Może w ich zanieczyszczonej pyłem księżycowym kabinie na Eagle zalatywało czymś podobnym do zapachu Ramy.

Znów zacisnął szczelnie hełm i wypuścił z płuc to obce powietrze. Nie dało mu ono nic ożywczego: nawet alpinista zaaklimatyzowany na szczycie Everestu szybko by tu umarł. Ale o kilka kilometrów niżej sytuacja będzie lepsza.

Co jeszcze należy zrobić? Nie mógł wpaść na żaden pomysł, tylko napawał się łagodnym przyciąganiem, do którego nie był przyzwyczajony. Zresztą po cóż się przyzwyczajać, kiedy mają zaraz wrócić do stanu nieważkości na Piaście?

— Wracamy, kapitanie — zameldował. — Nie ma powodu, żeby iść dalej, dopóki nie przygotujemy się do przebycia całej drogi.

— Słusznie. Będziemy obliczali wasz czas, ale nie musicie się spieszyć.

Skacząc po kilka stopni naraz, Mercer przyznawał Calvertowi zupełną rację: to były schody do wchodzenia, a nie do schodzenia. Byleby się człowiek nie oglądał i nie myślał o ich zawrotnej wysokości, taka wspinaczka jest rozkosznym przeżyciem. A przecież gdy przebył może dwieście stopni, zaczął odczuwać bóle w mięśniach łydek, więc zdecydował się zwolnić tempo. Jego towarzysze też zwolnili. Odważając się zerknąć szybko przez ramię, zobaczył ich daleko za sobą.

W sumie wchodzenie było monotonne. Szereg stopni, zdawałoby się, nie miał końca. Ale dotarli do drabiny na najwyższym podeście prawie nie zmęczeni i okazało się, że zajęło im to tylko dziesięć minut. Odpoczywali przez następne dziesięć i teraz czekał ich ostatni pionowy kilometr.

Podskok — chwycić się szczebla — podskok — chwycić się — podskok — chwycić się… Szło to łatwo, ale nudziło, aż istniało niebezpieczeństwo nieostrożności. W połowie drabiny zatrzymali się na pięć minut: ręce już bolały ich tak jak nogi. Znowu Mercer był rad, że widzi niewielki odcinek pionowej ściany, do której przywierał: mógł przynajmniej wmawiać sobie, że drabina wznosi się tylko kilka metrów powyżej zasięgu ich świateł i że wkrótce się skończy.

Podskok — chwycić się szczebla — podskok — a potem nagle

drabina rzeczywiście się skończyła. Byli z powrotem na osi w świecie nieważkości wśród zaniepokojonych przyjaciół. Cała ta wyprawa trwała niespełna godzinę i mieli pewne skromne osiągnięcia.

Ale jeszcze za wcześnie na zadowolenie z siebie. Pomimo wszystkich wysiłków przebyli mniej niż jedną ósmą tych cyklopowych schodów.

11. Mężczyźni, kobiety i małpy

Niektórym kobietom — doszedł do wniosku komandor Norton już przed laty — wstęp na pokład statku kosmicznego powinien być wzbroniony. Nieważkość czyni różne rzeczy z ich piersiami, a to diabelnie odciąga uwagę od spraw ważniejszych. Bywa dostatecznie źle, kiedy piersi kobiece są nieruchome, a co dopiero, kiedy zaczynają pląsać i miarowo drgać; trudno wymagać, żeby nawet najmocniejszy duchem mężczyzna to wytrzymał. Norton nie wątpił, że co najmniej jedną wielką katastrofę kosmiczną spowodowało dogłębne roztargnienie załogi przejętej widokiem biuściastej pani oficer w centrali.

Raz o tej swojej teorii napomknął lekarzowi pokładowemu, pani chirurg komandor Laurze Ernst, nie wyjawiając, dlaczego mu się to przypomniało. Nie było zresztą potrzeby: ci dwoje znali się aż nazbyt dobrze. Na Ziemi, wiele lat przedtem, w chwili gdy im obojgu dokuczyła samotność, poszli razem do łóżka. Prawdopodobnie już nigdy nie mieli powtórzyć tego doświadczenia (chociaż czy to kiedykolwiek wiadomo?), ponieważ od tamtego czasu wiele się zmieniło tak w jego, jak w jej życiu. Jednakże ilekroć dobrze zbudowana pani doktor, falując biustem, wchodziła do kabiny dowódcy, Norton odczuwał przelotne muśnięcie dawnej namiętności, a ona wiedziała, że on to odczuwa, i byli z siebie zadowoleni.

— Bill — zaczęła teraz — zbadałam naszych alpinistów i oto moje orzeczenie: Karl i Joe są w dobrej formie, wszystkie objawy normalne po pracy, jaką wykonali. Will jednak, jak stwierdziłem, jest wyczerpany, a co do utraty wagi… no, nie będę się wdawała w szczegóły. Chyba nie ćwiczy tyle, ile powinien, i to nie tylko on. Wszyscy coś mi kręcą z ćwiczeniami w wirówce. Jeżeli tak, uprzedzam, że potoczą się głowy. Proszę, przekaż to im.

— Dobrze, pani doktor. Ja bym jednak ich usprawiedliwił. Ci ludzie bardzo ciężko pracują.

— Mózgiem i palcami, oczywiście. Ale nie ciałem. To nie jest prawdziwa praca przeliczona na kilogramy i metry. A przecież taka właśnie praca nas czeka, skoro mamy penetrować Ramę.

— Tak, tylko czy podołamy?

— Podołamy, bylebyśmy postępowali rozsądnie. Opracowałam z Karlem plan bardzo konserwatywny, oparty na założeniu, że poniżej Poziomu Numer Dwa możemy uwolnić się od sprzętu do oddychania. Naturalnie to niewiarygodne szczęście dla nas zmienia cały obraz logistyczny. Wciąż jeszcze nie potrafimy oswoić się z koncepcją świata bez tlenu… No więc wystarczą dostawy żywności i wody oraz kombinezonów termicznych, i można działać. Schodzić będzie łatwo:

wygląda na to, że przez większość drogi da się zjeżdżać po tej bardzo wygodnej poręczy.

— Już poleciłem Chipsowi opracować model sań wyposażonych w spadochron do hamowania. Nawet jeśli okażą się nieprzydatne dla ludzi, posłużą do transportu zapasów i sprzętu.

— Doskonale. W ten sposób droga w dół będzie trwać dziesięć minut, inaczej trwałaby prawie godzinę. Ale wchodzenie na górę trudniej obliczyć. Przypuszczam, że zabierze około sześciu godzin, w tym dwie przerwy jednogodzinne. Później, kiedy nabierzemy doświadczenia i wyćwiczymy pewne mięśnie, może powrót stanie się znacznie krótszy.

— A co z czynnikami psychologicznymi?

— Trudno je określić w tak nowym otoczeniu. Największym problemem będzie chyba ciemność.

— Zainstaluję na Piaście ruchome reflektory, żeby każda grupa była cały czas w świetle, poza tym będzie miała własne lampy.

— Dobrze… To powinno być dużą pomocą.

— I jeszcze jedno: dla pewności, czy nie byłoby lepiej, żeby na początek jedna ekipa zeszła tylko do połowy schodów i wróciła… czy może wszystkie mają przebyć całą drogę od razu?

— Gdyby było dosyć czasu, doradzałabym ostrożność. Ale czasu jest mało. Zresztą nie widzę niebezpieczeństwa w zejściu na sam dół… i rozejrzeniu się tam, gdzie zejdziemy.

— Dziękuję, Lauro… to już wszystko, co chciałem wiedzieć. Zlecę zastępcy opracowanie szczegółów. Wydam rozkaz, żeby wszyscy ćwiczyli w wirówce, nastawionej na pół grawitacji… po dwadzieścia minut dziennie. Wystarczy?

— Nie. W Ramie jest sześć dziesiątych grawitacji, ale na wszelki wypadek zaleciłabym więcej. Więc, powiedzmy, trzy czwarte.

— Ojej!

— …Przez dziesięć minut…

— Na to się zgodzę.

— …dwa razy dziennie.

— Lauro, jesteś okrutna i nieustępliwa. Ale niech będzie. Przekażę im tę wiadomość przed samą kolacją. Niejednemu zepsuje apetyt.

Po raz pierwszy komandor Norton widział Karla Mercera trochę niespokojnego. Przez piętnaście minut Karl omawiał kwestie logistyczne na swój zwykły rzeczowy sposób, ale najwyraźniej coś go dręczyło. Jego dowódca, doskonale wiedząc, o co chodzi, czekał cierpliwie, aż on sam to poruszy.

— Kapitanie — powiedział wreszcie Karl — czy aby na pewno ty powinieneś poprowadzić pierwszą grupę? Gdyby tam poszło niedobrze, ja jestem człowiekiem, którego o wiele łatwiej zastąpić. I

już byłem w Ramie głębiej niż ktokolwiek inny… choćby tylko o pięćdziesiąt metrów.

— Przyznaję. Ale to jedna z takich chwil, kiedy dowódca musi poprowadzić swoich ludzi, i przecież uznaliśmy, że ta wyprawa nie będzie większym ryzykiem niż poprzednie. Jeżeli będzie się zanosiło na jakiekolwiek kłopoty, wrócę po tych schodach dostatecznie szybko, żeby się zakwalifikować na Olimpiadę Księżycową. — Czekał na dalsze obiekcje, ale żadnych już nie było, chociaż na twarzy Karla nadal malowała się troska. Więc ulitował się nad nim i łagodnie dorzucił: — Ręczę, że Joe mnie w tym biegu prześcignie.

Mercer uspokojony uśmiechnął się.

— Jednakże, Bill, wolałbym, żebyś przynajmniej wziął ze sobą kogoś innego.

— Chciałem wziąć tego jedynego, który już był tam w dole, ale nie możemy przecież wyruszyć obaj. Co do Herr doktora profesora sierżanta Myrona, on, jak twierdzi Laura, ma nadal dwa kilogramy nadwagi. Nawet zgolenie wąsów mu nie pomogło.

— Więc kto trzeci?

— Jeszcze nie zdecydowałem. To zależy od Laury.

— Ona sama chce się wybrać.

— Kto by nie chciał? Ale gdyby wpisała siebie na początek listy nadających się, miałbym spore wątpliwości.

Gdy komandor porucznik Mercer zebrał swoje papiery i wysunął się z kabiny, Norton poczuł przelotną zawiść. Prawie cała załoga — czy już co najmniej, według jego oceny, osiemdziesiąt pięć procent — jakoś urządziła się pod względem uczuciowym. Znał statki, gdzie kapitan robił to samo, ale to nie leżało w jego stylu. Chociaż dyscyplina na pokładzie Śmiałka opiera się w znacznej mierze na wzajemnym szacunku pomiędzy mężczyznami i kobietami wysoce inteligentnymi i wyszkolonymi, dowódca dla podkreślenia swego stanowiska potrzebował czegoś więcej. Jego odpowiedzialność, większa niż ich wszystkich, wymagała pewnego dystansu nawet wobec najbliższych przyjaciół. Wszelkie jego związki uczuciowe mogłyby być szkodliwe dla ducha załogi, bo prawie niemożliwością byłoby uniknąć oskarżeń o faworyzowanie. Dlatego też zdecydowanie zniechęcano do romansów przy różnicy zaszeregowania większej niż dwa stopnie. Niezależnie jednak od tego jedynym przepisem regulującym seks na statku kosmicznym było: “Byleby nie robili tego na korytarzach i nie straszyli małp”.

Na pokładzie Śmiałka rezydowały cztery superszympanse — chociaż, ściślej mówiąc, takie określenie było nietrafne; ta nieludzka załoga statku nie wywodziła się z kolonii szympansów. Tam gdzie nie ma przyciągania, chwytny ogon jest ogromnym atutem, a wszelkie próby, żeby takie ogony dać istotom ludzkim, żenująco zawiodły. Po

uzyskaniu równie kiepskich wyników w odniesieniu do dużych małp bezogonowych Superszympans-Spółka Akcyjna zainteresowała się królestwem małp ogoniastych.

Brunetka, Blondynka, Ruda i Szatynka miały nie tylko drzewo genealogiczne o konarach obejmujących najinteligentniejsze małpy Starego i Nowego Świata, ale ponadto geny syntetyczne, które nigdy nie istniały w przyrodzie. Ich wychowanie i wykształcenie kosztowało prawdopodobnie tyle samo co . wychowanie i wykształcenie przeciętnego astronauty, a przecież ze wszech miar to się opłacało. Każda z tych małp, ważąc niespełna trzydzieści kilogramów, potrzebowała tylko połowy ilości pożywienia i tlenu niezbędnych dla jednego człowieka, a wykonywała prace nieledwie trzech ludzi — według danych statystycznych 2,75 człowieka — w zakresie gospodarstwa domowego, gotowania prostych potraw, noszenia narzędzi, jak również w zakresie dziesiątków innych normalnych robót.

Liczbę 2,75 podała Superszympans-Spółka Akcyjna na podstawie niezliczonych obserwacji, badań i analiz czynnościowych małp. Chociaż tę zdumiewającą liczbę często kwestionowano, wydawała się dokładna, ponieważ małpy, których potrzeby zaspokajano w pełni, pracowały po piętnaście godzin na dobę i nigdy nie miały dosyć zadań nawet najnudniejszych i powtarzających się w kółko. Tak więc ludzie mogli żajmować się tylko pracą rzeczywiście ludzką na statku kosmicznym było to sprawą o zasadniczym znaczeniu.

W przeciwieństwie do innych małp, swoich najbliższych krewnych, te długoogoniaste małpy indyjskie na pokładzie Śmiałka okazywały uległość i posłuszeństwo, przy czym nie odznaczały się ciekawością. Wyhodowane z jednego miotu, były w dodatku bezpłciowe, dzięki czemu nie przedstawiały problemów, jakie mogłyby powstać, gdyby przemawiał do nich głos natury. Starannie wychowane, bardzo czyste, jadały wyłącznie potrawy jarskie i nie pachniały. Wspaniałe zwierzęta domowe — cóż, kiedy absolutnie nikogo nie byłoby stać na takie.

Jednakże posiadanie małp na pokładzie pomimo wszystkich plusów pociągało za sobą pewne trudności. Wymagały one własnej kwatery — oczywiście z tabliczką: Małpiarnia. Ich mała mesa była zawsze w idealnym porządku, wyposażona w telewizor, sprzęt do gier towarzyskich i zaprogramowane maszyny szkoleniowe. Celem uniknięcia wypadków obowiązywał je bezwzględny zakaz wchodzenia do pomieszczeń technicznych. Każde wejście tam oznaczono kolorem czerwonym, bo były tak wytresowane, że psychiczną niemożliwością dla nich byłoby przekroczenie zapory wizualnej.

Powstawała też trudność porozumiewania się z nimi. Chociaż ich wskaźnik inteligencji wynosił 60 i znały kilkaset słów po angielsku, to

jednak nie mogły mówić. Po prostu nie dawało się w żaden sposób zaszczepić użytecznych strun głosowych małpom zarówno bezogonowym, jak ogoniastym. Musiały wypowiadać się na migi.

Zasadnicze znaki były wyraźne i łatwe do nauczenia, więc każdy na statku mógł zrozumieć zwykłe ich wypowiedzi. Ale płynnie mówił małpim językiem tylko ich opiekun naczelny steward, McAndrews.

Krążył taki dowcip, że sierżant Ravi McAndrews jest do nich bardzo podobny — co raczej go nie obrażało, ponieważ one z krótką, ładnie zabarwioną sierścią i ruchami pełnymi wdzięku doprawdy cieszyły oko swą zwierzęcą urodą. Były też serdeczne i każdy na statku miał swoją ulubienicę: komandor Norton najbardziej sobie upodobał Rudą.

Jednak te serdeczne, przyjacielskie stosunki, które tak łatwo było zadzierzgnąć z małpami, stanowiły nowy problem, często wysuwany jako mocny argument przeciwko zatrudnieniu ich na szlakach kosmicznych. Ponieważ udawało się je wytresować tylko do zwykłych robót niższego rzędu, w krytycznych chwilach okazywały się one bardziej niż bezużyteczne. Mogły wtedy zagrażać bezpieczeństwu nie tylko własnemu, ale i ludzi, swoich towarzyszy. Zwłaszcza nauczanie ich korzystania ze skafandrów kosmicznych spełzło na niczym, bo taka koncepcja ratunku po prostu przekraczała ich pojmowanie.

Nikt nie lubił mówić o tym, ale wszyscy wiedzieli, co trzeba zrobić, gdyby kadłub Śmiałka się rozpadał albo gdyby wydano rozkaz opuszczenia statku. To zdarzyło się tylko raz: wtedy opiekun małp wykonał otrzymane polecenie bardziej niż ściśle. Znaleziono go wśród jego podopiecznych martwego — zażył tę samą truciznę. Odtąd zadanie uśpienia małp zlecano zawsze naczelnemu lekarzowi na statku, uznając, że nie będzie tym aż tak osobiście przejęty.

Norton był rad, że przynajmniej to nie należy do obowiązków kapitana. Znał ludzi, których by zabił bez takich skrupułów, jakie by odczuwał, gdyby musiał zabić Rudą.

12. Schody bogów

W czystej, zimnej atmosferze Ramy smuga reflektora wcale nie była niewidoczna. Trzy kilometry poniżej centralnej Piasty szeroki na sto metrów owal światła padał tylko na odcinek kolosalnych schodów. Ta świetlista oaza pośród ciemności sunęła powoli w dół ku okrągłej równinie o dalsze pięć kilometrów niżej, przy czym małe jak mrówki poruszały się w niej trzy ludzkie postacie i długie ich cienie.

Było to, w myśl ufnych przewidywać, schodzenie zupełnie bez przygód. Na pierwszej platformie trochę odpoczęli i Norton przeszedł kilkaset metrów po wąskiej kolistej krawędzi, zanim zaczął zjeżdżać na drugi poziom. Na drugiej platformie odrzucili aparaty tlenowe i rozkoszowali się dziwnym luksusem, jakim była możność oddychania bez urządzeń mechanicznych. Teraz mogli swobodnie prowadzić badania, wolni od największego niebezpieczeństwa, czyhającego na człowieka w kosmosie, a także od troski o szczelność skafandra i zapasy tlenu.

Gdy zjechali po poręczy na piąty poziom i mieli już tylko jedną kondygnację schodów do przebycia, przyciąganie równało się niemal połowie przyciągania ziemskiego. Zaczęli w końcu rzeczywiście odczuwać wirowanie Ramy; poddawali się tej nieubłaganej sile odśrodkowej, która rządzi wszystkimi planetami i bezlitośnie każe płacić za najmniejsze nawet potknięcia. Nadal było bardzo łatwo posuwać się w dół; ale trapiła ich myśl o powrocie po tych tysiącach i tysiącach stopni na górę.

Schody dawno przestały być zawrotnie strome i stopnie były coraz niższe. Tangens kąta nachylenia, z początku równy pięciu, teraz zmniejszył się do jednej piątej. Schodzili normalnie, nie czując się źle ani fizycznie, ani psychicznie; gdyby nie słabsze przyciąganie, mogłoby im się wydawać, że to są jakieś wielkie schody na Ziemi. Norton zwiedzał kiedyś ruiny świątyni Azteków i doznawał teraz wrażeń podobnych, chociaż stokrotnie spotęgowanych. Oto znowu ów nastrój tajemniczości, zbożnego lęku i smutku na myśl o zamierzchłej, bezpowrotnej przeszłości. Tu jednak skala zarówno w czasie, jak w przestrzeni była tak ogromna, że umysł jej nie ogarniał i wkrótce już nie reagował. Norton zastanawiał się, czy jest możliwe, by wcześniej czy później uznał dziwy Ramy za zrozumiałe same przez się.

Był jeszcze inny powód, dla którego porównanie z ruinami ziemskimi odpadało: Rama liczyła sobie sto razy więcej lat niż wszelkie budowle, jakie przetrwały na ziemi — nawet Wielka Piramida. A przecież tutaj wszystko wyglądało tak, jakby było zupełnie nowe: nie było widać żadnych śladów normalnego starzenia.

Norton biedził się nad tym, aż przyszło mu na myśl możliwe

wyjaśnienie. Wszystko, co dotychczas zbadali, to tylko część systemu awaryjnego, używanego rzeczywiście bardzo rzadko. Nie wyobrażał sobie, żeby Ramianie — o ile nie byli takimi fanatykami sprawności fizycznej, jakich nie brakuje na Ziemi kiedykolwiek chodzili po tych niewiarygodnych schodach, które wraz ze swymi dwoma odpowiednikami składały się na niewidoczną wysoko w górze literę Y. Może schody były im potrzebne tylko w okresie budowania Ramy i od tamtych pradawnych czasów nie służyły już do niczego. Ta teoria musiała chwilowo, wystarczyć, a przecież nie wydawała się słuszna. Coś było gdzieś nie tak…

Ostatni kilometr, zamiast zjeżdżać po poręczy, przebyli schodząc po dwa stopnie naraz długimi, lekkimi krokami, żeby, jak zadecydował Norton, dać bodaj trochę więcej gimnastyki mięśniom, które wkrótce mają pracować. Toteż koniec schodów stanowił dla nich nieomal zaskoczenie: raptem stopni już nie było, tylko rozciągała się płaska równina, matowoszara w coraz słabszym promieniu reflektora z Piasty, zanikająca w mrokach o kilkaset metrów przed nimi.

Norton obejrzał się w stronę tego źródła światła wysoko na osi, odległej prawie o dziewięć kilometrów. Wiedział, że Mercer patrzy przez teleskop, więc wesoło pomachał do niego ręką.

— Tu kapitan — zameldował przez radio. — Wszyscy w doskonałej formie. Nie ma trudności. Posuwamy się zgodnie z planem.

— Świetnie — odpowiedział Mercer. — Będziemy patrzyli.

Nastąpiła krótka chwila ciszy; a potem zabrzmiał czyjś jeszcze głos:

— Tu zastępca na pokładzie. W gruncie rzeczy, kapitanie, wcale nie jest świetnie. Serwisy informacyjne wrzeszczą na nas już od tygodnia. Nie spodziewam się od ciebie nieśmiertelnej prozy, ale czy nie możesz, kapitanie, powiedzieć czegoś więcej?

— Spróbuję — zachichotał Norton. — Tylko że na razie nie ma nic do oglądania. To jest jak… no, jakby się było na ogromnej ciemnej scenie z jednym tylko krążkiem reflektora. Ze sceny wznoszą się schody, pierwszych kilkaset stopni widać, reszta znika w ciemnościach w górze. Ten odcinek równiny, który widzimy, wydaje się idealnie płaski: zaokrąglenie na tym ograniczonym obszarze nie jest widoczne. I to już chyba wszystko.

— Chcesz, kapitanie, przekazać jakieś wrażenia?

— Hmm… Nadal jest bardzo zimno. Temperatura poniżej zera, więc cieszymy się, że mamy skafandry termiczne. I jest cicho, oczywiście. Inaczej niż wszędzie, gdziekolwiek byłem na Ziemi czy w kosmosie, bo zawsze przecież słyszałem tam jakieś odgłosy, choćby dalekie. Tutaj każdy odgłos ginie; otacza nas przestrzeń tak ogromna, że nie ma żadnych ech. Jest niesamowicie, ale mam nadzieję, że się z tym oswoimy.

— Dziękuję, kapitanie. Kto jeszcze? Joe, Boris?

Porucznik Joe Calvert, który nigdy nie zapominał języka w ustach, posłużył chętnie swoimi wrażeniami.

— Nie mogę nie myśleć o tym, że pierwszy raz… w ogóle możemy chodzić po jakimś innym świecie, oddychając jego naturalną atmosferą… chociaż przypuszczam, że określenie "naturalna" raczej nie jest trafne w takim miejscu jak tutaj. Jednakże Rama musi jakoś być podobna do świata swoich budowniczych. Nasze statki kosmiczne to przecież Ziemia w miniaturze. Dwa przykłady to, do diabła, za mało, ale czy z tego wynika, że wszystkie inteligentne formy życia oddychają tlenem? To, co widzimy z dzieła Ramian, nasuwa przypuszczenie, że byli oni humanoidalni, chociaż może o połowę wyżsi wzrostem niż my. Przyznasz mi rację, Boris?

Czy Joe przekomarza się z Borisem? — zadał sobie pytanie Norton. — Ciekawe, jak Boris zareaguje.

Dla wszystkich swoich towarzyszy na pokładzie Śmiałka Boris Rodrigo był trochę zagadką. Ten opanowany, spokojny i pewny siebie oficer łączności, chociaż powszechnie lubiany, nigdy nie brał pełnego udziału w zajęciach załogi. Zawsze wydawał się jakiś daleki — jak gdyby maszerował w takt innego bębna.

I doprawdy tak było. Należał on całą duszą do Piątego Kościoła Chrystusa Kosmonauty. Co się stało z owymi czterema Kościołami wcześniejszymi — Norton nigdy nie zdołał odkryć, ani też pojęcia nie miał o obrządku i rytuałach tego Kościoła. Ale główny dogmat wiary znali wszyscy: Kościół Chrystusa Kosmonauty wierzył, że Jezus Chrystus był gościem z kosmosu, i cała teologia kościoła została oparta na tym założeniu.

Może to nic dziwnego — myślał Norton — że niezwykle wysoki procent wiernych tego kościoła pracuje w takim czy innym charakterze w kosmosie. Nieodmiennie ci ludzie są sprawni, sumienni i można na nich całkowicie polegać. Cieszą się szacunkiem, a nawet sympatią, tym bardziej że nie starają się nawracać bliźnich. A przecież mają w sobie coś z lekka upiornego. Norton ani rusz nie rozumiał, jak ludzie nowocześni, z wyższym wykształceniem technicznym, mogą wierzyć w pewne rzeczy, które kosmochrystianie głoszą jako niezbite fakty.

Czekając, aż porucznik Rodrigo odpowie na podchwytliwe być może pytanie Calverta, w nagłym przypływie intuicji pojął swoje ukryte pobudki. Wybrał Borisa oczywiście dlatego, że to człowiek zdatny fizycznie, posiadający kwalifikacje techniczne i absolutnie pewny. Ale zarazem czy po części nie kierował się przy tym wyborze dosyć złośliwą ciekawością? Jak wierny takiego Kościoła będzie reagował na straszliwą realność Ramy? A jeśli natrafi na coś, co wprowadzi w jego teologię zamęt… czy też, skoro już o to chodzi, na

coś, co ją potwierdzi?

Jednak Boris Rodrigo, jak zwykle ostrożny, nie dał się sprowokować.

— To z pewnością istoty oddychające tlenem, więc możliwe, że humanoidalne. Ale poczekamy, zobaczymy. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy dokonać jakiegoś odkrycia. Może znajdziemy obrazy, posągi… może nawet zwłoki w tych miastach. Jeżeli to są miasta.

— Do najbliższego mamy zaledwie osiem kilometrów powiedział Joe Calvert ufnie.

Tak — pomyślał dowódca — ale też osiem kilometrów z powrotem… i jeszcze drogę na górę po tych piekielnych schodach. Czy możemy tak ryzykować?

Jako jedną z pierwszych możliwości zaplanował krótki wypad do "miasta", które nazwali Paryżem. Teraz musiał podjąć decyzję. Żywności i wody wystarczy na całą dobę, i zawsze będą w zasięgu wzroku drużyny ratowniczej na Piaście. Zresztą możliwość jakiegokolwiek wypadku nie wydaje się prawdopodobna na tej gładkiej, łagodnie zaokrąglonej metalowej równinie. Jedyne niebezpieczeństwo, które można przewidzieć, to wyczerpanie: gdy dotrą do Paryża, co przyjdzie im chyba dosyć łatwo, czy zdołają przed wyruszeniem w drogę powrotną dokonać czegoś więcej niż zrobienie kilku zdjęć i może pobranie jakichś małych przedmiotów należących do Ramian?

Ale nawet taka krótka wyprawa się opłaci. Czasu jest niewiele, bo Rama pędząc w stronę Słońca wkrótce zbliży się do peryhelium zbyt niebezpiecznie, żeby Śmiałek mógł nadal mu towarzyszyć.

W każdym razie ta decyzja była sprawą nie tylko Nortona. Na pokładzie statku w górze doktor Ernst kontrolowała dane przekazywane przez sensory biotelemetryczne, które miał na sobie. Ostatecznie wszystko zależało od jej orzeczenia.

— Lauro, jak myślisz?

— Półgodzinny odpoczynek. Zażyć moduł energii zawierający pięćset kalorii. I będziecie mogli wyruszyć.

— Dziękuję, pani doktor — włączył się Joe Calvert. Mogę teraz umrzeć szczęśliwy. Zawsze chciałem zobaczyć Paryż. Witaj, Montmartre, oto przybywamy!

13. Równina Ramy

Nużąca nieskończoność schodów sprawiła, że luksusem wydawała im się teraz wędrówka po równinie. Przed sobą mieli teren zupełnie płaski; tylko gdy patrzyli w prawo czy w lewo, widzieli niewyraźnie u granic zasięgu reflektora wznoszące się zaokrąglenie. Równie dobrze mogliby iść przez rozległą płytką dolinę: aż nie sposób było sobie uzmysłowić, że pełzają w rzeczywistości po wnętrzu ogromnego walca, którego krągła ściana ponad ich małą oazą światła wznosi się — nie, przechodzi w niebo.

Chociaż szli do Paryża ufni we własne siły i pełni tłumionego podniecenia, po pewnym czasie zaczęła im ciążyć prawie namacalna cisza Ramy. Każdy krok, każde słowo natychmiast ulatywało w próżnię bez echa; po przejściu kilometra z okładem porucznik Calvert nie mógł już tego wytrzymać.

Wśród swoich pomniejszych walorów miał on talent zdarzający się rzadko, aczkolwiek zdaniem wielu osób jeszcze za często - mianowicie potrafił gwizdać. Nawet nie trzeba go było zachęcać: godzinami wygwizdywał muzykę z większości filmów nakręconych w ciągu ostatnich dwustu lat. Teraz, biorąc pod uwagę okoliczności, zaczął od melodii “Hej, ho, hej, ho, do pracy by się szło!”, ale stwierdził, że jakoś nie za świetnie mu wychodzi ta basowa pieśń maszerujących krasnoludków Disneya, więc w pół taktu podjął “Most na rzece Kwai”. Potem zaprezentował w porządku mniej lub bardziej chronologicznym melodie z kilku filmowych eposów, wieńcząc to motywem ze słynnego filmu Sida Krasmana “Napoleon” z drugiej połowy dwudziestego wieku.

Była to inicjatywa dobra, ale nie podnosząca na duchu. Rama wymagał wspaniałości Bacha bądź Beethovena, bądź Sibeliusa czy też Tuan Suna, a nie błahej popularnej muzyki rozrywkowej. Norton już chciał doradzić, żeby Joe oszczędzał oddech z myślą o późniejszych wysiłkach, gdy nagle młody oficer sam pojął niestosowność swego popisu. Odtąd, poza chwilami konsultowania się ze statkiem, wędrowali w ciszy. Rama wygrała tę rundę.

Norton pozwolił na jedno zboczenie z wytyczonej pierwotnie trasy. Paryż leżał prosto przed nimi, w połowie drogi między podnóżem schodów a brzegiem Morza Cylindrycznego, ale na prawo od ich szlaku — tylko o kilometr było coś bardzo interesującego i dosyć tajemniczego, co nazwali Prostą Doliną: długie wyżłobienie z łagodnie pochyłymi zboczami, głębokie na czterdzieści metrów i szerokie na sto. Rów albo kanał nawadniający — uznali na razie; podobnie jak schody, miało to dwa swoje odpowiedniki w równych odstępach krzywizny Ramy.

Te trzy doliny o długości prawie dziesięciu kilometrów urywały się raptownie przed morzem — rzecz dziwna, jeżeli miały służyć do odprowadzenia wody. Po drugiej stronie morza układ się powtarzał: jeszcze trzy ponad dziesięciokilometrowe rowy ciągnęły się promieniście ku rejonowi bieguna południowego.

Dotarli do końca swojej Prostej Doliny po piętnastu zaledwie minutach łatwej wędrówki, odwrócili się i przez chwilę stali wpatrzeni w głąb niej, zadumani. Idealnie gładkie zbocza bez żadnych schodków ani progów opadały pod kątem sześćdziesięciu stopni; płaskie dno pokrywała jakaś biała substancja przypominająca powłokę lodową. Próbka tej substancji mogłaby rozstrzygnąć wiele kwestii spornych. Norton zadecydował, że należy pobrać próbkę.

Gdy Calvert i Rodrigo wypuszczali linę ratunkową, pełniąc rolę jej kotwic, Norton zsuwał się powoli ze zbocza. Nie wątpił, że na dnie poczuje pod stopami dobrze znaną śliskość lodu. Ale mylił się. Tarcie było zbyt duże i mógł stanąć pewnie. To musiało być jakieś szkło albo kryształ; czubkami palców dotknął tej powierzchni — zimnej, twardej, nieustępliwej.

Odwrócił się tyłem do światła reflektora i osłaniając oczy przed blaskiem bijącym mu spod nóg, spróbował zajrzeć w kryształową głębinę jak przez lód, który skuwa jezioro. Ale nic nie zobaczył — nawet gdy spróbował zogniskować smugę światła ze swojego hełmu. Owa powierzchnia przeświecała, wcale jednak nie była przezroczysta. Jeżeli to zamarznięta ciecz — pomyślał — temperatura jej topnienia jest znacznie wyższa niż wody.

Stuknął delikatnie młotkiem ze swego wyposażenia geologicznego: usłyszał, jak młotek odbija się z głuchym stukiem. Uderzył mocniej, też daremnie, i już miał stuknąć z całej siły, gdy nagle odruchowo się powstrzymał.

Roztłuczenie tego materiału wydawało się ze wszech miar nieprawdopodobieństwem, ale co by było, gdyby jednak się roztłukł? Kapitan Norton okazałby się nie lepszy od wandala rozbijającego ogromną taflę szyby. Sposobność do pobrania próbki na pewno jeszcze się nadarzy, a teraz przynajmniej są cenne informacje. Już wiadomo, że to nie jest kanał: to tylko jakiś szczególny rów, który raptownie się zaczyna i tak samo raptownie się urywa nie prowadząc donikąd. Jeżeli kiedykolwiek zawierał jakąś ciecz, to gdzie są te plamy, gdzie skorupa z zaschniętych osadów? Nie było żadnych pozostałości, jakich należałoby się w takim wypadku spodziewać. Jasne to i czyste, jak gdyby ci budowniczowie odeszli stąd wczoraj…

A więc znowu ta podstawowa tajemnica Ramy, narzucająca się, nie do uniknięcia. Norton nie miał zbyt bujnej wyobraźni; gdyby dawał się jej ponosić, nigdy przecież nie znalazłby się w obecnej sytuacji. Teraz jednak coś go tknęło — niezupełnie przeczucie, to było

raczę] oczekiwanie. Jest zupełnie inaczej, niż się wydaje: jest dziwnie, bardzo dziwnie w tym miejscu, gdzie wszystko lśni nowością, chociaż istnieje od miliona lat.

Bardzo rozważnie i powoli poszedł środkiem dna wąskiej doliny owiązany w pasie liną, którą trzymali jego towarzysze idąc za nim krawędzią. Nie liczył na żadne dalsze odkrycia, chciał po prostu rozładować swój niezwykły nastrój. Denerwował się i to nie miało nic wspólnego z niewytłumaczalną nowością Ramy.

Przeszedł niespełna dziesięć metrów, gdy raptem doznał olśnienia.

Ja znam to miejsce. Ja tu kiedyś już byłem.

Nawet na Ziemi czy innej z dobrze znanych planet takie wrażenie jest niepokojące, chociaż nie należy do rzadkości. Większość ludzi miewa to uczucie w jakichś tam chwilach i na ogół je zbywa, uważając za nagłe wspomnienie dawno zapomnianej fotografii, czysty zbieg okoliczności — bądź też, jeżeli ktoś jest skłonny do mistycyzmu, za formę telepatii, a nawet za przebłysk przyszłości. Ale tak poznać miejsce, którego żadna istota ludzka dotychczas na pewno nigdy nie widziała… jest to rzeczywiście wstrząsające. Przez kilka sekund komandor Norton stał jak wryty na gładkim, krystalicznym dnie Prostej Doliny, usiłując wyjaśnić swoje wzruszenie. Jego uporządkowany wszechświat ni stąd ni zowąd wywrócił się i mignęły mu owe tajemnice na skraju bytu, których istnienia udawało mu się dotychczas po prostu nie przyjmować do wiadomości.

Potem, ku jego ogromnej uldze, przyszedł mu na ratunek zdrowy rozsądek. Denerwujące wrażenie deja-w zniknęło zastąpione prawdziwym, wyraźnym wspomnieniem z' młodych lat.

To była prawda — rzeczywiście stał kiedyś pomiędzy takimi zboczami i patrzył, jak one na pozór zbiegają się w dali przed nim. Ale tamte zbocza porastała równo strzyżona trawa, a on stał na tłuczonych kamieniach, nie na gładkim krysztale.

Było to przed trzydziestu laty, gdy spędzał wakacje w Anglii poniekąd ze względu na koleżankę z wyższych studiów (pamiętał jej twarz, ale zapomniał, jak ona się nazywała). Przeszedł kurs archeologii przemysłowej, którą wówczas bardzo się interesowali absolwenci politechniki i uniwersyteckich wydziałów nauk ścisłych. Razem z tą koleżanką zwiedzał zabytkowe kopalnie węgla i przędzalnie, wspinał się na zrujnowane piece hutnicze i wyparniki, wybałuszając oczy patrzył pełen niedowierzania na prymitywne (więc nadal niebezpieczne) reaktory atomowe i prowadził napędzane spalinowymi silnikami bezcenne antyki na odrestaurowanych szlakach ruchu kołowego.

Nie wszystko, co wtedy widział, było autentyczne — wiele starych urządzeń zaginęło na przestrzeni stuleci, ponieważ ludzie

rzadko kiedy zawracają sobie głowę konserwowaniem pospolitych artykułów codziennego użytku. Ale tam, gdzie uznawano potrzebę ich odtwarzania, czyniono to z pietyzmem.

Tak więc młody Bill Norton mógł przejechać się lokomotywą, która turkotała po szynach z ucieszną prędkością stu kilometrów na godzinę, gdy on zawzięcie dorzucał łopatą cenny węgiel, i wyglądała doprawdy na dwustuletnią staruszkę, chociaż rzeczywiście była młodsza od niego. Jednakże trzydziestokilometrowy odcinek Wielkiej Zachodniej Linii Kolejowej był zupełnie autentyczny, bo też dobrze się natrudzono przy odkopywaniu go i przywracaniu do stanu używalności.

Gwizdało, sapało i młody Norton z piękną koleżanką wjechał w zadymioną, oświetloną tylko ogniem z kotła ciemność. Po czasie zdumiewająco długim lokomotywa wynurzyła się z tego tunelu w głęboki prosty rów między stromymi zboczami porośniętymi trawą. Tamten widok od dawna zapomniany prawie nie różnił się od widoku, jaki komandor Norton miał przed sobą teraz.

— Co się stało, kapitanie? — zawołał porucznik Rodrigo. — Natrafiłeś na coś?

Norton otrząsnął się ze wspomnień, już nie tak zgnębiony jest przedtem. Jest tu tajemnica — owszem, ale może nie przekracza ludzkiego zrozumienia. Dostał nauczkę, chociaż tej nauczki nie chciałby przekazać podwładnym. Za nic nie wolno mu dopuścić, by Rama go przytłoczyła. W uległości wobec Ramy czai się klęska, może nawet obłęd.

— Nie — odpowiedział. — Tutaj nic nie ma. Wciągnijcie mnie na górę. Pójdziemy prosto do Paryża.

14. Ostrzeżenie przed burzą

— Zwołałem zebranie Komitetu — powiedział jego ekscelencja ambasador Marsa w Organizacji Planet Zjednoczonych — ponieważ doktor Perera chce nam powiedzieć coś ważnego. Nalega, żebyśmy bezzwłocznie nawiązali łączność z komandorem Nortonem. I to na kanale bezwzględnego pierwszeństwa, który, nawiasem mówiąc, zdołaliśmy sobie załatwić nie bez dużych trudności. Oświadczenie doktora Perery jest natury raczej technicznej i myślę, że zanim je usłyszymy, przydałoby się podsumować aktualną sytuację. Doktor Price przygotowała podsumowanie. Och, właśnie… Przeprosiny za nieobecność. Sir Lewis Sands nie może być teraz z nami, bo przewodniczy pewnej konferencji, i doktor Taylor prosi, żeby mu wybaczyć.

Był dosyć rad z nieobecności doktora Taylora. Ten antropolog nagle stracił zainteresowanie dla Ramy, gdy stało się oczywiste, że w swoim zakresie niewiele będzie tu miał do roboty. Podobnie jak wielu innych, gorzko rozczarowało go stwierdzenie, że ten ruchomy świat jest martwy; żadna więc okazja do wydawania sensacyjnych książek i kaset o życiu i obrzędach Ramian. Inni mogli wykopywać szkielety, klasyfikować wyroby — do Conrada Taylora nie przemawiały takie rzeczy. Być może jedynym odkryciem, budzącym w nim zainteresowanie na nowo i to natychmiast, byłyby jakieś bardzo wyraźne dzieła sztuki z rodzaju, na przykład, słynnych fresków Thery i Pompei.

Thelma Price, archeolog, zajmowała odmienne stanowisko. Wolała prowadzić wykopaliska wśród ruin nie odwiedzanych przez miejscową ludność, która tylko przeszkadza w beznamiętnych badaniach archeologicznych. Realne było pod tym względem dno Morza Śródziemnego przynajmniej dopóki nie zaczęli tam przybywać projektanci krajobrazu. Rama byłaby wprost doskonała, gdyby nie jeden irytujący fakt: oddalenie o sto milionów kilometrów, które nie pozwoli jej nigdy zbadać owych terenów osobiście.

— Jak wszystkim panom wiadomo — rzekła — komandor Norton jednorazowo przebył prawie trzydzieści kilometrów bez żadnych przeszkód. Zbadał ten ciekawy okop, naniesiony obecnie na nasze mapy pod nazwą Prosta Dolina. Czemu służy Prosta Dolina, nadal nie wiemy, ale z pewnością ma ona jakieś znaczenie, ponieważ biegnie przez całą długość Ramy, tyle że przerywa ją Morze Cylindryczne; ponadto są dwa identyczne okopy oddalone od siebie o sto dwadzieścia stopni na obwodzie Ramy.

Następnie ekspedycja komandora Nortona skierowała się w lewo… czy też na wschód, jeżeli uwzględnimy tam biegun północny, i

dotarła do Paryża. Jak widzieliśmy już na fotografii zrobionej kamerą teleskopową z Piasty, jest to skupisko kilkuset budowli stojących przy szerokich ulicach.

Ale te oto fotografie zrobiła grupa komandora Nortona tam na miejscu. Jeżeli Paryż jest miastem, to bardzo dziwnym. Proszę zobaczyć, żadna z tych budowli nie ma okien ani nawet drzwi! Prostopadłościenne bloki o ślepych ścianach i jednakowej wysokości trzydziestu pięciu metrów. Zdawałoby się, że zostały wyparte z gruntu, na którym stoją. Nie widać żadnych spojeń ani wpustów… Tu mam zbliżenie podstawy ściany, proszę zwrócić uwagę, jak gładko przechodzi w grunt.

Ja osobiście przypuszczam, że Paryż nie jest osiedlem. To chyba jakieś magazyny czy składnice dostaw. Potwierdza moje przypuszczenie ta fotografia…

Takie wąskie szczeliny czy rowki o szerokości mniej więcej pięciu centymetrów biegną wzdłuż wszystkich ulic; ich odnogi prowadzą do każdego budynku, prosto w ściany. Ogromnie to przypomina szyny tramwajowe w pierwszej połowie dwudziestego wieku: najwidoczniej te rowki należą do jakiegoś systemu transportu.

My nigdy nie uznaliśmy za celowe skierowanie środków komunikacji publicznej poszczególnie do każdego domu. Po prostu byłby to absurd z punktu widzenia ekonomii. Ludzie zawsze mogą przejść kilkaset metrów. Ale gdyby te budowle służyły jako magazyny ciężkich materiałów, to miałoby sens.

— Wolno mi o coś zapytać? — odezwał się ambasador Ziemi.

— Oczywiście, sir Robercie.

— Czy komandor Norton dostał się do któregoś z tych budynków?

— Nie. Z tonu jego sprawozdania można poznać, że czuł się dosyć bezradny. W pewnej chwili uznał, że wejścia tam mogą być tylko od spodu, potem odkrył rowki systemu transportowego i zmienił zdanie.

— Nie próbował się włamać?

— To byłoby niemożliwe bez użycia materiałów wybuchowych bądź ciężkich narzędzi. A on nie chce niszczyć, dopóki wszystkie inne sposoby nie zawiodą.

— Już wiem! — wykrzyknął nagle Dennis Solomons.

— Słucham.

— Metoda, którą wprowadzono kilkaset lat temu wyjaśnił historyk nauk ścisłych — zwana dowcipnie przesypaniem naftaliną. Żeby coś zachować, umieszcza się to w pokrowcu z plastyku i wpompowuje się do tego pokrowca jakiś obojętny gaz. Pierwotnie chroniono tak sprzęt wojskowy w okresach międzywojennych; niekiedy nawet całe okręty. Teraz jest to metoda. powszechnie stosowana w muzeach, gdzie brak miejsca na magazynowanie: nikt nie wie, co kryją niektóre kilkusetletnie kokony w podziemiach

Instytutu imienia Smithsona w Waszyngtonie.

Carlisle Perera nie odznaczał się cnotą cierpliwości; pragnął czym prędzej ogłosić swoją sensację i już nie mógł panować nad sobą ani chwili dłużej.

— Proszę, panie ambasadorze! To jest bardzo interesujące, ale wydaje mi się, że informacje, które ja posiadam, należy państwu przekazać natychmiast.

— Jeżeli nie ma kontrargumentów, dobrze, niech pan mówi, doktorze Perera.

Agrobiolog, w przeciwieństwie do Conrada Taylora, wcale nie był odkryciami w Ramie rozczarowany. Nie spodziewał się stwierdzenia tam życia, ale liczył na to, że wcześniej czy później zostaną znalezione jakieś szczątki stworzeń, które zbudowały ten fantastyczny świat. Badania Ramy ledwie się zaczęły, chociaż czasu było bardzo mało, zważywszy konieczność rychłej ucieczki Śmiałka z orbity ocierającej się o Słońce.

Ale teraz, jeżeli on nie myli się w swoich obliczeniach, kontakt ludzkości z Ramą może trwać jeszcze krócej, niż się obawiał. Jeden szczegół bowiem przeoczono — coś tak oczywistego, że nikt tego dotąd nie zauważył.

— Jak wynika z otrzymanych ostatnio wiadomości zaczął Perera — jedna grupa jest w drodze nad Morze Cylindryczne, a druga na rozkaz komandora Nortona zakłada bazę zaopatrzeniową u stóp schodów Alfa. Kiedy baza będzie gotowa, Norton chce, żeby co najmniej dwie misje prowadziły badania bez ustanku. Ma nadzieję, że w ten sposób maksymalnie wykorzysta ograniczoną liczbę ludzi, którymi dysponuje.

Dobry plan, ale chyba nie zdąży się go przeprowadzić. Ja bym doradzał, żeby Norton niezwłocznie zarządził alarm i przygotował się do odwrotu na pokład statku w ciągu dwunastu godzin. Pozwolą państwo, że wyjaśnię. .

Rzecz dziwna, mało kto zastanawia się nad dosyć wyraźną anomalią w Ramie. Otóż Rama jest obecnie głęboko w środku orbity Wenus, ale jej wnętrze pozostaje zamarznięte. A temperatura jakiegokolwiek przedmiotu znajdującego się w bezpośrednim blasku Słońca w tym miejscu wynosi około pięciuset stopni!

Oczywiście to dlatego, że Rama jeszcze się nie rozgrzała. Kiedy leciała w przestrzeni międzygwiezdnej, jej temperatura była chyba bliska absolutnego zera. Teraz, w okolicy Słońca, kadłub jest już prawie tak gorący jak roztopiony ołów. Ale wewnątrz, dopóki ten żar nie przeniknie przez kilometr skały, nadal będzie zimno.

Znamy taki wymyślny deser, podawany na gorąco, ale z lodami w środku… nie pamiętam, jak się nazywa.

— Zapiekana Alaska. Lubią to podawać na bankietach Planet

Zjednoczonych aż za często, niestety.

— Dziękuję, sir Robercie. Tak właśnie przedstawia się sytuacja Ramy, ale tylko chwilowo. Od tygodni żar słoneczny przedziera się stale i gwałtowny wzrost temperatury to teraz kwestia kilku godzin. Ale nie w tym tkwi problem: do czasu, gdy będziemy musieli z Ramy uciekać, jeszcze się utrzyma zupełnie znośny klimat tropikalny.

— A więc o co chodzi?

— Mogę na to odpowiedzieć jednym słowem, panie ambasadorze. Huragany.

15. Brzeg morza

Było teraz we wnętrzu Ramy ponad dwadzieścia osób płci obojga — sześć na równinie, reszta w drodze, zajęta regularnym dostarczaniem sprzętu i żywności przez system śluz i dalej po schodach. Na statku, niemal opuszczonym, byli tylko dyżurni; krążył nawet dowcip, że Śmiałkiem w gruncie rzeczy zawiadują cztery małpy i że Ruda otrzymała awans na zastępcę kapitana.

Z myślą o tych pierwszych wyprawach badawczych Norton wydał kilka zarządzeń; najważniejsze z nich datowało się z czasów najwcześniejszych lotów człowieka w kosmos. W każdej grupie, zadecydował Norton, musi być jedna osoba z doświadczeniem. Ale nie więcej niż jedna. W ten sposób wszyscy będą mogli nabierać doświadczenia możliwie najszybciej.

Tak więc w pierwszym zespole, mającym udać się nad Morze Cylindryczne, chociaż prowadziła go pani komandor doktor Laura Ernst, był weteran, porucznik Boris Rodrigo, który właśnie wrócił z wyprawy do Paryża. Tym dwojgu towarzyszył sierżant Pieter Rousseau po zejściu ze służby w drużynie pomocniczej na Piaście; był on specjalistą od aparatury badawczej, ale teraz miał polegać na własnych oczach i małym przenośnym teleskopie.

Od stóp schodów Alfa do brzegu Morza Cylindrycznego było niespełna piętnaście kilometrów — czyli, uwzględniając słabe przyciąganie Ramy, osiem kilometrów ziemskich. Laura Ernst, która musiała zadokumentować, że naprawdę jest tak sprawna fizycznie, jak głosi, nadawała żwawe tempo. Z półgodzinną przerwą w połowie drogi, dotarli do celu bez żadnych przygód w ciągu trzech godzin.

Dosyć nużyła jednostajnością ta wędrówka w promieniu reflektora poprzez głuchą ciemność Ramy. Krąg światła, sunąc razem z nimi, powoli wydłużał się w wąską elipsę; to, że promień jest coraz krótszy, było jedynym widocznym dowodem ich postępów. Gdyby obserwatorzy wysoko na Piaście nie podawali im raz po raz komunikatów, oni sami by nie wiedzieli, czy przebyli kilometr, czy pięć kilometrów, czy dziesięć. Automatycznie wlekli się przed siebie po tej jednolitej metalowej powierzchni wśród nocy trwającej od miliona lat.

Wreszcie jednak wypatrzyli coś w dali na granicy słabego już światła reflektora. W normalnym świecie byłby to horyzont. Podchodząc bliżej zobaczyli, że równina, po której idą, nagle się urywa. Dotarli nad Morze Cylindryczne.

— Do brzegu tylko sto metrów — usłyszeli głos z Kontroli na Piaście. — Zwolnijcie tempo.

Zwolnili już przedtem raczej bez potrzeby. Brzeg opadał

prostopadle do morza z wysokości pięćdziesięciu metrów jeżeli to było morze, a nie jeszcze jedna nawierzchnia z owego tajemniczego krystalicznego materiału. Chociaż Norton przestrzegał wszystkich przed niebezpieczeństwem uznawania czegokolwiek w Ramie za rzecz oczywistą, mało kto wątpił o tym, że Morze Cylindryczne jest skute lodem. Ale dlaczego południowy brzeg morza ma wysokość pięciuset metrów, a ten tutaj liczy pięćdziesiąt?

Wydawało im się, że podchodzą na skraj świata. Owal reflektora, ścięty ostro przed nimi, skracał się coraz bardziej. W dole jednak na zaokrąglonym ekranie morza już pląsały ich potworne skrócone cienie, wyolbrzymiając każdy ruch. Dotychczas sunęły z nimi krok w krok przez całą drogę wzdłuż promienia światła z Piasty, ale teraz, przełamane krawędzią urwiska, jakby przestały należeć do nich. Równie dobrze mogłyby to być dziwne stworzenia z Morza. Cylindrycznego, gotowe rozprawić się z intruzami.

Z pięćdziesięciometrowego urwiska można było po raz pierwszy ocenić zaokrąglenie Ramy. Ale któż kiedykolwiek widział, żeby zamarznięte jezioro zakrzywiało się w górę i przechodziło w walcowatą ścianę? Ten widok tak bardzo niepokoił, że wzrok ludzki starał się znaleźć jakieś inne interpretacje. Doktor Laura Ernst, która swego czasu studiowała złudzenia wizualne, miała zrazu wrażenie, że patrzy na poziomo zaokrąglającą się zatokę, a nie na powierzchnię poddartą raptownie w górę. Świadomego wysiłku woli wymagało przyjęcie tej fantastycznej prawdy.

Tylko bezpośrednio przed nimi, równolegle do osi Ramy, perspektywa była normalna. Tylko tam wzrok szedł w parze z logiką. Przynajmniej na przestrzeni najbliższych kilku kilometrów morze Ramy wydawało się płaskie i było płaskie… Tam też, daleko za ich zniekształconymi cieniami i granicą promienia reflektora, leżała wyspa.

— Kontrola na Piaście — powiedziała przez radio doktor Ernst. — Proszę skierować światło na Nowy Jork.

Nagle ogarnęły ich mroki nocy, gdy owal światła przesunął się po morzu. Świadomi, że stoją nad niewidoczną przepaścią, wszyscy cofnęli się o kilka metrów. I raptem, jak gdyby pod wpływem czarów nastąpiła zmiana dekoracji na scenie, zobaczyli wyraźnie nowojorskie drapacze chmur.

Podobieństwo do Manhattanu z dawnych czasów było tylko powierzchowne: owo gwiezdne echo z przeszłości Ziemi miało tonację własną. Doktor Ernst patrząc nabierała coraz większej pewności, że to wcale nie jest miasto.

Prawdziwy Nowy Jork na Ziemi, podobnie jak wszystkie osiedla ludzkości, nigdy nie stał się taki, jak go zaprojektowano. Natomiast to skupisko budowli miało jakiś ogólny symetryczny układ, w swojej

złożoności dla umysłów ludzkich niepojęty. Ten Nowy Jork wykoncypowała i rozplanowała jakaś panująca inteligencja — po czym w myśl planu został zbudowany nie inaczej niż maszyna, która ma służyć do określonego celu. Odtąd już nie było żadnych możliwości rozrostu czy zmiany.

Promień reflektora powoli sunął po tych dalekich basztach, kopułach, przenikających się kulach i krzyżujących rurach. Gdzieniegdzie błyskało, ilekroć światło odbijało się od jakiejś powierzchni. Gdy błysnęło tak po raz pierwszy, wszyscy osłupieli z wrażenia. Mogłoby się wydawać, że stamtąd, z tej dziwnej wyspy, ktoś daje im sygnały…

Cóż, kiedy nie zdołali zobaczyć nic poza tym, co w powiększeniu ukazywały fotografie zrobione z Piasty. Po kilku minutach znowu poprosili o światło reflektora i ruszyli wzdłuż krawędzi urwiska na wschód. Przyjęto, że gdzieś powinny być jakieś schody czy może pochylnie prowadzące do morza. Jeden z członków załogi, zapalony żeglarz, wysunął ciekawe przypuszczenie:

“Tam, gdzie jest morze — oświadczyła pani sierżant Ruby Barnes — muszą być doki i porty… i statki. Badając sposób budowy statków można się dowiedzieć wszystkiego o kulturze”. Jej koledzy uznali, że to jest punkt widzenia dosyć ograniczony, ale przynajmniej stanowiło to nowy pogląd na całą sprawę.

Doktor Ernst zrezygnowała z poszukiwań drogi w dół i chciała opuścić się na linie, gdy porucznik Rodrigo wypatrzył wąskie schody. Łatwo byłoby je przeoczyć w mrokach poniżej krawędzi urwiska, bo nie zaznaczała ich żadna poręcz, nic w ogóle. Wyglądały tak, jakby nie prowadziły donikąd: biegły stromo przy pięćdziesięciometrowej ścianie i znikały pod powierzchnią morza.

Obejrzeli te schody dokładnie w reflektorach swoich hełmów i orzekli, że raczej nie są niebezpieczne, więc doktor Ernst otrzymała od komandora Nortona pozwolenie na zejście. W minutę później ostrożnie próbowała stąpać po morzu.

Nogi jej się ślizgały prawie bez tarcia. Powierzchnia morza przypominała lód. To był lód.

Gdy stuknęła w to młotkiem, ujrzała dobrze znaną promienistą pajęczynę pęknięć po uderzeniu i bez trudu zebrała tyle kawałków lodu, ile potrzebowała. Niektóre już stopniały, gdy pojemnik na próbki uniosła pod światło. Ostrożnie powąchała tę ciecz wyglądającą jak trochę mętna woda.

— Czy to bezpieczne? — niespokojnie zawołał z urwiska Rodrigo.

— Możesz mi wierzyć, Boris — odpowiedziała. — Przecież wiem, że nawet gdyby były tu jakieś patogeny, które przemknęły się przez moje detektory, to i tak nasze polisy ubezpieczeniowe wygasły tydzień temu.

Ale Boris miał rację. Pomimo wszystkich przeprowadzonych analiz istniała możliwość, że ta substancja jest trująca bądź też zawiera bakterie jakiejś choroby. W normalnych okolicznościach doktor Ernst nie podjęłaby nawet tak małego ryzyka. Teraz jednak czasu miała niewiele, a stawka była ogromna. Choćby okazało się konieczne prze prowadzić kwarantannę na Śmiałku, opłaciłoby się pani doktor zdobycie w ten sposób wiedzy.

— To woda. Ale nie chciałabym jej pić. Pachnie jak hodowla alg, które się zepsuły. Wprost nie mogę się doczekać chwili, kiedy będę mogła przekazać ją do laboratorium.

— Czy bezpiecznie jest chodzić po tym lodzie?

— Tak, twardy jak kamień.

— Wobec tego możemy dostać się do Nowego Jorku?

— Czy możemy, Pieter? Próbowałeś kiedy przejść cztery kilometry po ślizgawce?

— Och, rozumiem. Ciekaw jestem tylko, jak zareagowaliby w Dziale Zaopatrzenia, gdybyśmy poprosili o łyżwy. Co nie znaczy, żeby wielu z nas umiało jeździć na łyżwach, nawet gdybyśmy mogli je dostać.

— I jeszcze jedna trudność — wtrącił się Boris Rodrigo. Temperatura już podniosła się powyżej zera. Wkrótce lód stopnieje. Ilu kosmonautów potrafi przepłynąć cztery kilometry? Na pewno nie ta pani…

Doktor Ernst wróciła na krawędź urwiska, triumfalnie pokazując flaszeczkę z próbkami.

— Długi był ten spacer, żeby zebrać kilka centymetrów sześciennych wody. Ale może one powiedzą nam o Ramie więcej, niż dotychczas wiemy. Wracajmy na statek.

Ruszyli ku dalekim światłom na Piaście lekkimi, długimi susami, które przy słabym przyciąganiu były najlepszym sposobem chodzenia. Często oglądali się za siebie, urzeczeni zagadką wyspy pośrodku zamarzniętego morza.

I tylko w pewnej chwili pani doktor Ernst wydawało się, że czuje na policzku muśnięcie wiatru.

Ale to był tylko jeden lekki powiew, więc szybko o tym zapomniała.

16. Kealakekua

— Jak panu świetnie wiadomo, doktorze Perera — powiedział ambasador Bose tonem cierpliwej rezygnacji niewielu z nas posiada taką jak pan wiedzę w zakresie meteorologii matematycznej. Proszę zatem ulitować się nad nami ignorantami.

— Z przyjemnością — odpowiedział egzobiolog, zgoła nie speszony. — Mogę to wyjaśnić najprzystępniej, jeśli powiem, co wkrótce stanie się w Ramie.

Temperatura tam zaczyna wzrastać, bo do wnętrza Ramy przenika słoneczny żar. Jak wynika z ostatnich informacji, już jest powyżej zera. Lody Morza Cylindrycznego wkrótce zaczną topnieć, przy czym, w przeciwieństwie do lodów na Ziemi, będą topniały od dna w górę. To może wywołać dziwne skutki. Ale bardziej niepokoi mnie atmosfera. Będzie nagrzana, powietrze w Ramie, rozszerzone, zacznie się podnosić ku osi środkowej. W tym właśnie rzecz. Na poziomie gruntu, chociaż pozostaje pozornie nieruchome, ulega w rzeczywistości wirowaniu Ramy, z prędkością ponad ośmiuset kilometrów na godzinę. Otóż unosząc się ku osi, nie będzie mogło tej prędkości zachować, a prędkość ruchu obrotowego Ramy przecież się nie zmieni. Rezultatem będą gwałtowne wichury i zaburzenia meteorologiczne. Przewiduję prędkość wiatru od dwustu do trzystu kilometrów na godzinę.

Nawiasem mówiąc, bardzo podobnie dzieje się na Ziemi. Na równiku, który, jak wiadomo, wiruje z prędkością Ziemi, sześćset kilometrów na godzinę — rozgrzane powietrze wywołuje podobne zjawiska, kiedy podnosi się i uchodzi na północ i na południe.

— Ach, pasaty. Zapamiętałem to z lekcji geografii.

— Właśnie, sir Robercie. Tam w Ramie będą pasaty w całym tego słowa znaczeniu. Przypuszczam, że potrwa to nie dłużej niż kilka godzin, po czym znów zapanuje jakaś równowaga. Ale tymczasem doradzałbym komandorowi Nortonowi ewakuację, możliwie najszybszą. To jest wiadomość, którą proponuję nadać…

Nie potrzebując wysilać zbytnio wyobraźni komandor Norton powiedział sobie, że równie dobrze mógłby to być zaimprowizowany nocny obóz u podnóża góry gdzieś na pustkowiu Azji czy Ameryki. Bałagan śpiworów, składane krzesła i stoły, przenośna elektrownia, instalacja oświetleniowa, elektryczne urządzenia sanitarne, najróżniejsze aparaty i instrumenty naukowe wcale nie wyglądałyby niezwykle na Ziemi — tym bardziej że i tutaj ludzie pracowali bez aparatów tlenowych.

Rozbijanie tego obozu Alfa było zadaniem żmudnym, ponieważ

musieli wszystko najpierw przenosić sami przez śluzy, potem z Piasty wysyłać saniami, wreszcie na dole odszukiwać i rozpakowywać. Nierzadko, gdy spadochrony hamujące zawodziły, ładunek lądował o dobry kilometr za daleko. Pomimo to kilku członków załogi prosiło o pozwolenie na taką jazdę: Norton wydał stanowczy zakaz, ale nie szkodziło spróbować — może by ten zakaz odwołał.

Prawie całe wyposażenie mieli odchodząc zostawić, ponieważ transport z powrotem na statek byłby zbyt trudny w istocie niemożliwy. Chwilami komandora Nortona jednak dręczył irracjonalny wstyd na myśl o tym, że w tak dziwnie nieskazitelnym miejscu zostawia tyle śmieci. Przed odejściem gotów był poświęcić trochę drogocennego czasu, żeby zostawić wszystko w porządku. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, mogliby kiedyś, gdy Rama będzie przelatywała przez jakiś inny układ gwiezdny, znowu wkroczyć tu goście. Niech nie nabiorą zbyt niskiego mniemania o Ziemi.

Na razie wyłaniał się bardziej palący problem. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Norton otrzymał z Marsa i z Ziemi prawie identyczne wideogramy. Może to był dziwny zbieg okoliczności, ale może też jego żony współczuły sobie nawzajem, zwyczajnie jak żony, które mieszkając fortunnie na dwóch różnych planetach skłonne są pod wpływem dostatecznego rozdrażnienia do szczerych odruchów solidarności. Obie raczej dobitnie przypomniały mu, że chociaż jest teraz wielkim bohaterem, pozostaje nadal mężem i ojcem, głową dwóch rodzin.

Komandor wziął składane krzesełko i wyszedł z kręgu światła w ciemność otaczającą obóz. Tylko takie odosobnienie było możliwe, żeby zebrać myśli z dala od krzątaniny. Odwrócił się tyłem do tego metodycznego zamętu i zaczął mówić do mikrofonu magnetofonu zawieszonego na szyi.

— Oryginał do teczki Osobiste, duplikaty na Marsa i na Ziemię. Cześć, kochanie. Tak, ja wiem, że kiepski ze mnie korespondent, ale jestem już od tygodnia w terenie. Zostawiliśmy na statku tylko szczątkową załogę i obozujemy w Ramie u stóp schodów, które nazwaliśmy Alfa.

Wysłałem już trzy zespoły zwiadowcze na równinę, posuwamy się jednak żałośnie powoli, bo wszędzie trzeba chodzić pieszo. Gdybyśmy mieli jakieś środki transportu! Chętnie bym się zgodził na kilka rowerów elektrycznych, doskonale by się nadawały.

Poznałaś mojego lekarza pokładowego, doktor Laurę Ernst… — Urwał, niepewny: przedstawił Laurę tylko jednej ze swoich żon, ale której? Lepiej to skasować.

Więc ostatnie zdanie sformułował inaczej:

— Mój lekarz pokładowy pani chirurg Ernst poprowadziła

pierwszą grupę nad Morze Cylindryczne, piętnaście kilometrów stąd. Stwierdziła, że jest to zamarznięta woda, jak się tego spodziewaliśmy… ale ty byś nie chciała tej wody pić. Doktor Ernst mówi, że to jest rozcieńczona zupa organiczna, zawierająca ślady prawie każdego związku węgla, jaki mógłby przyjść na myśl, oraz fosfaty, azotany i dziesiątki soli metali. Nie ma ani śladu życia — bodaj martwych mikroorganizmów, toteż nadal nie wiemy nic o biochemii Ramian, tyle że prawdopodobnie nie bardzo różniła się od naszej.

Coś muskało mu włosy, pomyślał, że powinien już je podstrzyc, i to zanim znów włoży hełm kosmiczny…

— Widziałaś na zdjęciach Paryż i inne miasta, które badamy po tej stronie morza: Londyn, Rzym, Moskwę. Nie sposób wierzyć, że zbudowano je po to, żeby cokolwiek w nich żyło. Paryż wygląda jak olbrzymia składnica. Londyn jest zbiorowiskiem walców połączonych rurami z czymś, co przypomina stację pomp. Wszystko hermetycznie zamknięte, tak że nie możemy stwierdzić, co jest wewnątrz, bez użycia materiałów wybuchowych bądź laserów. Ale ich nie użyjemy, dopóki nie okaże się, że nie ma alternatywy. Rzym i Moskwa…

— Przepraszam, kapitanie. Bardzo pilne z Ziemi.

Co znowu? Norton się zniecierpliwił. Nie może człowiek mieć paru minut dla siebie i swoich rodzin?

Wziął tę wiadomość od sierżanta i szybko przeczytał, chcąc stwierdzić ku własnej satysfakcji, że wcale nie jest taka pilna. Ale zaraz przeczytał ją ponownie o wiele wolniej.

Cóż to takiego, do diabła, Komitet do Spraw Ramy? Dlaczego on nigdy o czymś takim nie słyszał? Wiedział, że usiłują nawiązać z nim łączność najróżniejsze zrzeszenia, towarzystwa i związki zawodowe — niektóre poważne, inne kompletnie zbzikowane. Dotychczas Kontrola Misji spisywała się znakomicie, po prostu nie dopuszczając, żeby zawracano mu głowę. Teraz więc też chyba by tej wiadomości nie dostał, gdyby nie miała istotnego znaczenia.

“Wiatr o prędkości dwustu kilometrów… prawdopodobnie zerwie się nagle” — no, nad tym trzeba się zastanowić. Ale trudno to traktować serio wśród nocy Ramy tak spokojnej i cichej, i czyż nie śmieszna byłaby ucieczka ich wszystkich jak spłoszonych myszy teraz, ledwie rozpoczęli rzetelne badania?

Komandor Norton podniósł rękę, żeby znów odgarnąć włosy opadające na czoło. I raptem ręka mu znieruchomiała, zdrętwiał.

Przecież czuł kilkakrotnie powiewy wiatru w ciągu ostatniej godziny. Powiewy tak lekkie, że zupełnie je zlekceważył: ostatecznie był dowódcą statku kosmicznego, a nie żaglowca. Dotychczas ruchy powietrza wcale go nie obchodziły. Co by zrobił w takiej sytuacji od dawna już zmarły kapitan Cook?

W każdej krytycznej chwili w ciągu ubiegłych kilku lat Norton zadawał sobie to pytanie. Miał taki sekret, którego nie wyjawił nikomu. I podobnie jak większość ważnych spraw w jego życiu, ta również wyłoniła się przypadkowo. Dowodził statkiem kosmicznym Śmiałek już od kilku miesięcy, gdy raptem pojął, że jego statek nazywa się tak na cześć jednego z najsławniejszych żaglowców w historii Ziemi. Istotnie, przed czterystu laty, w ciągu których było co najmniej dziesięć Śmiałków morskich i dwa kosmiczne, pływał po oceanach węglowiec z Whitby o wyporności trzystu siedemdziesięciu ton, i nim właśnie w latach 1768-1771 odbył rejs dokoła świata kapitan Królewskiej Marynarki Wojennej James Cook.

Z niejakim zainteresowaniem, które szybko zmieniło się w przemożną ciekawość, prawie manię, Norton zaczął czytać wszystko o Cooku, co tylko zdołał znaleźć, aż stał się chyba jednym z najwybitniejszych znawców życia i osiągnięć największego podróżnika wszystkich czasów. Potrafił całe ustępy z “Dzienników” recytować z pamięci.

Wciąż jeszcze wydawało mu się niewiarygodne, że jeden człowiek mógł tyle dokonać, mając tak prymitywne wyposażenie. Cook był nie tylko świetnym nawigatorem, ale i uczonym, i — w epoce przecież brutalnej dyscypliny postępował humanitarnie. Okazywał swoim ludziom dobroć wówczas niezwykłą; a już wręcz zadziwiał fakt, że w taki sam sposób odnosił się do dzikusów, często mu wrogich, na nowych lądach, które odkrywał.

Norton w głębi duszy marzył — wiedząc, że jego marzenie nigdy się nie ziści — o tym. by odtworzyć przynajmniej jeden z rejsów Cooka dokoła świata. Nawet zrobił mały, ale efektowny początek, którym z pewnością zadziwiłby kapitana Cooka, wielkiego podróżnika; przeleciał kiedyś po orbicie biegunowej bezpośrednio nad Wielką Rafą Koralową. Było to wczesnym rankiem bezchmurnego dnia, i z wysokości czterystu kilometrów widział wspaniale ten mur martwych korali, zaznaczony linią białych pian wzdłuż wybrzeża Queensland.

Potrzebował niespełna pięciu minut, żeby przelecieć całe dwa tysiące kilometrów rafy. Jednym rzutem oka mógł ogarnąć tygodnie niebezpiecznego rejsu tamtego Śmiałka. Przez teleskop zobaczył przelotnie Cooktown i zalew, gdzie tamten statek wyciągnięto na brzeg nieomal roztrzaskany o rafę.

W rok później, gdy zwiedzał hawajską Stację Śledzenia Szlaków Kosmicznych, miał jeszcze bardziej pamiętne przeżycie. Płynąc wodopłatem po zatoce Kealakekua wzdłuż ponurych skał wulkanicznych, poczuł ku swemu zdumieniu i nawet zażenowaniu głębokie wzruszenie. Za przewodnikiem idąc z grupą naukowców, inżynierów i astronautów minął rozmigotany metalowy obelisk, który

postawiono w miejscu dawnego pomnika, zmiecionego przez Ogromne Tsunami w roku 1968. Przeszli wszyscy jeszcze kilka metrów po czarnej śliskiej lawie, tam gdzie nad samą zatoką była nieduża płyta. Słabe fale rozbijały się o brzeg, ale Norton prawie ich nie widział. Pochylony odczytał słowa:

W POBLIŻU TEGO MIEJSCA

W POBLIŻU TEGO MIEJSCA

ZOSTAŁ ZABITY KAPITAN JAMES COOK

14 LUTEGO 1779 ROKU

PIERWSZĄ TABLICĘ ODSŁONIĘTO

28 SIERPNIA ROKU 1928

STARANIEM KOMITETU UCZCZENIA

STO PIĘĆDZIESIĄTEJ ROCZNICY

ZASTĘPUJE JĄ NINIEJSZA TABLICA

ODSŁONIĘTA STARANIEM

KOMITETU UCZCZENIA TRZECHSETLECIA

14 LUTEGO 2079 ROKU

To było odległe o wiele lat i o sto milionów kilometrów. Ale w takich chwilach jak teraz uspokajający duch kapitana Cooka wydawał się bardzo bliski. Norton wyobrażał sobie, że pyta go:

“No, kapitanie Cook, co pan doradza?”

Bawił się tak, ilekroć nie miał dostatecznych podstaw do logicznego rozeznania i musiał zdawać się na intuicję. W tym właśnie między innymi widział talent Cooka: Cook zawsze dokonywał

właściwego wyboru — aż po sam kres nad zatoką Kealakekua.

Sierżant czekał cierpliwie, gdy jego dowódca milcząc patrzył w ciemność Ramy. Ta ciemność już nie była nieprzenikniona: w dwóch punktach, oddalonych o jakieś cztery kilometry od siebie, rozjaśniały ją światła ekip badawczych.

Kiedy będzie trzeba, mogę ich odwołać w ciągu godziny pomyślał Norton. — A to chyba wystarczy.

Odwrócił się do sierżanta.

— Nadacie: Komitet do Spraw Ramy, za pośrednictwem Telekosmo. Wdzięczny za radę podejmę środki ostrożności. Proszę wyjaśnić, co znaczy określenie “nagle”. Z poważaniem, Norton, dowódca Śmiałka.

Czekał, aż sierżant zniknie sunąc w stronę jaśniejących świateł obozu, po czym znów włączył magnetofon. Ale stracił już wątek i nie mógł wprawić się na nowo w odpowiedni nastrój. Uznał, że lepiej tę korespondencję odłożyć na kiedy indziej.

Raczej nie mógł spodziewać się pomocy kapitana Cooka, gdy zaniedbywał swoje obowiązki. Nagle sobie przypomniał, jak rzadko i krótko widywała męża biedna Elizabeth Cook w ciągu szesnastu lat ich małżeństwa. A przecież urodziła. Cookowi sześcioro dzieci — i przeżyła je wszystkie.

Jego, Nortona, żony nigdy nie bywają dalej od niego niż o dziesięć minut świetlnych. Nie mają więc się na co uskarżać…

17. Wiosna

W pierwsze “noce” na Ramie niełatwo było spać. Ciemność i jej tajemnice dziwnie przygnębiały, ale jeszcze bardziej denerwowała cisza. Brak jakichkolwiek odgłosów, to nie było naturalne: zmysły ludzkie muszą zawsze coś odbierać. Jeżeli są tego pozbawione, umysł zaczyna sam wytwarzać namiastki. Wielu narzekało, ze słyszy szmery, a nawet głosy będące najwyraźniej złudzeniem, ponieważ ci, którzy nie spali, nie słyszeli w tym czasie niczego. Lekarz pokładowy komandor Ernst przepisała bardzo prosty i skuteczny sposób leczenia tej przypadłości: w godzinach spoczynku rozbrzmiewała teraz niegłośna, kojąca muzyka.

Tej nocy jednak Norton stwierdził, że to nie skutkuje. Wciąż wytężał słuch w ciemności i wiedział, co usiłuje usłyszeć. Ale chociaż słabe powiewy muskały go po twarzy, nie było szumu zrywającego się wiatru ani też żadna z drużyn dalej w terenie nie meldowała o niczym niezwykłym.

Dopiero około północy według czasu statku zdołał zasnąć. Zawsze ktoś dyżurował w centralce na wypadek pilnych meldunków. Inne środki ostrożności nie wydawały się konieczne.

Żaden ziemski huragan nie wywołałby takiego hałasu, jaki dosłownie postawił Nortona i cały obóz na nogi w ciągu sekundy. Myśleli, że niebo się wali albo że Rama pękła i teraz się rozpada. Najpierw usłyszeli straszliwy huk, a potem szeregi rozdzierających, przeciągłych brzęknięć, jakby tłukły się miliony inspektów. Trwało to minuty długie jak godziny i jeszcze rozbrzmiewało cichnąc jak gdyby gdzieś bardzo daleko, gdy Norton doszedł do centrali.

— Kontrola na Piaście! Co się dzieje?

— Chwileczkę, kapitanie. To jest na morzu. Puszczamy tam światło.

Z wysokości ośmiu kilometrów promień reflektora przesunął się po równinie. Dosięgnął morza, zaczął sunąć wzdłuż brzegu przenikając w głąb tego świata. Oświetlił tak jedną czwartą obwodu walca i zatrzymał się.

Tam w górze — na niebie czy też czymś, co umysł nadal uparcie nazywał niebem — działo się coś niezwykłego. Z początku wydawało się Nortonowi, że morze kipi. Już nie było nieruchome w okowach wieczystej zimy: cały ten ogromny obszar chwiał się. I zmieniał barwę: coraz szerszym pasem jaśniała biel.

Nagle w morzu, może o ćwierć kilometra od Nortona, coś podniosło się pochyło jak klapa w podłodze. Migotliwe i roziskrzone w promieniu reflektora, powoli, majestatycznie skierowało się ku niebu. Potem jak klapa zamknęło się, zniknęło pod ogromną falą pienistej

wody, która trysnęła na wszystkie strony.

Dopiero wtedy Norton w pełni zrozumiał, co się dzieje. Lód pękał. Przez te wszystkie dni i tygodnie morze topniało w swoich głębinach. Z trudem zbierał myśli wśród łoskotów i ryków nadal rozbrzmiewających i odbijających się echem, usiłował pojąć przyczynę tak dramatycznej odwilży. Na Ziemi, gdy ruszają lody zamarzniętego jeziora czy rzeki, jest inaczej… Ależ oczywiście! To dosyć zrozumiałe teraz, kiedy już się stało. Tutaj morze topnieje od spodu, w miarę jak żar słoneczny przenika przez kadłub Ramy. A lód, zamieniając się w wodę, ma coraz mniejszą objętość…

A więc morze opada pod górną warstwą lodu, pozostawia ją bez podpory. Dzień po dniu zanosiło się na ten przełom, aż wreszcie obręcz lodu otaczająca równik Ramy runęła niczym most pozbawiony środkowego filaru. Rozpadała się na setki ruchomych wysepek, które miały uderzać o siebie i trzaskać, dopóki one też nie stopnieją. Norton zdrętwiał, gdy sobie przypomniał, jak zamierzał dotrzeć po lodzie do Nowego Jorku.

Nawałnica szybko mijała, w tej wojnie wody i lodu nastąpiło chwilowe zawieszenie broni. Za kilka godzin, przy ciągłym wzrastaniu temperatury, woda miała wygrać, ostatnie ślady lodu miały zniknąć zupełnie. Ale nie ulegało wątpliwości, że na długą metę walne zwycięstwo odniesie lód, gdy Rama okrąży Słońce i pomknie jeszcze raz w noc międzygwiezdną.

Norton pamiętał o tym i znów zaczął oddychać. Wezwał ekipę znajdującą się najbliżej morza. Ku jego uldze porucznik Rodrigo odpowiedział natychmiast. Nie, woda nie dosięgła ich. Fala nie rozbiła się o krawędź wzniesienia.

— Więc już wiemy — dodał Rodrigo bardzo spokojnie po co to urwisko.

Norton w duchu przyznał mu rację. Trudno jednak wytłumaczyć — pomyślał — dlaczego tamten drugi, południowy brzeg jest dziesięciokrotnie wyższy…

Reflektor z Piasty nadal sunął wolno po całej okolicy. Zbudzone morze stopniowo się uspokajało, biała kipiel już nie tryskała spod wywracającej się kry. Po piętnastu minutach zakłócenie się skończyło.

Ale w Ramie już nie panowała cisza: ten świat zbudził się ze snu i co chwila rozbrzmiewały zgrzytania, gdy zderzały sie lodowce.

Wiosna trochę opóźniona — myślał Norton — ale zimę przegnała.

Znów powiał wiatr, mocniejszy niż przedtem. Rama udzieliła dość ostrzeżeń: czas odejść.

Gdzieś w połowie drogi powrotnej komandor Norton poczuł znowu wdzięczność dla ciemności nie pozwalającej mu zobaczyć nic powyżej i poniżej. Wiedział, że ma jeszcze przed sobą co najmniej

dziesięć tysięcy stopni, i mógł sobie wyobrazić widok tych stromych schodów; a przecież to, że ich nie widział, czyniło wędrówkę łatwiejszą do wytrzymania.

Wchodził na górę już po raz drugi i wiele nauczył się z błędów popełnionych przy pierwszym wchodzeniu. Zwalczał więc pokusę, żeby wchodzić szybko przy tym słabym przyciąganiu, gdy każdy krok jest tak lekki, że trudno przyjąć powolne, przeciągłe tempo. Ale jeśli się takiego tempa nie przyjęło, to już po przebyciu pierwszych paru tysięcy stopni odczuwało się w udach i łydkach dziwne bóle. Mięśnie, o których istnieniu wcale się nie wiedziało, buntowały się, wymagając coraz dłuższych chwil odpoczynku. Pod koniec wspinaczki więcej czasu zabierało odpoczywanie niż samo wchodzenie, ale i tak był bardzo zmęczony. Przez pierwsze dwa dni cierpiał na bolesne kurcze nóg i gdyby nie to, że wrócił do środowiska nieważkości na statku, nie zdołałby chyba podjąć takiego wysiłku.

Więc tym razem ruszył wolno, prawie jak starzec. Z racji swojego stanowiska opuścił równinę ostatni. I już inni wchodzili rozciągnięci na półkilometrowym odcinku schodów ponad nim: widział ich światła, sunące pod górę po niewidocznym zboczu.

Serce mu się ściskało na myśl o niepowodzeniu misji, chociaż jeszcze miał nadzieję, że odwrót jest tylko chwilowy. Może na Piaście da się zaczekać, aż wszelkie zakłócenia atmosferyczne ustaną. Może będzie tam ów śmiertelny spokój jak w oku cyklonu, więc mogliby przesiedzieć tę przewidywaną burzę nie ryzykując.

Uznał, że znów zbyt pochopnie wyciągał wnioski na podstawie niebezpiecznych analogii z Ziemią. Meteorologia planety nawet o ustalonej regularności to sprawa ogromnie złożona. Pomimo kilkusetletnich badań ziemskie prognozy pogody nadal są dosyć niepewne. A Rama nie tylko jest układem zupełnie nowym: ulega ponadto błyskawicznym zmianom, skoro temperatura w ciągu paru zaledwie godzin podniosła się o dobre kilka stopni. Nic jednak nie zapowiadało huraganu, tyle że były jakieś łagodne podmuchy z różnych chyba stron.

Przebyli już pięć kilometrów pod górę, co przy tym słabym i słabnącym coraz bardziej przyciąganiu równało się niecałym dwom kilometrom w warunkach ziemskich. Na trzecim poziomie, odległym o trzy kilometry od osi, odpoczywali przez godzinę, pokrzepiając się lekkimi zakąskami i masując sobie mięśnie nóg. Jeszcze tylko na tym etapie mogli oddychać swobodnie i właśnie tutaj — podobnie jak zdobywcy Himalajów w dawnych czasach — pozostawili przedtem swoje aparaty tlenowe, żeby założyć je teraz, przed wyruszeniem w dalszą drogę.

W godzinę później dotarli do szczytu schodów, tam gdzie zaczynała się drabina. Przed sobą mieli ostatni pionowy kilometr, na

szczęście w polu grawitacyjnym o sile wynoszącej tylko kilka procent przyciągania Ziemi. Jeszcze jeden odpoczynek, tym razem półgodzinny, staranne sprawdzenie tlenu — i byli już gotowi przebyć ten odcinek końcowy.

I znów Norton upewnił się, czy wszyscy jego ludzie w odstępach dwudziestometrowych wspinają się bezpiecznie po drabinie przed nim. Czekała ich wspinaczka powolna, miarowa, nad wyraz nudna. Najlepiej było nie myśleć w ogóle o niczym i machinalnie odliczać szczeble — sto, dwieście, trzysta, czterysta…

Na szczeblu tysiąc dwieście pięćdziesiątym Norton nagle zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Światło z hełmu, padające na ścianę bezpośrednio przed jego oczami, zmieniło barwę… i zrobiło się stanowczo za ostre.

Nawet nie zdążył się zatrzymać ani wykrzyknąć ostrzeżenia do ludzi powyżej niego. Stało się to w ciągu niespełna sekundy.

Bezszelestnie rozpraszając mroki, zajaśniał w Ramie świt.

18. Świt

Blask był taki, że Norton musiał mocno zaciskać powie. Dopiero po minucie odważył się je uchylić i spod rzęs spojrzeć na ścianę w odległości kilku centymetrów od jego twarzy. Zamrugał kilkakrotnie, poczekał, aż łzy wyschną, i wreszcie odwrócił się powoli, żeby zobaczyć świt Ramy.

Zdołał wytrzymać ten widok tylko przez kilka sekund, potem musiał znów zamknąć oczy. Nie przed blaskiem, z którym już się oswoił — tylko przed budzącą cześć chwałą, po raz pierwszy widoczną w całej pełni.

Wiedział dokładnie, czego się spodziewać, a przecież patrzył oszołomiony. Ogarnęło go nieopanowane drżenie: zacisnął ręce na szczeblu drabiny, tak jak tonący czepia się koła ratunkowego. Mięśnie przedramion miał napięte, a jednocześnie nogi — już zmęczone godzinami ciągłej wspinaczki — nieomal mu sflaczały. Gdyby nie to, że przyciąganie było słabe, chyba by spadł.

Przeszkolenie jednak wzięło w nim górę i po chwili zastosował pierwsze lekarstwo na panikę. Zaciskając powieki, usiłując usunąć spod nich widok wspaniałości Ramy, zaczął oddychać głęboko, żeby napełnić płuca tlenem i usunąć toksyny zmęczenia z organizmu.

Prawie zaraz poczuł się znacznie lepiej, ale nie otworzył oczu, dopóki się nie zabezpieczył. To wymagało większego wysiłku woli: odjąć prawą rękę od szczebla — musiał przemawiać do niej jak do krnąbrnego dziecka, a przecież zdołał opuścić ją, odpiąć pas od szelek ratunkowych i zahaczyć o szczebel. Teraz wiedział, że cokolwiek nastąpi, on nie spadnie.

Po jeszcze kilku głębokich wdechach — nadal nie otwierając oczu — włączył radio. Miał nadzieję, że głos jego brzmi spokojnie i autorytatywnie:

— Tu kapitan. Czy nikomu się nic nie stało? — zapytał.

Gdy kolejno wywoływał nazwiska i wywoływani się odzywali — choćby głosem drżącym — szybko odzyskał pewność siebie i spokój. Wszyscy jego podwładni byli zdrowi i cali, czekali na polecenia. Znów był dowódcą.

— Nie otwierajcie oczu, zanim nie będziecie zupełnie pewni, że was ten blask nie porazi! — zawołał. — Widok jest… przemożny. Kto obawia się, że tego nie zniesie, niech się nie ogląda, tylko wchodzi dalej. Pamiętajcie, wkrótce będziecie w stanie nieważkości, więc nie spadniecie.

Raczej zbytecznie zwrócił uwagę na fakt tak zasadniczy swoim wyszkolonym kosmonautom, ale sam musiał sobie o tym przypominać co kilka sekund. Myśl o nieważkości była czymś w rodzaju talizmanu,

chroniącego przed złem. Cokolwiek oczy mu powiedzą, Rama przecież nie ściągnie go z wysokości ośmiu kilometrów w otchłań śmierci na równinie.

Duma i szacunek dla siebie po prostu nakazywały mu znów otworzyć oczy i popatrzeć na świat wokoło. Przedtem należało zapanować nad swoim ciałem.

Puścił drabinę obiema dłońmi i przełożył lewą rękę w ten sposób, by mieć szczebel pod lewą pachą. Zwierając dłonie i rozwierając czekał, aż skurcze mięśni ustaną. Wreszcie otworzył oczy i powoli odwrócił się twarzą do Ramy.

Najpierw zobaczył błękit. Łuna, która wypełniała niebo, wcale nie wyglądała jak blask słońca: mogłoby to być równie dobrze światło lamp łukowych. A więc słońce Ramy — pomyślał — najwidoczniej jest gorętsze niż nasze. To powinno zainteresować astronomów…

Teraz zrozumiał, czym były tajemnicze rowy w Prostej Dolinie i pięciu dolinach identycznych: ni mniej ni więcej tylko olbrzymimi pasmami świateł. Rama miała sześć symetrycznie rozmieszczonych, wydłużonych słońc. Z każdego światło szerokim wachlarzem padało poza środkową oś, na drugą stronę wnętrza Ramy. Zastanowił się, czy można te słońca zapalać i gasić, żeby na zmianę było jasno i ciemno, czy też następują w Ramie okresy stałego dnia.

Zbyt długo wpatrywał się w te oślepiające promienie, więc oczy znów go bolały. Rad z pretekstu, zacisnął powieki. Dopiero gdy ochłonął z pierwszego wstrząsu, zdołał postawić sobie pytanie o wiele poważniejsze:

Kto, czy też co zapaliło światła Ramy?

To przecież świat jałowy — tak stwierdzono w wyniku najbardziej wnikliwych badań, jakie potrafi przeprowadzać człowiek. A jednak teraz działo się tu coś, czego nie sposób wytłumaczyć działaniem sił naturalnych. Może w Ramie nie było życia, ale niewykluczone, że istniała świadomość, przytomność. Może zastęp robotów obudził się z odwiecznego snu? Może ta eksplozja światła była nie zaprogramowanym, przypadkowym spazmem — ostatnim tchnieniem maszyn, reagujących na ciepło nowego słońca, i wkrótce znieruchomieją one znowu, tym razem na zawsze?

Cóż, kiedy trudno uwierzyć w takie proste wytłumaczenie. Fragmenty tej łamigłówki zaczynają pasować do siebie, chociaż wielu jeszcze brak. To, że nie widać ani śladu zużycia, wrażenie, że wszystko tutaj jest nowe, jak gdyby Rama została zbudowana nie dawniej niż wczoraj…

Myśl o tym mogłaby przejmować lękiem, a nawet strachem. Nie wiadomo jednak, dlaczego żadnych takich uczuć nie budziła. Przeciwnie, Norton był rozradowany, nieomal szczęśliwy. Okazało się, że w Ramie czeka znacznie więcej do odkrycia, niż mogli dotychczas

mieć nadzieję.

Zobaczymy — powiedział sobie — co na to powie Komitet do Spraw Ramy.

Potem ze spokojną determinacją znów otworzył oczy i zaczął starannie notować w myśli wszystko, co widział.

Najpierw musiał ustalić swoje położenie. Patrzył na największą przestrzeń zamkniętą, jaką kiedykolwiek dane było ujrzeć człowiekowi, i potrzebował nakreślonej wyobraźnią mapy, żeby się zorientować.

Mała siła przyciągania pomagała niewiele, ponieważ z pewnym wysiłkiem woli mógł wyznaczyć górę i dół, jak mu się tylko podobało. Ale niektóre z tych możliwości groziły zachwianiem równowagi psychicznej, ilekroć przychodziły mu do głowy, prędko więc je odrzucał.

Najbardziej niebezpieczne było zakładanie, że znajduje się na dnie olbrzymiej studni czy też kompotierki mierzącej szesnaście kilometrów wszerz i pięćdziesiąt w głąb. Zaletę tej interpretacji stanowiła pewność, że nie spadnie nigdzie niżej; ale miała ona też poważne minusy.

Norton mógł sobie wmawiać, że owe miasta, miasteczka, różnobarwne obszary ściśle przylegają do wznoszących się ścian i nawet poszczególne kompleksy budowli, zwieszone z kopuły wysoko ponad nim, mógł porównywać do żyrandoli w jakiejś wielkiej sali koncertowej na Ziemi. Czegoś jednak w żaden sposób nie potrafił w takim układzie określić, a mianowicie Morza Cylindrycznego…

No bo w połowie wysokości studni — raptem obręcz wody, nieprzerwana, trzymająca się wokoło nie wiadomo jak. Bez wątpienia to była woda: jaskrawoniebieska, pocętkowana srebrzystymi iskierkami resztek kry. Ale pionowa tafla morza, która pierścieniem rozciągała się na przestrzeni dwudziestu kilometrów w górę, była zjawiskiem tak niesamowitym, że po chwili Norton zaczął szukać alternatywy.

Właśnie wtedy przestawił sobie cały widok o dziewięćdziesiąt stopni. I natychmiast ta głęboka studnia stała się długim tunelem, zamkniętym na jednym i drugim końcu. Uznał, że “dół” jest stanowczo od strony drabiny i schodów, z których on właśnie zszedł, i wreszcie taka perspektywa pozwoliła mu ocenić rzeczowo projekt budowniczych Ramy.

Przywierał do powierzchni wklęsłego szesnastokilometrowego urwiska, którego górna nawisła połowa całkowicie wtapiała się w łukowaty strop czegoś, co teraz było niebem. Poniżej było jeszcze pięćset z okładem metrów drabiny prowadzącej na pierwszy parapet czy taras. Tam zaczynały się schody, zrazu nieomal pionowe w tym rejonie słabego przyciągania, dalej coraz mniej strome, przerywane

jeszcze pięcioma platformami, zanim opadały na daleką równinę. W odległości pierwszych paru kilometrów widział poszczególne stopnie, potem jednak zlewały się one w jeden ciąg.

Patrząc na zawrotnie ogromne schody, nie potrafił określić ich rzeczywistej skali. Kiedyś latał dokoła Mount Everestu i czcią pełną lęku przejął go widok tej góry. Przypomniało mu się to teraz: oto schody tak wysokie jak Himalaje. Tylko że porównania nie miały tutaj znaczenia.

I właściwie z niczym nie dałoby się porównać tamtych dwóch identycznych szlaków schodów: Bety i Gammy, które wznosiły się ukośnie, a potem wysoko w górze wyginały się w tył. Norton już nabrał dosyć pewności siebie, więc odchylił się i spojrzał na nie. Ale zaraz wolałby zapomnieć, że one tam w ogóle są… Zbyt dociekliwe rozmyślanie o tym wywoływało trzeci obraz Ramy, obraz tak okropny, że bał się myśleć o tym. Znowu znajdowałby się w studni czy też w pionowo ustawionym walcu, ale teraz nie na dnie, tylko na wewnętrznej stronie pokrywy, jak mucha łażąca do góry nogami po kopulastym stropie, i miałby pod sobą otchłań o głębokości pięćdziesięciu kilometrów. Za każdym razem, gdy to sobie uświadamiał, musiał mobilizować całą siłę woli, żeby nie uczepić się znów drabiny kurczowo, w panice.

Był jednak pewny, że z czasem ten lęk minie. Dziwy i obcość Ramy przeważą nad wszelką grozą, przynajmniej dla tych, którzy mając specjalne przeszkolenie potrafią stawić czoło faktom kosmosu. Może nikt z tych, którzy nigdy nie ruszyli się z Ziemi i nigdy- nie widzieli gwiazd wszędzie wokół siebie, nie zniósłby takich widoków. Ale jeśli już w ogóle jacyś ludzie mogą je przyjąć — powiedział sobie Norton z determinacją — to właśnie kapitan i załoga Śmiałka.

Popatrzył na chronometr. Ta przerwa trwała tylko dwie minuty, a wydawała się długa jak życie. Z bardzo niewielkim wysiłkiem, pokonując swój bezwład i coraz słabsze przyciąganie, zaczął wolno podciągać się w górę po ostatnim stumetrowym odcinku drabiny. Przed wejściem do śluzy, zanim odwrócił się od wnętrza Ramy, jeszcze raz błyskawicznie się rozejrzał.

Wszystko uległo zmianie przez te kilka minut. Z morza wstawała mgła. Na przestrzeni najbliższych kilkuset metrów jej upiornie białe słupy chyliły się ukośnie w kierunku ruchu wirowego Ramy, dalej rozwiewały się w burzliwym wirze, w miarę jak napływało powietrze, kłębiąc się, ’żeby osiągnąć tę wzrastającą prędkość. Pasaty walcowatego świata zaczynały przysłaniać jego niebo deseniem: nadciągała pierwsza od nie wiadomo ilu stuleci tropikalna burza.

19. Ostrzeżenie z Merkurego

Po raz pierwszy od wielu tygodni Komitet do Spraw Ramy obradował w pełnym składzie. Profesor Solomons przybył aż z głębin Pacyfiku, gdzie badał operacje górnicze w bruzdach środkowej części oceanu. I dla nikogo nie było niespodzianką, że zjawił się znowu doktor Taylor — teraz, kiedy była przynajmniej możliwość znalezienia w Ramie czegoś bardziej sensacyjnego niż bezduszne artefakty.

Przewodniczący nie wątpił, że doktor Carlisle Perera będzie jeszcze bardziej dogmatyczny i apodyktyczny niż zwykle, skoro zapowiedział huragan w Ramie tak niechybnie. Ale ku wielkiemu zdumieniu jego ekscelencji, Perera przyjmował gratulacje kolegów dziwnie przygaszony, w nastroju, który nieomal można było nazwać zakłopotaniem.

W istocie ten egzobiolog czuł się upokorzony. Efektowne ruszenie lodów Morza Cylindrycznego było zjawiskiem o wiele bardziej oczywistym niż wichura a przecież ta oczywistość nie przyszła mu na myśl. Pamiętał, że rozgrzane powietrze się unosi, ale zapomniał, że rozgrzany lód topnieje — doprawdy to nie powód do dumy. Wkrótce jednak miał przejść nad tym do porządku i odzyskać swą normalną olimpijską pewność siebie.

Na pytanie przewodniczącego, jakie przewiduje dalsze zmiany klimatu, odpowiedział bardzo ostrożnie, starając się nie angażować.

— Muszą państwo zrozumieć — wyjaśnił — że meteorologia świata tak nam obcego jak Rama może sprawić jeszcze dużo niespodzianek. Wszelako, jeżeli nie mylę się w swoich obliczeniach, nie będzie już huraganów i warunki atmosferyczne się ustalą. Temperatura będzie wzrastać aż do peryhelium… i poza peryhelium, ale to nas nie obchodzi, ponieważ Śmiałek musi oderwać się na długo przedtem.

— Więc można bezpiecznie wrócić do wnętrza Ramy? — Hmm… zapewne. Będzie wiadomo ponad wszelką wątpliwość za czterdzieści osiem godzin.

— Powrót jest konieczny — zabrał głos ambasador Merkurego. — Musimy dowiedzieć się o Ramie możliwie najwięcej. Sytuacja teraz zmieniła się całkowicie.

— Myślę, że wiemy, o czym pan mówi, ale czy zechce pan przedstawić to szczegółowo?

— Oczywiście. Dotychczas zakładaliśmy, że w Ramie chyba nie ma życia, a już na pewno kontroli. Teraz jednak nie możemy nadal wmawiać sobie, że to jest wrak. Nawet jeśli żadnych form życia tam nie ma, może Ramą kierują roboty, mechanizmy, zaprogramowane, żeby wykonać jakieś zadanie… może bardzo groźne dla nas.

Jakkolwiek mogłoby to wydawać się nie do strawienia, musimy brać pod uwagę ewentualność samoobrony.

Powstał zgiełk protestów; przewodniczący uniósł rękę, żeby przywrócić spokój.

— Proszę nie przerywać jego ekscelencji — powiedział. Bez względu na to, czy nam się ta koncepcja podoba, trzeba ją rozważyć.

— Z całym szacunkiem dla pana ambasadora — odezwał się doktor Taylor zgoła bez szacunku — ja powiem, że możemy sobie darować naiwną obawę przed złośliwością nieznanej inteligencji. Istoty na tak wysokim stopniu rozwoju jak Ramianie musiały też odpowiednio rozwijać swoją moralność. Inaczej same siebie by zniszczyły… tak jak ludzkość omal nie doprowadziła do własnej zagłady w dwudziestym wieku. Wykazałem to jasno w mojej nowej książce “Etos i kosmos”. Mam nadzieję, że państwo otrzymali jej egzemplarze.

— Tak, dziękuję. Niestety, miałem tyle innych spraw, że zdążyłem przeczytać zaledwie przedmowę. Ale tę ogólną tezę znam dobrze. Nie możemy żywić wrogich uczuć wobec mrowiska. Kiedy jednak chcemy zbudować właśnie w tym miejscu dom…

— To jest pogląd na miarę stronnictwa pandorzystów! To ni mniej, ni więcej, tylko międzygwiezdna ksenofobia!

— Proszę, panowie! W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Panie ambasadorze, słuchamy dalej.

Przewodniczący spojrzał spode łba poprzez trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów przestrzeni kosmicznej na Conrada Taylora, już milczącego niechętnie, kipiącego jak wulkan, któremu się do wybuchu szczególnie nie spieszy.

— Dziękuję za udzielenie mi głosu — powiedział ambasador Merkurego. — Otóż to niebezpieczeństwo może nie jest prawdopodobne, ale tam, gdzie chodzi o przyszłość ludzkości, nie wolno ryzykować. I pozwolę sobie zauważyć, że chyba najbardziej dotyczy to nas, Merkurian. Chyba mamy konkretniejszy powód do niepokoju niż ktokolwiek inny.

Doktor Taylor prychnął dosyć głośno. Uciszyło go jeszcze jedno ponure łypnięcie z Księżyca.

— Dlaczego właśnie Merkury najbardziej? — zapytał przewodniczący.

— Proszę spojrzeć na dynamikę sytuacji. Rama już jest wewnątrz naszej orbity. Możemy tylko przypuszczać, że okrąży Słońce i skieruje się znowu w kosmos. A gdyby jakoś manewrując zaczęła hamować? Nastąpiłoby to na peryhelium, czyli za trzydzieści dni od dzisiaj. Moi naukowcy powiedzieli mi, że jeśli zmiana prędkości nastąpi na peryhelium, Rama osiągnie orbitę odległą zaledwie o dwadzieścia pięć milionów kilometrów od Słońca. Stamtąd mogłaby panować nad

całym Układem Słonecznym.

Długo nikt — nawet Conrad Taylor — nie mówił ani słowa. Wszyscy członkowie Komitetu myśleli o ‚tych twardych ludziach, mieszkańcach Merkurego, tak godnie reprezentowanych przez swojego ambasadora.

Większa część ludzkości uważa, że Merkury jest czymś bardzo zbliżonym do piekła. Przynajmniej wystarczałby jako piekło, dopóki nie nadarzyłoby się coś gorszego. Ale Merkurianie są dumni ze swej cudacznej planety, na której dzień trwa dłużej niż rok, wschody i zachody Słońca następują dwa razy częściej i gdzie płyną rzeki ciekłego metalu. W porównaniu z Merkurym Księżyc i Mars stanowiły wyzwanie nieomal dziecinne. Dopóki człowiek nie wyląduje na Wenus, jeśli w ogóle tam wyląduje, nigdzie nie będzie na niego czekało otoczenie bardziej wrogie niż to, które zastał na Merkurym.

A jednak Merkury pod niejednym względem okazał się kluczem do Układu Słonecznego. Teraz, po wielu latach, rozumiało się to samo przez się, ale minęło bez mała sto pierwszych lat ery kosmicznej, gdy ten fakt w końcu sobie uświadomiono. Merkurianie nigdy nie dają nikomu zapomnieć o tym.

Jeszcze zanim ludzie dotarli na Merkurego, anormalna jego gęstość wskazywała na istnienie tam ciężkich pierwiastków. Ale i tak jego bogactwa nadal zdumiewają, będąc gwarancją, że co najmniej przez najbliższy tysiąc lat najważniejsze metale cywilizacji ludzkiej się nie wyczerpią. I w dodatku te skarby znajdują się jakże fortunnie w miejscu, gdzie energia słoneczna jest dziesięć razy większa niż na chłodnej Ziemi.

Energia bez ograniczeń i bez ograniczeń metal — taka to planeta ten Merkury. Jego wielkie magnetyczne wyrzutnie mogą wystrzeliwać produkty do każdego odbiorcy w Układzie Słonecznym. Eksportuje się z Merkurego również energię pod postacią syntetycznych izotopów transuranowych bądź czystego promieniowania. Padła propozycja, żeby merkuriańskie lasery roztopiły olbrzymiego Jowisza, ale ten pomysł nie został dobrze przyjęty na innych planetach. Technologia ugotowania Jowisza otworzyłaby zbyt wiele kuszących możliwości szantażu międzyplanetarnego.

Fakt, że troskę o to w ogóle wyrażono, mówi sporo o powszechnym stosunku do Merkurian. Szanuje się ich za nieustępliwość i umiejętności techniczne, podziwia się sposób, w jaki podbili tę straszną planetę. Ale nie darzy się ich sympatią ani zaufaniem.

Jednocześnie można ich zrozumieć. Merkurianie — krąży takie dowcipne powiedzonko — czasami zachowują się tak, jakby Słońce było ich osobistą własnością. Łączy ich ze Słońcem więź ni to miłości, ni to nienawiści — podobna więź łączyła niegdyś wikingów z morzem,

Nepalczyków z Himalajami, Eskimosów z tundrą. Byliby bardzo nieszczęśliwi, gdyby coś stanęło pomiędzy nimi i tą naturalną władczą siłą, która rządzi ich życiem.

Długie milczenie wreszcie przerwał przewodniczący. Jeszcze pamiętając słońce Indii, drżał na myśl o słońcu Merkurego. Toteż traktował Merkurian rzeczywiście bardzo poważnie, chociaż uważał ich pomimo całej merkuriańskiej technologii za nieokrzesanych barbarzyńców.

— Moim zdaniem jest pewna słuszność w pana argumencie, panie ambasadorze — rzekł powoli. — Czy ma pan coś do zaproponowania?

— Mam, panie przewodniczący. Zanim zdecydujemy, jakie kroki podjąć, musimy wiedzieć pewne rzeczy. Znamy geografię Ramy… jeśli można to nazwać geografią… ale nie znane nam są jej możliwości. Klucz do całego zagadnienia jest taki: czy Rama posiada jakiś system napędowy? Czy Rama może zmienić orbitę? Byłbym ciekaw poglądu doktora Perery.

— Poświęciłem temu wiele rozważań — odpowiedział egzobiolog. — Oczywiście Rama musiała uzyskać początkową prędkość dzięki jakiejś wyrzutni, ale mogła mieć zewnętrzny napęd. Jeżeli Rama ma napęd własny, myśmy na żaden ślad tego nie natrafili. Na pewno nie ma tam żadnych dysz rakietowych ani nic podobnego, nigdzie na powłoce.

— Mogłyby być ukryte.

— Owszem. Wydaje się jednak, że to nie miałoby celu. I gdzie są te zbiorniki paliwa, gdzie źródła energii? Główny kadłub jest jednolity. Przeprowadziliśmy badania sejsmiczne. Wszystkie wydrążenia północnej pokrywy obejmuje system śluz.

— Pozostaje południowy koniec Ramy, na który komandor Norton nie mógł dotrzeć, bo oddzielił go szeroki na dziesięć kilometrów pierścień wody. Są najrozmaitsze dziwne mechanizmy i budowle na biegunie południowym, widzieli państwo fotografie. Co one znaczą, nie wiadomo. Jednego jednak mogę być pewny. Jeśli Rama naprawdę ma własny system napędowy, jest to coś poza zasięgiem naszej współczesnej wiedzy. Odważę się jednak wysunąć przypuszczenie, że w istocie to musi być ów bajeczny “kosmiczny napęd”, o którym ludzie mówią już od dwustu lat.

— Pan tego nie wyklucza?

— Z pewnością nie. Jeżeli zdołamy stwierdzić, że Rama ma kosmiczny napęd… nawet gdybyśmy nie zbadali sposobu jego działania… i tak będzie to dużym odkryciem. Przynajmniej wiedzielibyśmy, że coś takiego może istnieć.

— Co to jest kosmiczny napęd? — zapytał ambasador Ziemi dosyć bezradnie.

— Każdy rodzaj systemu napędowego, sir Robercie, nie oparty na

zasadzie działania silnika rakietowego. Antygrawitacja, jeśli to możliwe… Wciąż jeszcze nie wiemy, gdzie szukać takiego napędu. I większość naukowców wątpi, czy taki w ogóle istnieje.

— Nie istnieje — wtrącił profesor Davidson. — Newton to ustalił. Nie ma akcji bez reakcji. Napęd kosmiczny jest bzdurą. Proszę mi wierzyć.

— Być może pan ma rację — odparł Perera niezwykle jak na niego uprzejmie. — Ale w przypadku Ramy wchodzi w rachubę tylko napęd kosmiczny albo nie ma napędu wcale. Po prostu brak tam miejsca na napęd konwencjonalny z koniecznymi ogromnymi zbiornikami paliwa.

— Trudno sobie wyobrazić taki światek cały w ruchu powiedział Dennis Solomons. — Co by się wtedy działo z obiektami wewnątrz? Wszystko musiałoby być przytwierdzone. Nad wyraz to niedogodne.

— No, przyspieszenie prawdopodobnie byłoby bardzo małe. Największy problem stanowiłaby woda w Morzu Cylindrycznym. Jak dałoby się ją…

Perera nagle urwał. Oczy miał szkliste, wydawał się bliski ataku epileptycznego albo nawet zawału. Koledzy patrzyli na niego z niepokojem. Ale po chwili odetchnął normalnie, uderzył pięścią w stół i wykrzyknął:

— Oczywiście! To dlatego! Południowe urwisko… Teraz to jasne.

— Nie dla mnie — burknął ambasador Księżyca w imieniu wszystkich obecnych dyplomatów.

— Popatrzcie na ten podłużny przekrój Ramy — ciągnął Perera w podnieceniu, rozkładając mapę — czy każdy ma swoją mapę przed sobą? Morze Cylindryczne otaczają od północy i od południa dwa urwiska, które zamykają się wokół wnętrza Ramy. Urwisko północne ma wysokość zaledwie pięćdziesięciu metrów; południowe z drugiej strony ma wysokość prawie pół kilometra. Dlaczego taka duża różnica? Nikomu nie przychodzi na myśl logiczny powód? Powiedzmy, że Rama jest wyposażona we własny napęd, przy czym koniec północny staje się dziobem. Wtedy woda w Morzu Cylindrycznym się cofa, poziom jej na południu się podnosi… może o setki metrów. To by tłumaczyło wysokość urwiska. Chwileczkę…

Perera zaczął bazgrać coś wściekle. I prawie natychmiast nie minęło chyba dwadzieścia sekund — podniósł wzrok triumfalnie.

— Znając wysokość tych brzegów, można by obliczyć maksymalne przyspieszenie Ramy. Wystarczyłoby przyspieszenie wynoszące dwa procent ziemskiej grawitacji, żeby morze przelało się na południowy kontynent.

— Jedna pięćdziesiąta ziemskiego przyspieszenia? To niedużo.

— Owszem, dużo… dla masy równej dziesięciu milionom megaton. I właśnie tego Ramie potrzeba do manewrów w podróżach

międzygwiezdnych.

— Dziękuję bardzo, doktorze Perera — powiedział ambasador Merkurego. — Dał pan nam twardy orzech do zgryzienia. Panie przewodniczący, czy możemy zwrócić komandorowi Nortonowi uwagę na doniosłość przeprowadzenia badań bieguna południowego?

— On robi wszystko, co w jego mocy. Morze Cylindryczne to oczywiście przeszkoda. Próbują tam zbudować tratwę, żeby dostać się przynajmniej do Nowego Jorku.

— Biegun południowy jest chyba ważniejszy. Tymczasem przedstawię te sprawy Zgromadzeniu Ogólnemu. Czy Komitet się zgadza?

Nie było żadnych sprzeciwów, nawet ze strony doktora Taylora. Ale akurat wtedy, gdy członkowie komitetu mieli się wyłączyć z obwodu, sir Lewis podniósł rękę.

Ten sędziwy historyk tak rzadko zabierał głos, że jeśli już to czynił, wszyscy pilnie słuchali.

— Gdybyśmy rzeczywiście stwierdzili… że Rama jest… aktywna… i ma te możliwości… co z tego? Jak mówi stare porzekadło wojskowe, możliwości jeszcze nie oznaczają zamiarów.

— Mielibyśmy czekać, dopóki nie odkryjemy zamiarów Ramy? — żachnął się Merkurianin. — Wtedy może już być za późno.

— Już jest za późno. Nie możemy nic zrobić, żeby zapanować nad Ramą. Zresztą wątpię, czy mogliśmy kiedykolwiek przedtem…

— Ja panu nie przyznam racji, sir Lewis. Możemy zrobić wiele, jeśli to okaże się konieczne. Tylko że czasu mamy rozpaczliwie mało. Rama jest jajkiem kosmicznym, rozgrzanym w promieniach Słońca. Coś może się wykluć lada chwila.

Przewodniczący spojrzał na ambasadora Merkurego z nie ukrywanym zdumieniem. A zdumiony bywał doprawdy nieczęsto na przestrzeni całej swej dyplomatycznej kariery.

Nigdy by nie przypuszczał, że ktokolwiek z Merkurego potrafi fantazjować, i to tak poetycznie.

20. Apokalipsa

Norton wiedział, że ilekroć ktoś z załogi tytułował go dowódcą albo — co jeszcze gorsze — panem Nortonem, na pewno chodziło o coś poważnego. Nie przypominał sobie, żeby dotychczas zwrócił się tak do niego Boris Rodrigo, a więc sprawa musi być szczególnie poważna. Nawet w normalnych okolicznościach porucznik komandor Rodrigo był człowiekiem pełnym rozwagi, rzeczowym.

— Jakieś kłopoty, Boris? — zapytał Norton, gdy drzwi kabiny zamknęły się za nimi.

— Chciałbym prosić o pozwolenie, dowódco, żeby nadać wiadomość kanałem zastrzeżonym bezpośrednio na Ziemię.

To było rzeczywiście niezwykłe, chociaż nie bez precedensu. Normalnie nadawali sygnały do najbliższego odbiornika planetarnego — ostatnio korzystając z pośrednictwa Merkurego — i pomimo że czas przekazu był kwestią minut, nieraz mijało kilka godzin, zanim wiadomość znalazła się na biurku adresata. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto ta zwłoka nie miała znaczenia, zdarzały się jednak sprawy bardzo pilne, a wtedy za zezwoleniem kapitana można było korzystać z kanałów bardziej bezpośrednich i o wiele bardziej kosztownych.

— Oczywiście wiesz, Boris, że musisz mi podać konkretny powód. Całe nasze pasmo częstotliwości jest już przeciążone przekazywaniem danych. Czy to pilna sprawa osobista?

— Nie, dowódco. Coś znacznie ważniejszego. Chcę nadać wiadomość dla mojego Kościoła.

Aha — pomyślał Norton. — I jak tu z tego wybrnąć? — Byłbym rad, gdybyś mi wyjaśnił.

Nie tylko ciekawość podyktowała to żądanie, chociaż niewątpliwie Norton był ciekaw. Tak czy inaczej, jeśli miał udzielić Borisowi pozwolenia, musiał jakoś je uzasadnić.

W niebieskich oczach porucznika Rodriga widział spokój. Chyba zawsze ten człowiek jest opanowany i pewny siebie — pomyślał. Zresztą wszyscy kosmochrystianie, których znał, byli właśnie tacy. To było najwidoczniej jedno z dobrodziejstw ich wiary: czyniło z nich dobrych kosmonautów. Czasami wszakże ich niepodważalna pewność trochę irytowała nieszczęśników, którzy nie dostąpili łaski Objawienia.

— Ta wiadomość dotyczy celu Ramy, dowódco. Wydaje mi się, że odkryłem jej przeznaczenie.

— Mów.

— Rozpatruję sytuację. Oto zupełnie pusty świat bez życia… a przecież mogą w nim przebywać istoty ludzkie. Jest woda, atmosfera do oddychania. I ta planeta przylatuje z głębi kosmosu, wycelowana w

sam Układ Słoneczny… Zgoła niewiarygodny byłby tu czysty przypadek. Ponadto wszystkie obiekty Ramy nie tylko są nowe: one wyglądają na nie używane.

Roztrząsaliśmy to już dziesiątki razy — pomyślał Norton. — Cóż Boris może dodać do tego?

— Nasza religia zapowiada takie odwiedziny, chociaż nie wiemy, jaką przyjmą formę. W Biblii znajdujemy wzmianki o tym. Jeżeli nie Powtórne Przyjście, może to będzie drugi sąd; historia Noego mówi nam o pierwszym sądzie. Ja wierzę, że Rama jest arką kosmiczną, przysłaną tutaj, żeby ocalić… tych, którzy godni są ocalenia.

Cisza zaległa w kabinie kapitana. Nie dlatego, żeby Nortonowi zabrakło słów: wyrywało mu się na usta nawet zbyt wiele pytań, ale nie chciał być nietaktowny.

Ostatecznie powiedział tak łagodnie i bezobowiązkowo, jak tylko zdołał:

— Koncepcja bardzo interesująca i chociaż nie jestem waszego w~ r_nania, może prawdopodobna.

Nie było w tym obłudy ani pochlebstwa: niezależnie od swoich aspektów religijnych teoria Rodriga trafiała do przekonania co najmniej tak jak niejedna inna z teorii, które Norton słyszał. Gdyby na ludzkość miała spaść jakaś katastrofa i gdyby jakaś dobroczynna wyższa inteligencja o możliwości tej katastrofy wiedziała, toby wyjaśniało wszystko bardzo zgrabnie. Jednakże…

— Dwa pytania, Boris. Rama będzie w peryhelium za trzy tygodnie; potem okrąży Słońce i odleci z Układu Słonecznego tak szybko, jak przyleciała. Niewiele tu czasu na jakiś dzień sądu i transport tych… hmm… którzy są wybrani… jakkolwiek to miałoby być zrobione.

— Tak. Więc kiedy Rama osiągnie peryhelium, musi nabrać prędkości i wejść na orbitę parkingową… prawdopodobnie orbitę z afelium znajdującym się na orbicie Ziemi. Mogłaby wtedy dokonać jeszcze jednej zmiany prędkości i się spotka z Ziemią.

To brzmiało tak przekonywająco, że Norton poczuł się nieswojo. Gdyby Rama miała pozostać w Układzie Słonecznym, czyż to nie byłby właściwy sposób? Po prostu żeby zmniejszyć prędkość, zbliżyłaby się do Słońca możliwie najbardziej i tam wykonałaby manewr hamowania. Jeśli teoria Rodriga bodaj w małej mierze jest zgodna z prawdą, na potwierdzenie jej niedługo trzeba będzie czekać.

— Jeszcze jedno. Boris. Co teraz kieruje Ramą?

— Nie ma żadnej doktryny, w której można by szukać na to odpowiedzi. Może po prostu robot. Albo jakiś duch. I może dlatego brak jakichkolwiek śladów biologicznych form życia.

Nawiedzona asteroida. Skąd raptem pamięć podsunęła takie określenie? Po chwili Norton przypomniał sobie niemądrą książkę,

którą czytał przed laty; uznał, że lepiej nie pytać, czy Boris ją zna. Ta lektura raczej nie w guście porucznika Rodrigo.

— Powiem ci, Boris, co zrobimy — oznajmił, nagle się decydując. Chciał zakończyć tę rozmowę, dopóki nie jest zbyt trudna, i znalazł wyjście chyba nie najgorsze. Czy potrafisz ująć swoją myśl w… och, niecały tysiąc bitów?

— Tak, myślę, że tak.

— No więc, jeżeli się postarasz sformułować ją, jak przystało na rzetelną teorię naukową, przekażę ją w trybie natychmiastowym Komitetowi do Spraw Ramy. Jednocześnie twój Kościół może otrzymać duplikat. Dla każdego coś miłego.

— Dziękuję, dowódco, rzeczywiście jestem wdzięczny.

— Och, ja to robię nie dla spokoju sumienia. Po prostu ciekaw jestem, jak przyjmie to Komitet. Mimo że niezupełnie się z tobą zgadzam, może utrafiłeś w jakieś sedno.

— Okaże się w peryhelium, prawda?

— Tak, okaże się w peryhelium.

Gdy Boris Rodrigo odszedł, Norton połączył się z centralą Śmiałka i wydał konieczne upoważnienie. Przyznał sobie, że rozwiązał ten problem dość zręcznie. Zresztą pomyślał — kto wie, czy Boris nie ma racji. Może więc powiększam swoje szanse na to, że znajdę się wśród zbawionych.

21. Po burzy

Gdy dryfowali przez dobrze już znany korytarz kompleksu śluzy Alfa, Norton zastanawiał się, czy przypadkiem niecierpliwość nie wzięła w nich góry nad ostrożnością. Czekali na podkładzie Śmiałka czterdzieści osiem godzin — całe drogocenne dwie doby — gotowi odlecieć z Ramy w każdej chwili, jeżeli zacznie się dziać coś niedobrego. Ale nic się nie działo: instrumenty pozostawione w Ramie nie wykryły żadnej niezwykłej aktywności. Tylko kamerę telewizyjną na Piaście ku ogólnej frustracji zasnuła mgła, która ograniczyła pole widzenia do kilku metrów i dopiero teraz powoli ustępowała.

W końcu otworzyli ostatnie drzwi śluzy i wysunęli się w sieć lin bezpieczeństwa wokół Piasty. Norton zauważył przede wszystkim zmianę, jakiej uległo światło. Już nie było ostro niebieskie, nabrało barwy soczystej i stonowanej, jak w słoneczny, przymglony dzień na Ziemi.

Przed sobą na osi Ramy Norton widział tylko jaśniejący rozmazany tunel bieli, który ciągnął się aż do tych dziwnych gór na biegunie południowym. Wnętrze Ramy zasłaniały całkowicie nieprzeniknione obłoki. Wierzch tej warstwy miał granicę wyraźnie określoną. Tworzył mniejszy walec w większym walcu — tym wirującym świecie ale tak, że sam środek o średnicy kilku kilometrów był zupełnie wolny — poza paroma strzępiastymi cirrusami.

Tę ogromną utkaną z obłoków rurę podświetlało sześć sztucznych słońc Ramy. Trzy na kontynencie północnym rzucały trzy oddzielne smugi blasku, ale tamte trzy po drugiej stronie Morza Cylindrycznego zlewały swój blask w jedną jasną obręcz.

Co się dzieje tam pod obłokami? — zadał sobie Norton pytanie. Dobrze przynajmniej, że burza, która swym wirowaniem rozmieściła je tak symetrycznie wokół osi Ramy, już minęła. Jeżeli nie czekają ich jakieś inne niespodzianki, powrót na równinę odbędzie się bez przygód.

Po prostu wypadało, żeby w tej drugiej wyprawie wzięli udział pierwsi badacze głębin Ramy. Sierżant Myron jak każdy inny członek załogi Śmiałka — teraz w pełni odpowiadał warunkom fizycznym postawionym przez lekarza pokładowego, panią doktor Ernst: nawet twierdził z rozbrajającą szczerością, że nie będzie mógł na sobie dopiąć swoich starych mundurów.

Patrząc, jak Mercer, Calvert i Myron “płyną” szybko i pewnie w dół drabiny, Norton uprzytomnił sobie, że wiele się zmieniło. Za pierwszym razem schodzili w zimną ciemność; teraz zbliżali się ku światłu i ciepłu. I przedtem byli przekonani o martwocie Ramy… Jeszcze niewykluczone, że Rama jest martwa w sensie biologicznym.

Ale coś się działo, i pogląd Borisa Rodrigo może być tak samo słuszny jak każdy inny. Duch Ramy się obudził.

Gdy już dotarli na platformę u stóp drabiny i przygotowywali się do przebycia schodów, Mercer przeprowadził zwykłe badanie atmosfery. Pewnych rzeczy nigdy nie uznawał za przesądzone: wiadomo było, że chociaż wszyscy wokół niego oddychają swobodnie, bez aparatów, on się zatrzyma, żeby sprawdzić powietrze, zanim otworzy swój hełm. Na pytanie, skąd taka nadmierna ostrożność, odpowiedział:

— Ludzkie zmysły nie są wiarygodne, oto dlaczego. Wam się może wydawać, że czujecie się wspaniale, ale to nie znaczy, że przy następnym głębszym wdechu nie moglibyście zemdleć.

Spojrzał na swój minianalizator i zaklął:

— Niech to diabli!

— O co chodzi? — zapytał Calvert.

— Nie działa… Przekroczenie zakresu. Dziwne, nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło. Sprawdzę na moim obwodzie oddechowym.

Podłączył analizator do punktu pomiaru swojej aparatury tlenowej. Potem przez chwilę milczał zamyślony. Towarzysze patrzyli na niego z niepokojem: jeśli Karl się czymś przejmował, musiało to być coś naprawdę bardzo poważnego.

Wyłączył minianalizator, użył go znowu do pobrania próbki z atmosfery Ramy, a potem wezwał Kontrolę na Piaście.

— Kapitanie, proszę odczytać mi zawartość tlenu.

Nastąpiła pauza o wiele dłuższa, niżby to usprawiedliwiała prośba, a potem Norton przez radio odpowiedział:

— Chyba coś nie w porządku z moim miernikiem.

Uśmiech powoli rozjaśnił twarz Mercera.

— Wzrosła o pięćdziesiąt procent, prawda?

— Tak, co to oznacza?

— To oznacza, że możemy zdjąć maski. Czyż nie będzie nam wygodniej?

— Nie jestem pewny — głos Nortona jak echo odbijał nutę sarkazmu w głosie Mercera. — Chyba to zbyt dobre, żeby było prawdziwe.

Rzecz jasna. Jak wszyscy kosmonauci, komandor Norton odnosił się bardzo nieufnie do wszystkiego, co “zbyt dobre”.

Mercer uchylił hełm i ostrożnie pociągnął nosem. Po raz pierwszy na tej wysokości w Ramie powietrze nadawało się idealnie do oddychania. Już nie było zatęchłe ani suche, nie mogło wywoływać, jak przedtem, dolegliwości dróg oddechowych. Wilgotność — niewątpliwie na skutek odwilży wynosiła teraz zdumiewające osiemdziesiąt procent. Czuło się łagodną, niedokuczliwą parność.

Zupełnie jak w letni wieczór — pomyślał Mercer — na tropikalnym wybrzeżu. Wprost czarodziejsko klimat w Ramie poprawił się w ciągu tych kilku dni… Dlaczego? Wzrastanie wilgotności łatwo wytłumaczyć, ale żeby tak zaskakująco wzrosła ilość tlenu… Ruszając w dalszą drogę na dół Mercer zaczął dokonywać w myśli obliczeń. Wciąż jeszcze obliczał i obliczał bez rezultatu, gdy znaleźli się raptem w warstwie obłoków.

Dramatyczne przeżycie, ponieważ nastąpiło to ni stąd, ni zowąd. Zjeżdżając po gładkiej metalowej poręczy, trzymając się jej, żeby nie nabierać szybkości zbyt dużej w tym rejonie jednej czwartej przyciągania ziemskiego, oddychali swobodnie czystym powietrzem, i nagle, zanim się spostrzegli, wjechali w oślepiająco białą mgłę, gdzie widoczność ograniczała się do kilku metrów. Mercer zahamował błyskawicznie. Calvert omal nie wpadł na niego, a Myron rzeczywiście wpadł na Calverta, tak że niewiele brakowało, by strącił go z poręczy.

— Bez nerwów — powiedział Mercer. — Rozsuńmy się, ale nie zanadto, żeby nie stracić się z oczu. I nie przyspieszajcie, bo ja może będę musiał raptownie zahamować.

W niesamowitej ciszy dalej zjeżdżali poprzez tę mgłę. Calvert widział tylko mglisty cień Mercera sunącego o dziesięć metrów przed nim, i gdy obejrzał się, Myron w takiej samej odległości za nim też majaczył jak cień. Pod pewnymi względami to było jeszcze bardziej upiorne niż zjazd wśród mroków ramiańskiej nocy: wtedy przynajmniej smugi reflektorów oświetlały im drogę. Teraz wydawało się, że nurkują w mętnych głębinach morza.

Nie wiedzieli, ile drogi już przebyli, i Calvert tylko się domyślał, że są niedaleko czwartego poziomu, gdy Mercer znów zahamował. Ledwie się zetknęli, szepnął:

— Słuchajcie! Słyszycie coś?

— Tak — odpowiedział Myron po minucie. — To chyba wiatr.

Calvert nie był tego taki pewny. Obracał głowę, usiłując się zorientować, skąd dolatuje ten słaby szum, ale wytężał słuch daremnie.

Zjechali na czwarty .poziom i ruszyli ku piątemu. Tymczasem szum stawał się coraz głośniejszy — i coraz bardziej coś im przypominał. W połowie czwartej kondygnacji schodów Myron zawołał:

— Teraz wiecie, co to jest?!

Utożsamiali to sobie już przedtem, ale trudno im było taki odgłos skojarzyć z jakimkolwiek światem poza Ziemią. Dobywając się spośród mgły, z jakiegoś źródła — jak dalekiego, nie wiedzieli — dolatywało do nich jednostajne dudnienie jak gdyby wodospadu.

W kilka minut później strop z obłoków skończył się tak raptownie, jak się zaczął. Poraził im oczy blask ramiańskiego dnia,

którego jasność potęgowało odbicie światła z niżej zawieszonych obłoków. Po chwili zobaczyli dobrze znaną okrągłą równinę, widok teraz bardziej przyswajalny dla zmysłów i dla umysłu, ponieważ jej pełny krąg przysłaniały obłoki. Bez wielkiego trudu mogli sobie wmawiać, że patrzą wzdłuż szerokiej doliny i że wezbrane morze widać rzeczywiście z z a jej zboczy.

Zatrzymali się na piątej, przedostatniej platformie i zameldowali, że przebyli warstwę obłoków. Rozejrzeli się uważnie: na równinie w dole chyba nic się nie zmieniło, ale tutaj, na półkuli północnej, Rama zaprezentowała jeszcze jeden swój dziw.

Zobaczyli to, co tak głośno szumiało czy też dudniło. Z jakiegoś źródła ukrytego w obłokach o trzy czy cztery kilometry dalej spadała kaskadami woda. Przez długie minuty patrzyli w milczeniu, prawie nie wierząc własnym oczom. Logika mówiła im, że w tym wirującym świecie nic nie może spadać pionowo, a przecież okropnie nienaturalnie wyglądał krzywy strumień wody wodospadu, który spływał odchylając się o wiele kilometrów od swego źródła…

— Galileusz, gdyby urodził się tutaj — powiedział w końcu Mercer — dostałby kręćka przy odkrywaniu praw dynamiki.

— Myślałem, że je znam — powiedział Calvert — a pomimo to dostaję kręćka. Czy ciebie to nie denerwuje, profesorze?

— Czemuż by miało mnie denerwować? — zapytał sierżant Myron. — Zupełnie zwyczajny przykład działania siły Coriolisa. Żałuję, że nie mogę tego pokazać moim studentom.

Mercer zadumany wpatrywał się w Morze Cylindryczne.

— Zauważyliście, jak się zmieniła ta woda? — zapytał po długiej chwili.

— No… już nie jest taka niebieska. Ja bym powiedział, że ma kolor zielonego groszku. Co to znaczy?

— Może to samo, co znaczy na Ziemi. Laura nazwała to morze zupą organiczną, czekającą, żeby ją zamieszać i ożywić. Może tak właśnie się stało.

— W ciągu dwóch dni! Na ziemi to trwało miliony lat.

— Trzysta siedemdziesiąt pięć milionów, zgodnie z najnowszymi obliczeniami. A więc z morza pochodzi ten tlen. Rama przeskoczyła fazę anaerobów, czyli aktywności przy zupełnym braku tlenu i osiągnęła fazę roślin fotosyntetycznych w ciągu około czterdziestu ośmiu godzin. Ciekawe, co wyprodukuje jutro.

22. Rejs po Morzu Cylindrycznym

Kiedy zjechali ze schodów, doznali jeszcze jednego wstrząsu. Zrazu wydawało się im, że coś przeszło przez obóz wywracając sprzęt, a nawet zbierając i porywając mniejsze przedmioty. Ale po krótkich oględzinach ich przerażenie ustąpiło miejsca irytacji dosyć wstydliwej.

Winowajcą był tylko wiatr: chociaż przywiązano przed odejściem wszystko, co nie było przymocowane, niektóre liny najwidoczniej nie wytrzymały silnych podmuchów. Dopiero po kilku dniach zdołali pozbierać wszystkie porozrzucane rzeczy.

Poza tym chyba nic się nie zmieniło. Nawet cisza Ramy panowała znowu, gdy minęły te efemeryczne wiosenne burze. Za skrajem równiny morze, znów spokojne, czekało na pierwszą od miliona lat łódź.

— Nowy statek chyba powinno się ochrzcić butelką szampana?

— Nawet gdybyśmy na pokładzie Śmiałka mieli szampan, nie pozwoliłbym na takie karygodne marnotrawstwo. Zresztą już za późno. Już spuściliśmy tę łajbę na wodę.

— Przynajmniej nie poszła na dno. Wygrałeś zakład, Jimmy. Załatwię to, kiedy wrócimy na Ziemię.

— Ona jednak musi się jakoś nazywać. Kto z was ma dla niej nazwę?

Przedmiot tych niepochlebnych komentarzy podskakiwał na wodzie przy schodach prowadzących do Morza Cylindrycznego. Była to nieduża tratwa zrobiona z sześciu pustych blaszanych bębnów ujętych w lekką metalową ramę. Zbudowanie jej i zmontowanie w obozie Alfa, a potem toczenie na prowizorycznie domontowanych kołach przez dziesięć kilometrów z okładem po równinie trwało dobre kilka dni. Ale ten nakład energii powinien się opłacić.

Załogę tratwy czekała nagroda warta ryzyka. Lśniące w świetle bez cienia nie dalej niż o pięć kilometrów morza zagadkowe wieże Nowego Jorku wabiły ich, odkąd tylko znaleźli się w środku Ramy. Nikt nie wątpił, że to miasto czy też to coś, czymkolwiek mogło być — jest prawdziwym sercem tego świata. Musieli dotrzeć do Nowego Jorku.

— Nadal nie mamy dla niej nazwy. Kapitanie, niech pan coś wymyśli.

Norton roześmiał się, po czym nagle spoważniał.

— Wiem, nazwiemy tę tratwę Decyzja.

— Dlaczego?

— Tak nazywała się jedna z szalup Cooka. To ładna nazwa… Może nasza szalupa okaże się jej godna.

Nastąpiło pełne zadumy milczenie. Po chwili sierżant Barnes,

projektantka tratwy, poprosiła o trzech ochotników. Wszyscy obecni podnieśli ręce.

— Niestety… mamy tylko cztery kamizelki ratunkowe. Boris, Jimmy, Pieter… wy znacie się trochę na żeglarstwie. Wypróbujmy tę łódź.

Nikt nie widział nic szczególnego w tym, że dowództwo objęła teraz ta dziewczyna. Ruby Barnes była jedyną na statku osobą mającą patent żeglarski i to przesądziło sprawę. Brała ona udział w wyścigach trimaranów przez Pacyfik, więc nie wydawało się prawdopodobne, żeby kilka kilometrów idealnie spokojnej wody stanowiło zbyt wielkie wyzwanie dla jej umiejętności.

Ruby od pierwszej chwili, gdy zobaczyła Morze Cylindryczne, pragnęła odbyć taki rejs. Na przestrzeni tysięcy lat żeglowania człowieka po wodach. jego własnej planety jeszcze żaden żeglarz nie zmierzył się z morzem tak niezwykłym. Od kilku dni wciąż przelatywał jej przez głowę niemądry wierszyk:

Mym pragnieniem jest kosmicznym ,
Rejs po Morzu Cylindrycznym.

No, pragnienie się spełniło.

Pasażerowie zajęli miejsca na siedzeniach zaimprowizowanych z wiader, Ruby otworzyła przepustnicę. Dwudziestokilowatowy silnik zaczął pracować i Decyzja odbiła od brzegu wśród wiwatów publiczności.

Zrazu Ruby spodziewała się osiągnąć z tym ładunkiem piętnaście kilometrów na godzinę. Ale już po chwili uznała, że dobra będzie każda prędkość powyżej dziesięciu. Miała przepłynąć pół kilometra wzdłuż urwiska tam i z powrotem. Ten rejs trwał pięć i pół minuty. Odliczając zawracanie, doszła do prędkości dwunastu kilometrów na godzinę; była z tego zupełnie zadowolona.

Potem już bez silnika, wiosłując bardzo sprawnie i mając trzech energicznych wioślarzy do pomocy, osiągnęła jedną czwartą tej prędkości. Więc nawet gdyby silnik zawiódł, można byłoby powrócić na wybrzeże w ciągu co najmniej czterech godzin. Baterie przeznaczone do pracy w trudnych warunkach mogłyby dostarczyć dosyć energii, żeby opłynąć dokoła cały wewnętrzny obwód Ramy; Ruby zabrała dla pewności dwa zapasowe ich komplety. Teraz, gdy mgła zupełnie już zniknęła, nawet ona, żeglarz tak ostrożny, gotowa była wypłynąć na to morze bez kompasu.

Schodząc z tratwy zasalutowała z fasonem.

— Dziewiczy rejs Decyzji szczęśliwie zakończony, panie kapitanie. Czekam na rozkazy.

— Dobrze… admirale. Kiedy możecie wyruszyć?

— Kiedy tylko załaduje się zapasy i kapitanat portu da nam zezwolenie.

— W takim razie wypłyńcie o świcie.

— Rozkaz, panie kapitanie.

Pięć kilometrów wody to niewielki odcinek na mapie, inaczej jednak wygląda, gdy się jest na tej wodzie. Płynęli zaledwie od dziesięciu minut, a pięćdziesięciometrowe urwisko Lądu Północnego wydawało się już zdumiewająco dalekie, chociaż nie wiadomo dlaczego Nowy Jork jakoś wcale nie wydawał się bliższy, niż był przedtem…

Ale teraz oni raczej nie zwracali uwagi na ląd: zanadto urzekał ich dziw morza. Już nie dowcipkowali nerwowo jak na początku rejsu — nowe przeżycie było rzeczywiście mocne.

Ilekroć Norton myślał, że chyba się z Ramą oswoił, Rama prezentowała jakieś nowe cuda. Kiedy Decyzja z miarowym warkotem sunęła naprzód, doznawali wrażenia, że znajdują się w bruździe olbrzymiej fali, która po obu ich stronach wznosi się zaokrąglając, aż obie flanki tworzą jeden płynny łuk na wysokości szesnastu kilometrów nad ich głowami. Wbrew wszystkiemu, o mówił im rozum i logika, nie mogli na długo oprzeć się wrażeniu, że lada chwila te miliony ton wody z hukiem opadną z nieba. Jednocześnie ogarniało ich przemożne rozradowanie, i w owym poczuciu niebezpieczeństwa przecież nie krył się strach przed niebezpieczeństwem realnym, które by im groziło. O ile oczywiście samo morze nie miało dalej sprawiać niespodzianek.

To nie było wykluczone, ponieważ, jak Mercer się domyślił, Morze Cylindryczne teraz żyło. Każda łyżka tej wody zawierała tysiące kulistych jednokomórkowych mikroorganizmów, podobnych do najwcześniejszych form planktonu, jakie istniały w oceanach Ziemi.

Podobnych i zarazem ciekawie niepodobnych: mikroorganizmom ramiańskim brakowało jądra i wielu innych cech stanowiących konieczne minimum dla bodaj najpierwotniejszych ziemskich form życia. I chociaż, jak udowodniła Laura Ernst — teraz w roli nie tylko lekarza pokładowego, ale i badacza — one wytwarzały tlen, było ich tak mało, że same na pewno nie mogły dotlenić atmosfery Ramy. Na to powinny być ich miliardy, a nie tysiące.

Potem Laura Ernst odkryła, że ich liczba zmniejsza się błyskawicznie, z czego by wynikało, że w pierwszych godzinach ramiańskiego świtu było ich znacznie więcej. Jak gdyby nastąpiła jakaś raptowna eksplozja życia, odtwarzając dokładnie zaranie dziejów Ziemi, tyle że w czasie trylion razy krótszym, i tak samo raptownie się skończyła: teraz mikroorganizmy rozpadały się, uwalniały swoje zasoby chemikaliów z powrotem w morze.

— Gdybyście znaleźli się w tej wodzie — ostrzegła doktor Ernst żeglarzy — nie otwierajcie ust. Parę jej kropli nie będzie miało znaczenia, jeżeli wyplujecie zaraz.

Ale te wszystkie organiczne sole różnych metali to dosyć trująca mieszanina, a ja się nie palę do opracowywania odtrutki.

Na szczęście takie niebezpieczeństwo im nie groziło. Decyzja mogłaby utrzymać się na wodzie, nawet gdyby aż dwa z jej sześciu bębnów zostały przedziurawione równocześnie. Słysząc o tym John Calvert mruknął ponuro:

— Pamiętajcie o Titanicu.

Nawet gdyby poszła na dno, kołnierze niezgrabnych, ale niezawodnych kamizelek ratunkowych utrzymywałyby ich głowy nad powierzchnią wody. Laura, chociaż na wszelki wypadek ostrzegła ich przed niebezpieczeństwem, uważała, że kilkugodzinne przebywanie w wodzie nie pociągnęłoby fatalnych skutków. Niemniej tego nie zalecała.

Płynęli tak ze stałą szybkością i po dwudziestu minutach Nowy Jork już nie był odległą wyspą. Nabierał realności: szczegóły, oglądane dotychczas tylko przez teleskopy i na powiększonych fotografiach, wyłoniły się jako masywne budowle. Wyraźnie teraz widzieli, że to "miasto", tak jak wiele innych urządzeń w Ramie, jest potrójne: złożone z trzech jednakowych okrągłych kompleksów czy też budowli, które stoją na długim owalnym fundamencie. Fotografie zrobione z Piasty wskazywały, że każdy kompleks dzieli się na trzy równe części, jak placek pokrajany na trzy równe studwudziestostopniowe porcje. Układ bardzo upraszczający zadanie: przypuszczali, że wystarczy zbadać tylko jedną dziewiątą część Nowego Jorku, żeby poznać całość. Ale nawet to miało być ogromnym przedsięwzięciem: oznaczało spenetrowanie co najmniej kilometra kwadratowego mechanizmów budowli, z których niejedna wznosiła się na wysokość setek metrów.

Ramianie najwidoczniej doprowadzili sztukę potrójnej redundancji do doskonałości. Dowodziły tego systemy śluz, schody prowadzące z Piasty i sztuczne słońca. I tam, gdzie to rzeczywiście miało znaczenie, Ramianie robili następny krok. Nowy Jork wydawał się przykładem potrójnej redundancji.

Ruby skierowała Decyzję w stronę środkowego kompleksu. Kondygnacja schodów prowadziła z morza na szczyt muru czy też grobli otaczającej miasto. Przy schodach był nawet wygodnie umieszczony słup do cumowania. Widząc to Ruby bardzo się podnieciła. Powiedziała, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie choć jednej łodzi, którymi Ramianie pływali po tym nadzwyczajnym morzu.

Norton miał pierwszy wejść na ten ląd; odwrócił się do swych trzech towarzyszy i powiedział:

— Czekajcie tu na tratwie, aż dostanę się na szczyt muru. Kiedy

pomacham ręką, Pieter i Boris niech pójdą za mną. Ty zostań przy sterze, Ruby, żebyśmy mogli w każdej chwili odpłynąć od brzegu. Jeżeli coś mi się stanie, zameldujcie Karlowi i róbcie to, co on powie. Postępujcie według swego najlepszego rozeznania, ale żeby mi nie było żadnych bohaterskich zrywów. Zrozumiano?

— Tak, kapitanie. Niech ci szczęście sprzyja.

Norton w istocie nie wierzył w szczęście. Nigdy nie angażował się w żadną sytuację, dopóki nie rozpatrzył wszystkich jej czynników i nie zapewnił sobie odwrotu. Ale Rama znów zmuszała go do zlekceważenia niektórych ulubionych prawideł. Prawie każdy czynnik tutaj był nieznany, jak Pacyfik i Wielka Rafa Koralowa były nieznane jego, Nortona, bohaterowi trzysta pięćdziesiąt lat przedtem… Właśnie, oby szczęście teraz sprzyjało!

Stwierdził, że schody są zupełnie takie same jak schody prowadzące do morza na tamtym brzegu. Tam jego przyjaciele niewątpliwie obserwują go przez teleskopy. I "prosto" było teraz trafnym słowem: w tym jedynym kierunku, równoległym do osi Ramy, morze było naprawdę płaskie.

Być może było jedyną płaską masą wód we wszechświecie, ponieważ na wszystkich planetach każde morze czy jezioro musi przylegać do powierzchni kuli z jednakowym promieniem krzywizny w każdym miejscu.

— Prawie na szczycie — zameldował przez radio swemu zastępcy słuchającemu uważnie z odległości pięciu kilometrów. — Nadal absolutna cisza… promieniowanie normalne. Trzymam licznik nad głową, na wypadek gdyby ten mur służył komuś czy czemuś za osłonę. Jeżeli po tamtej stronie są jacyś wrogowie, najpierw zestrzelą licznik.

Żartował oczywiście. Ale po cóż ryzykować, kiedy można łatwo uniknąć ryzyka?

Doszedł na płaski szczyt muru czy też umocnienia o grubości, jak teraz stwierdził, dziesięciu metrów. Po wewnętrznej stronie schody poprzedzielane podestami prowadziły dwadzieścia metrów w dół na zasadniczy poziom miasta. Stojąc na tym wysokim wale, który otaczał Nowy Jork, zobaczył całe miasto jak z trybuny.

Nieomal oszołomiony tym widokiem, przede wszystkim zrobił zdjęcie panoramiczne, wolno przesuwając kamerę. Pomachał ręką do towarzyszy i nadał przez radio wiadomość na wybrzeże.

— Ani śladu jakiejkolwiek działalności. Wszędzie spokój i cisza. Chodźcie na górę, zaczynamy badać.

23. Nowy Jork, Rama

To jednak nie było miasto: to była maszyna. Norton doszedł do tego wniosku w ciągu pierwszych dziesięciu minut i nie widział powodu, żeby zmienić zdanie, nawet kiedy już dokonali kompletnych oględzin wyspy. W mieście — jakiegokolwiek rodzaju byliby jego mieszkańcy — z pewnością musiałyby być takie czy inne lokale mieszkalne; tutaj nic podobnego nie było, chyba że kryło się pod gruntem. Ale jeśli tak — gdzie były wejścia, klatki schodowe, windy? Norton nie znalazł nic, co by dało się uznać za zwykły bodaj właz…

Gdyby szukać analogii z Ziemią, można by od razu powiedzieć, że są to ogromne zakłady chemiczne. A przecież nie zobaczył żadnych stert surowców, żadnych śladów świadczących o jakimś systemie ich transportu. Na próżno też snuł domysły, skąd wyłaniałyby się gotowe produkty a jeszcze bardziej na próżno, co by te "zakłady" mogły produkować. To wszystko zbijało go z tropu, wywoływało poczucie daremności.

— Kto chce zgadywać? — zapytał w końcu przez radio wszystkich, którzy go słuchali. — Jeżeli to jest fabryka, co się w niej produkuje? I skąd się bierze surowce?

— Ja spróbuję, kapitanie — powiedział Karl Mercer na wybrzeżu. — Przypuśćmy, że ta fabryka czerpie surowce z morza. Pani doktor mówiła, że ono zawiera prawie wszystko, co możliwe.

To była odpowiedź prawdopodobna, i Nortonowi już to przyszło na myśl. Mogą przecież być zakopane jakieś rury prowadzące do morza — w istocie, muszą być, bo nie ma takich zakładów chemicznych, które by nie potrzebowały dużych ilości wody. Ale do odpowiedzi prawdopodobnych Norton zawsze odnosił się podejrzliwie; tak często bywały mylne.

— Nie najgorsze przypuszczenie, Karl: tylko powiedz, co Nowy Jork robi z tą swoją morską wodą.

Długo nikt nie odpowiadał — ani ze statku, ani z Piasty, ani z Równiny Północnej. Potem zabrzmiał głos nieoczekiwany: — To łatwe, kapitanie. Ale wszyscy będziecie śmiać się ze mnie.

— Nie, nie będziemy się śmiać. Ravi. Mów.

Sierżant Ravi McAdrews, główny steward i opiekun małp, był na pokładzie Śmiałka ostatnim człowiekiem, który normalnie wdałby się w dyskusję natury technicznej. Inteligencję miał skromną, a wiedzę naukową znikomą, ale nie był głupi i nawet odznaczał się wrodzoną bystrością, którą każdy w nim szanował.

— No, to jest fabryka, a jakże, kapitanie, i chyba morze dostarcza jej surowca… Ostatecznie tak się dzieje na Ziemi, chociaż w inny sposób. Mnie się wydaje, że Nowy Jork to fabryka do produkcji…

Ramian.

Ktoś gdzieś prychnął, ale szybko ucichł, zanim dał się rozpoznać.

— Wiesz, Ravi — powiedział ostatecznie dowódca — ta teoria jest na tyle zwariowana, że może być zgodna z prawdą. I nie jestem pewny, czy chciałbym zobaczyć jej potwierdzenie… przynajmniej dopóki nie odpłynę z tej wyspy.

Ramiański Nowy Jork był akurat tak szeroki jak wyspa Manhattan, ale o układzie geometrycznym zupełnie innym. Przebiegało tam tylko kilka prostych ulic: tworzył się labirynt krótkich koncentrycznych łuków z łączącymi je promienistymi szprychami. Na szczęście nigdzie w Ramie nie istniało niebezpieczeństwo zabłądzenia: jeden rzut oka na niebo wystarczał, żeby ustalić, gdzie jest północ i gdzie południe tego świata.

Zatrzymywali się prawie na każdym skrzyżowaniu, żeby robić panoramiczne zdjęcia. Po przesortowaniu tych setek fotografii zadaniem żmudnym, ale dosyć prostym miało być sporządzenie dokładnego miniaturowego modelu tego miasta. Norton przypuszczał, że wynikająca z tego łamigłówka da zajęcie naukowcom wielu pokoleń.

Oswoić się z ciszą Nowego Jorku było jeszcze trudniej niż oswoić się z ciszą na równinie. W mieście-maszynie powinny być słyszalne jakieś dźwięki, a tutaj nie było słychać nawet najsłabszego szumu aparatury elektrycznej, nawet najcichszego szmeru urządzeń mechanicznych. Kilkakrotnie Norton przykładał ucho do gruntu, do ścian budynków i nasłuchiwał z wytężeniem. Nie słyszał nic poza pulsowaniem własnej krwi.

Te maszyny śpią: nawet nie tykają. Czy obudzą się kiedyś, a jeśli się obudzą, to po co? Są w idealnym stanie, zwykła rzecz tutaj. Nietrudno uwierzyć, że zamknięcie jednego obwodu w jakimś cierpliwym ukrytym komputerze przywróci ten cały labirynt do życia.

Gdy wreszcie dotarli na drugą stronę wyspy, weszli na szczyt otaczającego ją wału i i popatrzyli na południe, za morze. Długo Norton wpatrywał się w pięciusetmetrowe urwisko, oddzielające ich od południowej połowy Ramy, bardziej złożonej i zróżnicowanej. Z ich miejsca tamta część wydawała się złowieszczym, odpychającym, czarnym mrokiem, aż można było myśleć, że to mur więzienny, który otacza cały kontynent. Nigdzie na jego kręgu nie zobaczyli żadnych schodów ani nic, co by umożliwiało dostęp.

Norton zastanowił się, jak Ramianie dostawali się tu z Nowego Jorku. Prawdopodobnie system komunikacji przebiega pod dnem morza, ale też musieli mieć jakieś samoloty. Tutaj na wyspie wiele jest otwartych obszarów, które można by wykorzystać jako pasy startowe. Odkrycie jakiegoś ramiańskiego pojazdu byłoby sporym osiągnięciem — zwłaszcza gdyby coś ich oświeciło, jak się taki pojazd prowadzi.

(Chociaż czy możliwe, żeby nawet najbardziej fantastyczne źródło energii wciąż jeszcze funkcjonowało po kilkuset tysiącach lat?) Jest tu dużo budowli, które mają ów funkcjonalny wygląd hangarów czy garaży, ale o ścianach zupełnie ślepych, bez żadnych drzwi i okien, zupełnie jak gdyby je spryskano środkiem uszczelniającym. Wcześniej czy później — powiedział sobie Norton ponuro — będziemy musieli użyć materiałów wybuchowych i laserów. Niezłomnie postanowił odkładać tę decyzję, dopóki tylko się da.

Jego niechęć do stosowania brutalnej siły wynikała częściowo z dumy, częściowo z lęku. Nie chciał postępować jak technologiczny barbarzyńca, który rozbija to, czego nie rozumie. Ostatecznie — rozmyślał — jestem nie proszonym gościem w tym świecie, powinienem o tym pamiętać. Jeśli chodzi o lęk… może to za mocne określenie, może “niepokój” byłby słowem trafniejszym. Ramianie najwyraźniej zaplanowali wszystko: lepiej chyba, żeby nie doszło do przekonania się, jakie przedsięwzięli środki ostrożności dla ochrony swojego mienia. A więc wrócimy na równinę z pustymi rękami.

24. Walka

Porucznik James Pak był najmłodszym oficerem na pokładzie Śmiałka. W dalekiej wyprawie kosmicznej uczestniczył po raz czwarty. Był ambitny i wkrótce miał otrzymać awans. Dopuścił się jednak poważnego wykroczenia przeciwko regulaminowi. Nic dziwnego, że wahał się długo, zanim się wreszcie zdecydował.

To miał być hazard: w razie przegranej mogły go czekać duże kłopoty. Na włosku wisiałaby jego kariera i niewykluczone, że również życie. Ale mógłby przecież wygrać; wtedy zostanie bohaterem. Ostatecznie przeważyło coś innego: wiedział, że gdyby ze swego pomysłu zrezygnował, na pewno już do grobowej deski dumałby ponuro nad utraconą okazją. A przecież jeszcze dręczyły go wątpliwości, gdy poprosił kapitana o rozmowę prywatną.

Co to będzie tym razem? — zastanowił się Norton, patrząc na zmieszanie młodziutkiego oficera. Przypomniał sobie trudną rozmowę z Borisem Rodrigo: nie, tu nie chodzi o nic takiego; Jimmy nie jest religijny, poza swoją pracą interesuje się tylko sportem i seksem, najchętniej jednym i drugim naraz.

To pierwsze chyba nie wchodzi teraz w rachubę, co do tego drugiego… miejmy nadzieję, że Jimmy nie zrobił głupstwa. Norton stawał już wobec większości problemów, jakie dowódca może mieć w tym zakresie, poza klasycznym przypadkiem nie zaplanowanych narodzin w czasie misji. Chociaż taka sytuacja była przedmiotem niezliczonych dowcipów, jakoś nigdy jeszcze się nie zdarzyła. Niemniej liczył się z tym, że wykazanie przez kogoś tak jaskrawej nieporadności jest prawdopodobnie tylko kwestią czasu.

— No, Jimmy, w czym rzecz?

— Mam pomysł, dowódco. Wiem, jak dotrzeć na południe Ramy… nawet na biegun południowy.

— Słucham. Jak sobie to wyobrażasz? — Hmm… można tam przelecieć.

— Jimmy, miałem już co najmniej pięć takich propozycji… Więcej, łącznie z propozycjami z Ziemi. Myśleliśmy o przystosowaniu napędów odrzutowych naszych skafandrów, ale opór powietrza beznadziejnie by je hamował. Ich paliwo by się wyczerpało, zanim byśmy przelecieli dziesięć kilometrów.

— Wiem. Mam inne rozwiązanie.

Porucznik Pak był jednocześnie bardzo pewny siebie i prawie otwarcie zdenerwowany. Norton nie mógł tego zrozumieć. Czym się chłopak trapi? Przecież zna swojego dowódcę dostatecznie dobrze, powinien wiedzieć, że żadna rozsądna propozycja nie zostanie od razu wyśmiana.

— No, mów. Jeżeli to się da przeprowadzić, załatwię ci twój awans z mocą wstecz.

Ta na wpół żartobliwa obietnica jednak nie dotarła do Jimmy'ego należycie. Młody człowiek uśmiechnął się dosyć słabo. Potem parę razy daremnie otworzył usta i zaczął okrężnie:

— Czy wiesz, dowódco, że ja w zeszłym roku brałem udział w igrzyskach olimpijskich na Księżycu?

— Oczywiście. Żałuję, że nie zdobyłeś medalu.

— To przez wadliwy sprzęt. Już zbadaliśmy, z czym było niedobrze. Mam na Marsie przyjaciół, którzy popracowali nad tym w tajemnicy. Chcemy sprawić wszystkim niespodziankę.

— Na Marsie? Nie wiedziałem, że na…

— Mało kto wie, ten sport to na Marsie jeszcze nowość, ledwie zaczynają tego próbować w hali sportowej Ksente. Ale najlepsi aerodynamicy w całym Układzie Słonecznym są właśnie na Marsie: jeżeli czymś można latać w tamtej atmosferze, można latać wszędzie. Więc sobie umyśliłem, że kiedy Marsjanie z całym swoim znawstwem zbudują dobrą maszynę, to ona rzeczywiście będzie działała na Księżycu, gdzie przyciąganie jest o połowę słabsze.

— Prawdopodobnie, ale jakie to ma znaczenie dla nas?

Norton zaczął się domyślać, nie chciał jednak odbierać Jimmy'emu inicjatywy.

— No, utworzyłem spółkę z kilkoma przyjaciółmi w Lowell City. Zbudowali akrobatyczny latający rower z pewnymi udoskonaleniami, jakich nikt nigdy dotąd nie widział. Pod kopułą olimpijską przy grawitacji księżycowej to powinno wywołać sensację.

— I przynieść ci złoty medal?

— Mam nadzieję.

— Zaraz. Czy ja dobrze cię zrozumiałem? Latający rower, który może wywołać sensację na Olimpiadzie Księżycowej przy jednej szóstej przyciągania, byłby czymś jeszcze bardziej sensacyjnym w Ramie, gdzie przyciągania nie ma wcale. Można by przelecieć nim prosto wzdłuż osi z bieguna północnego na południe… i z powrotem…

— Tak, i to łatwo. Przelot w jedną stronę trwałby trzy godziny bez przerwy. Ale naturalnie, gdyby się chciało, można by odpoczywać, byleby nie oddalać się od osi.

— Pomysł świetny i gratuluję ci. Wielka szkoda, że takie rowery nie należą do przepisowego ekwipunku kosmonauty.

Jimmy najwyraźniej nie mógł znaleźć słów. Znowu otwierał usta parokrotnie i nic się z nich nie dobywało.

— Dobrze, Jimmy. Pytam przez chorobliwą ciekawość, zupełnie nieoficjalnie: w jaki sposób przemyciłeś to na statek?

— Hmm… w "sprzęcie rekreacyjnym".

— No, nie kłamiesz. Ale ile to waży?

— Tylko dwadzieścia kilogramów.

— Ładne mi tylko! Jednakże mniej, niż myślałem. Jestem nawet zdumiony, że można zbudować rower powietrzny tak lekki.

— Bywają i takie, które ważą piętnaście, ale są zbyt wątłe i zawodzą na zakrętach. Ważka to absolutny pewniak. W każdym calu nadaje się do akrobatyki powietrznej.

— Ważka… Dobra nazwa. Jeszcze powiedz, jak zamierzasz użyć tego roweru, żebym mógł zdecydować, co tu będzie właściwsze: awans czy sąd wojenny. Z tym że jedno zgoła nie wyklucza drugiego.

25. Dziewiczy lot

Ważka z pewnością była dobrą nazwą. Latający rower miał długie, przezroczyste, prawie niewidoczne skrzydła, które w chwilach, gdy światło padało na nie pod pewnymi kątami, mieniły się barwami tęczy, jak gdyby bańka mydlana spowijała delikatny układ elementów z aerofolii. Powłoka, chociaż z błony organicznej o grubości zaledwie kilku molekuł, była dostatecznie mocna, żeby wytrzymać pęd powietrza o prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Pilot — będący zarazem napędem i systemem sterowania Ważki — siedział, a raczej na wpół leżał, żeby zmniejszyć opór powietrza, na maleńkim siodełku w samym środku ciężkości. Kierownicę stanowił pojedynczy drążek, który dawał się przesuwać do tyłu i do przodu, w prawo i w lewo. Jedynym instrumentem był kawałek obciążonej wstążki przyczepionej na przodzie, pokazującej względny kierunek wiatru.

Odkąd ten latający rower zmontowano na Piaście, Jimmy Pak nie pozwalał nikomu go dotykać. Pod niezgrabną ręką mógłby pęknąć któryś człon z pojedynczego włókna, a te migotliwe skrzydła, kusząc swoim nieodpartym powabem wścibskie palce, również mogły ulec uszkodzeniu. Trudno było ludziom uwierzyć, że tam naprawdę coś jest.

Patrząc, jak Jimmy wsiada do tego urządzenia, Norton poczuł wątpliwości. Niech tylko jedno z tych śmigiełek trzaśnie, kiedy Ważka już przeleci na tamtą stronę Morza Cylindrycznego, a Jimmy będzie miał powrót odcięty, choćby szczęśliwie tam wylądował. Pogwałcił również uświęconą regułę badań kosmicznych: oto człowiek wyrusza samotnie na teren nieznany, gdzie nie sposób w razie potrzeby udzielić mu pomocy. Norton pocieszał się tylko tym, że przez cały czas będą mogli widzieć Jimmy'ego i zachowywać z nim łączność — wiadomo więc będzie, co go spotkało, gdyby rzeczywiście doszło do jakiegoś nieszczęścia.

Jimmy zdawał sobie sprawę, że takiej wspaniałej sposobności nie wolno zmarnować: jeśli się wierzy w los czy przeznaczenie, byłoby rzuceniem wyzwania samym bogom pominięcie tej jedynej dla badaczy okazji, bo jakże inaczej można by dotrzeć na południe Ramy, ujrzeć z bliska tajemnice bieguna południowego? Wiedział doprawdy lepiej niż ktokolwiek inny z załogi, czym ryzykuje. Na tym polega hazard. Jeżeli się przegra, trudno: nie zawsze hazardzistę czeka wygrana…

— A teraz, Jimmy, posłuchaj — powiedziała pani chirurg Ernst. — Nie przemęczaj się, to bardzo ważne. Pamiętaj, że zawartość tlenu tutaj na osi jest nadal bardzo niska. Kiedy tylko zabraknie ci tchu,

zatrzymuj się i dotleniaj przez trzydzieści sekund, ale nie dłużej.

Jimmy przytaknął z roztargnieniem, wypróbowując zespół przyrządów do sterowania. Cały ten zespół, tworzący jedno z wysięgnikiem o długości pięciu metrów za szczątkowym kokpitem, zaczął się kręcić, i już zaraz kłapiaste lotki w połowie skrzydła poruszały się na zmianę to w górę, to w dół.

— Mam ci zakręcić śmigło? — zapytał Joe Calvert, nie mogąc się oprzeć wspomnieniom filmów wojennych sprzed dwustu lat. — Zapłon! Kontakt! — Prawdopodobnie nikt oprócz Jimmy'ego nie wiedział, o czym on mówi, ale trochę to rozładowało nastrój napięcia.

Bardzo powoli Jimmy wprawił w ruch pedały. Szeroka, wątła łopatka śmigła — jak skrzydło, delikatny szkielet z rozpiętą na nim migotliwą błoną — zaczęła się obracać. Po wykonaniu kilku obrotów stała się niewidoczna. Ważka już leciała. ,

Oddaliła się od Piasty i powoli sunęła pionowo wzdłuż osi Ramy. Po przebyciu stu metrów Jimmy przestał pedałować: dziwny to był widok — pojazd wyraźnie aerodynamiczny, zawieszony nieruchomo w powietrzu. Chyba po raz pierwszy zdarzyło się kiedykolwiek coś takiego, z wyjątkiem, być może, prób na bardzo ograniczoną skalę w którejś z większych stacji kosmicznych.

— Jak idzie?!- zawołał Norton.

— Reakcja dobra, stabilność kiepska. Ale ja wiem dlaczego. Nie ma przyciągania. Będzie lepiej o kilometr niżej.

— Zaczekaj! Czy to bezpieczne?

Norton wiedział, że tracąc wysokość Jimmy zrezygnowałby z głównej zalety swojego urządzenia. Na samej osi pozostaje on — i Ważka — wstanie zupełnej nieważkości. Mógł wisieć bez wysiłku, a nawet spać, gdyby zechciał. Ale wystarczy, żeby zboczył z tej linii, wokół której Rama się kręci, a znów nabierze pseudociężaru pod wpływem siły odśrodkowej.

Tak więc niezdolność utrzymania się na tej wysokości oznaczałaby dalsze opadanie i tym samym nabieranie coraz większej masy. Proces ten przebiegałby coraz szybciej i mógłby zakończyć się katastrofą. Grawitacja na równinie Ramy była dwa razy większa niż ta, w której projektanci Ważki przewidywali jej działanie. Może by się udało wylądować szczęśliwie; z pewnością jednak nie udałoby się potem wystartować.

Ale Jimmy już przemyślał to wszystko. Odpowiedział dosyć ufnie:

— Poradzę sobie z jedną dziesiątą grawitacji bez żadnego kłopotu. I w gęstszym powietrzu będzie mi Ważkę łatwiej pilotować.

Swobodną spiralą, niespiesznie Ważka sunęła w przestworzach, mniej więcej wzdłuż linii schodów Alfa w dół ku równinie. Pod pewnymi kątami ten mały rower latający był prawie niewidoczny: wydawało się, że Jimmy pedałując zawzięcie siedzi w powietrzu.

Chwilami posuwał się z prędkością nawet trzydziestu kilometrów na godzinę, potem zwalniał do zera i próbował działania drążka, zanim znowu przyspieszał. Ale przez cały czas bardzo uważał, żeby zachować bezpieczną odległość od zaokrąglonego końca Ramy.

Wkrótce stało się jasne, że Ważkę rzeczywiście lepiej prowadzi się na mniejszych wysokościach: już nie zbaczała w prawo ani w lewo, uzyskała równowagę lecąc płasko nad równiną odległą teraz o siedem kilometrów. Jimmy zrobił kilka szerokich okrążeń, a potem znowu zaczął się wznosić. Ostatecznie zatrzymał się o kilkanaście metrów nad wyczekującymi kolegami i uświadomił sobie trochę za późno, że nie bardzo wie, jak wylądować tym swoim samolocikiem utkanym z nici babiego lata.

— Rzucić ci linę? — zapytał Norton na pół poważnie.

— Nie, kapitanie, muszę sam to wypracować. Przecież po tamtej stronie nie będę miał nikogo do pomocy.

Siedział przez chwilę, po czym zaczął kierować Ważkę ku Piaście krótkimi zrywami. Po każdym zrywie, kiedy opór powietrza ją zatrzymywał, szybko traciła rozpęd. Przy słabym jej ruchu w odległości pięciu metrów od Piasty wysiadł. Podryfował ku sieci lin bezpieczeństwa, uczepił się najbliższej liny, puścił ją i przekręcił się tak, że zdążył chwycić oburącz swój opadający rower. Ten manewr wywołał gromkie brawa.

— Następna szpula mojego filmu… — zaczął Joe Calvert.

Jimmy jednak odżegnał się od zasługi.

— To było partactwo — powiedział. — Ale teraz już wiem, jak to zrobić. Wezmę samoprzylepną kulę z dwudziestometrową linką. Wtedy będę mógł się przyciągnąć, do czego tylko zechcę.

— Daj rękę, Jimmy, zbadam ci puls — poleciła pani doktor — dmuchnij też w ten balonik. Krew także trzeba ci zbadać. Czy miałeś trudności z oddychaniem?

— Tylko na tej wysokości. Ale po co krew?

— Poziom cukru. Wtedy będę wiedziała, ile energii zużyłeś. Musimy mieć pewność, że na czas tej misji wystarczy ci energii. Skoro już o tym mowa, jaki jest rekord czasu lotu na takim rowerze?

— Dwie godziny, dwadzieścia pięć minut, trzy i sześć dziesiątych sekundy. Na Księżycu, oczywiście… Dwukilometrowe okrążenie w Hali Olimpijskiej.

— Myślisz, że wytrzymasz sześć godzin?

— Bez problemu, bo przecież w każdej chwili będę mógł zatrzymać się, żeby odpocząć. Latanie na Księżycu jest co najmniej dwa razy trudniejsze niż tutaj.

— Dobrze, Jimmy. Idziemy do laboratorium. Dam ci pozwolenie lekarskie, kiedy tylko dostanę wyniki analizy… albo nie dam. Nie chcę, żebyś miał płonną nadzieję, myślę jednak, że będziesz mógł

polecieć.

Uśmiech od ucha do ucha okrasił białą jak kość słoniowa twarz Jimmy'ego Paka. Sunąc za lekarzem pokładowym Laurą Ernst do śluzy, odwrócił się i zawołał do kolegów:

— Ręce z daleka, bardzo proszę! Nie chcę, żeby mi ktoś pięścią przedziurawił skrzydło.

— Przypilnujemy, Jimmy — obiecał dowódca. — Dostęp do Ważki wzbroniony każdemu, nie wyłączając mnie.

26. Gkos Ramy

Dopiero nad brzegiem Morza Cylindrycznego Jimmy Pak uświadomił sobie prawdziwy ogrom swej przygody. Dotychczas leciał nad terenem znanym i wiedział, że zawsze jeżeli oczywiście nie nastąpi jakaś katastrofa — mógłby wylądować i w ciągu kilku godzin wrócić pieszo do bazy.

Teraz możliwości wyboru już nie miał. Gdyby lądował przymusowo na morzu, prawdopodobnie utonąłby w tych trujących wodach. Nawet gdyby zdrowo i cało wylądował w rejonie południowym, mógłby zginąć bez pomocy, i to jeszcze przed ucieczką Śmiałka z wymierzonej w Słońce orbity Ramy.

Jasno też sobie uświadomił, że w tym wypadku bardziej prawdopodobne są nieszczęścia, których przewidzieć nie sposób. Nieznany teren może sprawić mnóstwo niespodzianek: mogą być tutaj jakieś stworzenia, które fruwają i którym nie podoba się jego wtargnięcie. Bardzo by nie chciał walczyć z czymkolwiek większym niż gołąb. Kilka celnych dziobnięć — i na nic cała aerodynamika Ważki.

A przecież gdyby nie było żadnego ryzyka, nie byłoby i osiągnięcia — nastroju wielkiej przygody. Miliony ludzi chętnie znalazłyby się na jego miejscu. On leci tam, gdzie nie tylko nikt nigdy przed nim nie był, ale też nikt nigdy po nim nie będzie. Na przestrzeni całej historii on, Jimmy Pak, jako jedyny spośród ludzi zbada południowe rejony Ramy. Postanowił, gdy tylko targnie nim lęk, przypominać sobie o tym.

Już przyzwyczaił się do siedzenia w przestworzach pośrodku tego dziwnego świata. Ponieważ oddalił się o dwa kilometry od osi, nabrał określonego pojęcia, gdzie jest "dół", a gdzie "góra". Grunt był teraz w dole, oddalony o sześć kilometrów, łukowate niebo ramiańskie było w odległości dziesięciu kilometrów w górze. Miasto Londyn wisiało tam prawie u zenitu: z drugiej strony widział Nowy Jork, który rozciągał się bezpośrednio przed nim.

— Ważka — usłyszał głos z Kontroli na Piaście — trochę za bardzo się obniżasz. Dwa tysiące dwieście metrów od osi.

— Dziękuję — odpowiedział — zaraz się wzniosę wyżej. Powiedzcie mi, kiedy będę z powrotem na dwutysięcznym metrze.

Na to musiał wciąż uważać. Istniała naturalna skłonność do opadania — a on nie miał żadnych przyrządów, które by mu dokładnie podawały położenie. Gdyby zanadto oddalił się od strefy nieważkości na osi, mógłby tam już nie powrócić. Na szczęście istniał duży margines błędu i jego lot nieustannie obserwowano przez teleskop na Piaście.

Teraz już leciał nad pełnym morzem, pedałując ze stałą szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Za pięć minut miał być nad Nowym Jorkiem: ta wyspa wyglądała raczej na statek wieczyście płynący wkoło po Morzu Cylindrycznym.

Nad Nowym Jorkiem zrobił jedno okrążenie, przy czym zatrzymał się kilka razy, żeby jego mała kamera telewizyjna mogła przesyłać obrazy nieruchome, wolne od drgań. Panorama tych budowli, baszt, zakładów przemysłowych czy elektrowni — cokolwiek to było — urzekała go, ale zasadniczo nie miała znaczenia. Choćby najdłużej wpatrywał się w skomplikowaną budowę Nowego Jorku, nic by z tego nie zrozumiał. Kamera mogła uchwycić więcej szczegółów, niżby w najlepszym nawet wypadku zapamiętał. Kiedyś — może za rok — te zdjęcia posłużą jakiemuś badaczowi jako klucz do sekretów Ramy.

Zostawił Nowy Jork w dole i już po kwadransie znalazł się nad drugą połową Morza Cylindrycznego. Sam o tym nie wiedząc, przeleciał nad wodą bardzo szybko. Ńad wybrzeżem południowym, uspokojony, bezwiednie zwolnił, tak że prędkość Waźki zmniejszyła się o dobre kilka kilometrów na godzinę. Leciał teraz nad terytorium zupełnie nieznanym, ale przynajmniej już nie nad morzem, tylko nad lądem.

Ledwie minął ogromne urwisko, stanowiące południową granicę Morza Cylindrycznego, powiódł kamerą telewizyjną po całym kręgu tego świata.

— Piękne! — odezwała się Kontrola na Piaście. — To uszczęśliwi kartografów. Jak się czujesz?

— Doskonale… tyle że jestem trochę zmęczony, ale nie bardziej, niż się spodziewałem. Daleko jeszcze do bieguna?

— Piętnaście koma sześć kilometrów.

— Powiedzcie, kiedy będzie dziesięć. Wtedy odpocznę. I pilnujcie, żebym nie opadał. Zacznę się wznosić, kiedy zostanie mi tylko pięć do przebycia.

I dwadzieścia minut później wydawało mu się, że świat zamyka się nad nim. Doleciał do końca długości walca i znalazł się w południowej kopule.

Oglądał ją całymi godzinami przez teleskopy na północnym końcu Ramy i nauczył się jej geografii na pamięć. Ale i tak niedostatecznie się przygotował na widok, jaki go teraz otaczał.

Dwa końce Ramy różniły się od siebie pod każdym prawie względem. Tutaj nie było żadnych potrójnych schodów, szeregu wąskich koncentrycznych płaskowyżów ani zaokrąglenia od Piasty do równiny. Był natomiast pośrodku na osi szpikulec liczący ponad sześć kilometrów długości: otaczało go sześć równo rozmieszczonych szpikulców mniejszych i o połowę krótszych. Wszystkie razem wyglądały jak grupa niezwykłych symetrycznych stalaktytów, które

zwisają ze stropu jaskini. Z innego punktu wyglądały jak wieżyczki kambodżańskiej świątyni zbudowanej na dnie krateru…

Te smukłe, zwężające się wieże były połączone łukami oporowymi, które wygiętą linią oddalały się od nich, stapiając z cylindryczną równiną i sprawiały wrażenie dosyć masywnych, żeby dźwigać ciężar świata. Może temu właśnie służyły, jeżeli — w myśl przypuszczeń — były rzeczywiście elementami jakichś egzotycznych zespołów napędowych.

Porucznik Pak ostrożnie podleciał do środkowego szpikulca, przestał pedałować już w odległości stu metrów i gdy Ważka dryfowała, odpoczął. Sprawdził, jakie jest promieniowanie: stwierdził tylko ramiańskie bardzo niskie "szczątkowe". Mogły tu działać siły niewykrywalne przez żadne ludzkie instrumenty, ale to było jeszcze jedno nieuniknione ryzyko.

— Co widzisz? — dobiegło niespokojne pytanie z Kontroli na Piaście.

— Tylko Wielki Róg… Zupełnie gładki, bez żadnych cech szczególnych. Szpic jest ostry, można by nim szyć jak igłą. Prawie boję się tam zbliżyć.

Raczej nie żartował. Wydawało się niewiarygodne, że obiekt tak masywny zwęża się stopniowo do tak geometrycznie doskonałego szpica. Widywał nieraz zbiory owadów nabitych na szpilki i wcale nie pragnął, żeby jego Ważkę spotkał podobny los.

Pedałował powoli naprzód, dopóki szpikulec nie rozszerzył się do kilku metrów średnicy. Wtedy zatrzymał Ważkę znowu. Otwierając mały pojemnik, bardzo ostrożnie wyciągnął kulę wielkości mniej więcej piłki tenisowej i rzucił ją w stronę szpikulca. Gdy kula dryfowała, ciągnęła się za nią ledwie widoczna żyłka.

Ta samoprzylepna kula trafiła w gładką zaokrągloną powierzchnię… i nie odbiła się. Jimmy szarpnął żyłką na próbę, pociągnął mocniej. Jak rybak wyciągający z morza swój połów, powoli nawijał nić na kołowrotek, aż Ważka tak zbliżyła się do kolca stosownie nazwanego Wielkim Rogiem, że mógł dotknąć go ręką.

— Chyba można by to nazwać lądowaniem — zameldował na Piastę. — Pod dotykiem jest jak szkło… prawie gładkie i raczej ciepłe, samoprzylepna kotwica spisała się na medal. Teraz wypróbuję mikrofon. Zobaczymy, czy przyssawka też przylgnie. Już instaluję. Słyszycie coś oprócz mojego głosu?

Nastąpiła długa chwila milczenia. Potem Kontrola na Piaście oznajmiła z niesmakiem:

— Nic a nic, do licha, tylko zwykłe szumy cieplne. Może stukniesz kawałkiem metalu? Wtedy przynajmniej dowiemy się, czy to jest puste w środku.

— Dobrze. 1 co dalej?

— Chcielibyśmy, żebyś przeleciał wzdłuż szpikulca, sprawdzał wszystko dokładnie co pół kilometra, wypatrywał wszelkich niezwykłości. Potem, jeżeli będziesz pewny, że to bezpieczne, mógłbyś przelecieć do któregoś z mniejszych rogów. Ale tylko jeżeli będziesz pewny, że możesz wrócić do strefy nieważkości bez żadnego kłopotu.

— Trzy kilometry od osi… to nieco więcej od przyciągania księżycowego. Ważka jest na to zaprojektowana. Właśnie na takie przyciąganie. Będę tylko musiał trochę się wysilić.

— Jimmy, tu kapitan. Zastanówmy się nad tym. Sądząc z twoich zdjęć, mniejsze kolce są zupełnie takie same jak ten największy. Sfotografuj, ile tylko zdołasz, przez obiektyw o zmiennej ogniskowej. Nie chcę, żebyś opuszczał rejon małego przyciągania. Chyba że zobaczysz coś, co by się wydawało bardzo ważne. Wtedy to omówimy.

— Rozkaz, kapitanie — powiedział Jimmy; w jego głosie chyba zabrzmiała nuta ulgi. — Będę się trzymał Wielkiego Rogu. Ruszamy znowu.

Poczuł, jak opada prosto w wąską dolinę pośród kilku niewiarygodnie wysokich, strzelistych gór. Wielki Róg wznosił się teraz o kilometr nad nim, sześć mniejszych kolców majaczyło wokół niego. Skarpy i wiszące przypory, które otaczały niższe zbocza, zbliżały się bardzo szybko. Jimmy zastanowił się, czy wśród tej cyklopowej architektury mógłby wylądować gdzieś bezpiecznie. Na samym Wielkim Rogu już nie mógł: przyciąganie na rozszerzających się zboczach było teraz zbyt silne, żeby mogła go utrzymać samoprzylepna kotwica.

W pobliżu bieguna południowego poczuł się jak wróbel fruwający pod sklepieniem katedry — chociaż nigdy jeszcze nie zbudowano katedry bodaj na jednej setnej tak rozległego terenu. Zastanowił się, czy to nie jest rzeczywiście jakaś świątynia albo coś w przybliżeniu analogicznego, zaraz jednak odrzucił tę koncepcję. Nigdzie w Ramie nie było widać ani śladu wyrazu artystycznego: wszystko jest czysto funkcjonalne. Może Ramianie uważali, że już znają najistotniejsze sekrety wszechświata, i nie dręczyły ich tęsknoty i dążenia, jakimi kieruje się ludzkość?

To była myśl mrożąca krew w żyłach, zupełnie obca jego zwykłej, niezbyt głębokiej filozofii życiowej. Poczuł gwałtowną potrzebę łączności z ludźmi i zameldował o sytuacji swoim przyjaciołom na Piaście.

— Ważka, powtórz — usłyszał odpowiedź Kontroli. Nie rozumiemy cię. Odbiór zniekształcony.

— Powtarzam. Jestem niedaleko podstawy Małego Rogu Numer Sześć i znów rzucam kotwicę, żeby się do niego przyciągnąć.

— Zrozumiałem częściowo. Czy ty mnie słyszysz?

— Tak, doskonale. Powtarzam: doskonale.

— Proszę, zacznij liczyć.

— Jeden, dwa, trzy, cztery…

— Odbiór zakłócony. Daj nam sygnał namiaru przez piętnaście sekund, a potem przejdź znowu na głos.

— Już.

Jimmy włączył sygnał o niskiej mocy, który pozwalał zlokalizować go wszędzie w całym wnętrzu Ramy, i odliczył te sekundy. Potem przez radio zapytał niespokojnie:

— Co się dzieje? Słyszycie mnie teraz?

Przypuszczalnie Kontrola nie słyszała, bo po chwili polecono mu przekazać piętnastosekundowy obraz telewizyjny. Dopiero gdy Jimmy powtórzył swoje pytanie dwukrotnie, dotarło ono na Piastę.

— To dobrze, że nas słyszysz, Jimmy, ale coś dziwnego dzieje się tam na twoim końcu. Posłuchaj.

Jimmy usłyszał odtworzony przez radio dobrze znany gwizd własnego sygnału namiarowego. Przez chwilę brzmiał zupełnie normalnie, ale później wkradło się jakieś zagadkowe zniekształcenie. Dźwięk o częstotliwości tysiąca herców modulowało głębokie pulsowanie, o tak niskiej częstotliwości, że prawie niedosłyszalne: jakieś falowanie bardzo niskiego dźwięku, w którym słychać było każdą wibrację. W dodatku sam sygnał modulujący był także modulowany; jego natężenie wznosiło się i opadało co pięć sekund.

Ani na moment nie przyszło Jimmy'emu do głowy, że coś nie jest w porządku z jego nadajnikiem. To był odgłos z zewnątrz — chociaż co to jest i co to znaczy, nie miał pojęcia.

Kontrola na Piaście też nie wiedziała, ale przynajmniej wysunęła przypuszczenie.

— Zdaje się, że jesteś w obszarze bardzo silnego pola najprawdopodobniej magnetycznego o częstotliwości około dziesięciu herców. Kto wie, może ono jest dość silne, żeby było niebezpieczne. Radzimy ci zaraz stamtąd uciekać. Może ma tylko zasięg lokalny. Włącz znowu sygnał, my ci go odtworzymy. Dla orientacji, czy oddalasz się od tego.

Jimmy z pośpiechem oderwał samoprzylepną piłkę i przestał myśleć o lądowaniu. Zawrócił Ważkę szerokim kręgiem, słuchając odgłosu, który pulsował w słuchawkach. Ledwie odleciał o kilka metrów, stwierdził, że odgłos raptownie słabnie — tak jak domyślano się na Piaście: pole miało ściśle ograniczony zasięg.

Zatrzymał się na chwilę tam, gdzie jeszcze mógł ten odgłos słyszeć, ale już tylko jako słabe tętnienie głęboko pod czaszką. Równie dobrze mógłby pierwotny barbarzyńca pełen bojaźni w swojej niewiedzy słuchać cichego szumu jakiegoś olbrzymiego transformatora, przy czy nawet ów dzikus chyba by odgadł, że to, co słyszy, jest po prostu pulsowaniem kolosalnych energii w pełni

kontrolowanych, a przecież czekających na swoją chwilę.

Cokolwiek ten głos oznaczał, Jimmy był rad, że się od niego uwolnił. Bo i dlaczego właśnie tutaj, wśród przygniatającej architektury bieguna południowego, człowiek miałby samotnie słuchać głosu Ramy?

27. Wiatr elektryczny

Gdy Jimmy skierował się z powrotem na północ, tamten koniec Ramy wydawał mu się niewiarygodnie daleki. Nawet potrójne olbrzymie schody były ledwie widoczne jako nikła litera Y na kopule, która zamykała ten świat. Obręcz Morza Cylindrycznego stała się groźną szeroką zaporą, czekającą, żeby go pochłonąć, gdyby jak Ikara zawiodły go kruche skrzydła.

Ale na południe przeleciał tę całą drogę bez trudności, więc teraz pomimo lekkiego zmęczenia był już pewny, że nie ma się czym denerwować. Dotychczas nawet nie tknął swoich zapasów żywności i wody, i podniecony nawet nie myślał o zmęczeniu. W drodze powrotnej zamierzał odpocząć i odprężyć się. Otuchy dodawała mu też myśl, że lot powrotny może być o dwadzieścia kilometrów krótszy, bo lecąc nad północnym kontynentem mógłby w razie potrzeby wylądować tam gdziekolwiek. Byłoby to, rzecz jasna, kłopotliwe — musiałby w takim wypadku odbyć długą wędrówkę, i co o wiele gorsze, musiałby porzucić Ważkę, ale dawało mu to bardzo uspokajające poczucie bezpieczeństwa.

Teraz wznosie się z powrotem ku środkowemu kolcowi. Spiczasta iglica Wielkiego Rogu sterczała jeszcze o kilometr ponad nim i chwilami doznawał wrażenia, że to jest oś, wokół której cały ten świat się kręci.

Już prawie dotarł do wierzchołka Wielkiego Rogu, gdy nagle uświadomił sobie coś dziwnego: złe jakieś przeczucie i roztrzęsienie nie tylko psychiczne, ale doprawdy i fizyczne. Przypomniało mu się, bynajmniej go nie pocieszając, zdanie, które gdzieś kiedyś przeczytał: “Ktoś przechodzi po twoim grobie”.

Zbył to wzruszeniem ramion i dalej pedałował miarowo. Z pewnością nie miał zamiaru meldować Kontroli na Piaście o niczym tak błahym jak nieokreślenie złe samopoczucie, ale czuł się rzeczywiście coraz gorzej, więc chyba należałoby… To nie mogła być kwestia wyłącznie psychologiczna. Wykluczone. Gdyby tak było, toby oznaczało, że ma bujniejszą wyobraźnię, niż dotąd zdawał sobie z tego sprawę. Dosłownie ciarki przebiegały mu po skórze.

Poważnie zaniepokojony zatrzymał się w przestworzach, żeby rozważyć sytuację. Tym dziwniejsze, że owo przygnębienie nie wydawało mu się nowością: już nieraz czuł się podobnie, tylko nie pamiętał kiedy?

Uważnie powiódł wzrokiem wokoło. Nic się nie zmieniło. Ogromna iglica Wielkiego Rogu sterczała o kilkaset metrów nad nim, a niebo za iglicą tworzyła druga strona Ramy. Poniżej na głębokości ośmiu kilometrów rozciągała się skomplikowana panorama lądu

południowego, pełna dziwów, których żaden inny człowiek nigdy nie zobaczy.

W tym zupełnie obcym, a przecież dobrze już znanym krajobrazie Jimmy nie zdołał znaleźć nic, co by mogło stanowić przyczynę jego niepokoju.

Coś połaskotało mu grzbiet dłoni. Przez chwilę myślał, że to jakiś owad, i nie patrząc chciał go strzepnąć. Zamierzył się i nagle znieruchomiał. Owad? Ależ ze mnie idiota! Oczywiście, nikt nie widział owadów w Ramie…

Podniósł tę rękę i przyjrzał się jej, trochę zaintrygowany, bo łaskotanie nie ustawało. Właśnie wtedy zauważył, że włoski na całej ręce się jeżą. Tak samo jeżyły mu się włosy na głowie, gdy badawczo przesunął po nich palcami.

A więc tak. Pojął, że jest w silnym polu elektrycznym: jego przygnębienie i ociężałość były podobne do samopoczucia przed burzą.

Nieomal panika zdjęła go na myśl o tym. Nigdy dotąd w życiu nie groziło mu konkretne niebezpieczeństwo. Jak wszyscy kosmonauci, przeżywał chwile załamania spowodowanego ciężarem ekwipunku i chwile, gdy przez pomyłkę bądź z braku doświadczenia sądził, że jest w niebezpiecznej sytuacji. Ale nigdy nie trwało to dłużej niż kilka minut i zwykle później śmiał się sam z siebie.

Tym razem nie zapanował nad sobą tak łatwo. Czuł się bezbronny i samotny w przestworzach nagle wrogich, otoczony tytanicznymi siłami, które mogą wyładować swoją furię lada moment. Ważka — już i tak dostatecznie wątła — teraz wydawała się czymś utkanym z najcieńszych nitek babiego lata. Pierwsza salwa nadciągającej burzy zniszczyłaby ją doszczętnie.

— Kontrola na Piaście — powiedział gwałtownie. Zaczynają się tu pojawiać jakieś statyczne ładunki elektryczne. Myślę, że zaraz będzie burza.

Ledwie skończył mówić, błysnęło. Doliczył do dziesięciu, zanim zagrzmiało. Trzy kilometry — to znaczy, że gdzieś przy Małych Rogach. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył, że każda z tych sześciu iglic płonie, jakby się paliła. Wyładowania o długości setek metrów pląsały wokół ich szpiców, jakby to były olbrzymie piorunochrony.

To samo może też się wydarzyć za chwilę, tylko na jeszcze większą skalę przy szpicu Wielkiego Rogu. Najlepiej byłoby uciec możliwie daleko od tych niebezpiecznych konstrukcji i poszukać czystego, nie naładowanego powietrza. Zaczął znów pedałować zwiększając szybkość, jak tylko zdołał bez nadmiernego przeciążania Ważki. Jednocześnie opuszczał się coraz niżej. Pomimo że to oznaczało wejście w rejon silniejszego przyciągania, był teraz gotów podjąć takie ryzyko. Świadomość, że się jest wysokości ośmiu

kilometrów, zgoła nie przyczynia się do zachowania spokoju ducha.

Przy złowieszczo czarnym szpicu Wielkiego Rogu nadal nie było widać żadnych wyładowań, ale nie wątpił, że wytwarza się tam straszliwe pole elektryczne. Od czasu do czasu grzmoty jeszcze rozlegały się poza nim, przetaczając się po obwodzie tego świata. Raptem przyszło mu do głowy, że bardzo dziwna jest ta burza, gdyż niebo pozostaje idealnie czyste; po chwili zrozumiał, że to wcale nie jest zjawisko meteorologiczne. Drobny upływ energii z jakiegoś źródła ukrytego głęboko w południowej kopule Ramy? Ale dlaczego teraz? I co ważniejsze — jak się to skończy?

Był już dobrze za wierzchołkiem Wielkiego Rogu i miał nadzieję, że wkrótce znajdzie się poza zasięgiem wszelkich błyskawic. Ale musiał pokonać inną trudność: powietrze zaczynało się kotłować tak, że prawie nie panował nad Ważką, która opierała się podmuchom nadlatującym jak gdyby znikąd, i wiedział, że jeżeli ten wiatr przybierze na sile, kruchy szkielet jego roweru może po prostu trzasnąć. Pedałował zawzięcie, usiłując lecieć równo. Ponieważ Ważka była niejako przedłużeniem jego mięśni, częściowo mu się to udawało, ale niepokoiły go przy każdym podmuchu słabe skrzypnięcia kadłuba i zwijanie się skrzydeł.

I coś jeszcze mu się nie podobało: coraz wyraźniej od strony Wielkiego Rogu dobiegający słaby szum, jak gdyby syk będącego pod ciśnieniem gazu, ulatniającego się z zaworu. Zastanawiał się, czy to ma coś wspólnego z wichurą, której on usiłuje stawić czoło. Jakakolwiek była przyczyna, stanowiło to nową podstawę do niepokoju.

Od czasu do czasu dosyć zwięźle, pospiesznie meldował Kontroli na Piaście o tych zjawiskach. Wiedział, że nikt stamtąd nie może dać mu żadnej rady ani nawet przewidzieć, co nastąpi, ale uspokajał się słuchając głosów przyjaciół, chociaż zaczynała go dręczyć obawa, że nigdy już ich nie zobaczy.

Zawirowania się wzmagały. Dawały się odczuć prawie tak, jakby wchodził w prąd wznoszenia — co zresztą kiedyś zrobił, usiłując pobić rekord, gdy leciał szybowcem klasy otwartej na Ziemi. Ale co mogło wytworzyć prąd wznoszenia w Ramie?

Zadał sobie właściwe pytanie. Ledwie je sformułował, znał odpowiedź.

Ten syk to wiatr elektryczny niosący ogromną jonizację, która musiała się wytworzyć wokół Wielkiego Rogu. Zjonizowane powietrze gromadziło się przy osi Ramy, a inne masy powietrza napływały do rejonu niskiego ciśnienia z dala od osi. Obejrzał się na tę gigantyczną, teraz podwójnie groźną iglicę, próbując ustalić sobie granice wiejącej stamtąd wichury. Może najlepszą taktyką będzie kierować się słuchem, żeby uciec od tego złowieszczego syku jak najdalej.

Rama oszczędziła mu konieczności wyboru. Płachta ognia buchnęła poza nim, przysłaniając niebo. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak rozdarła się na sześć wstęg, które promieniście rozpostarły się z wierzchołka Wielkiego Rogu do sześciu Małych Rodów. Potem dosięgnęło go wyładowanie.

28 Ikar

Jimmy Pak zawołał przez radio:

— Skrzydło się zawinęło… rozbiję się, spadam!

Bo już Ważka zaczęła z gracją składać się wokół niego. Lewe skrzydło trzasnęło wzdłuż i połowa od strony zewnętrznej uleciała jak lekki liść z drzewa. Prawe skrzydło zareagowało jeszcze efektowniej. Skręciło się u nasady i odgięło do tyłu, aż czubkiem zahaczyło o ogon. Jimmy poczuł się tak, jakby siedział w powoli opadającym połamanym latawcu.

A przecież nie był zupełnie bezradny. Śmigło działało nadal i dopóki miał siły, mógł jeszcze zachować pewną kontrolę. Pozostało mu chyba pięć minut, żeby to wykorzystać.

Czy była możliwość dotarcia nad morze? Nie — do morza za daleko. Potem uprzytomnił sobie, że nadal myśli w kategoñach ziemskich. Chociaż dobrze pływa, ratunek byłby kwestią godzin, a przez ten czas trujące wody niewątpliwie by go zabiły. Jedyna nadzieja to wylądować na gruncie stałym. O problemie, jaki przedstawia strome południowe urwisko, można by pomyśleć później, jeśli w ogóle będzie jakieś “później”.

Opadał bardzo wolno w tej strefie jednej dziesiątej przyciągania ziemskiego, ale w miarę oddalania się od osi Ramy miało nastąpić przyspieszenie. Opór powietrza jednak mógłby nie dopuścić do spadania w zbyt szybkim tempie, czyniąc z Ważki nawet pozbawionej napędu prymitywny spadochron. Te kilka kilogramów ciągu, których on Ważce nadal dostarczał, stanowiło całą różnicę pomiędzy życiem i śmiercią: to była jego jedyna nadzieja.

Kontrola na Piaście zamilkła. Przyjaciele mogli wyraźnie widzieć, co się z nim dzieje, i wiedzieli, że słowami w żaden sposób mu nie pomogą. Dokazywał teraz cudów zręczności jak nigdy w życiu. Bardzo źle — pomyślał z wisielczym humorem — że publiczność jest taka mała i nie może ocenić finezji mojego popisu.

Zlatywał szeroką spiralą i dopóki tor tej spirali pozostawał płaski, były szanse ocalenia. Pedałowanie utrzymywało Ważkę w powietrzu, chociaż bał się wkładać w to maksimum energii, bo złamane skrzydła mogłyby zupełnie odpaść. I za każdym razem, kiedy odwracał głowę do tyłu, podziwiał fantastyczne widowisko, które Rama zgotowała dla niego.

Serpentyny światła wciąż jeszcze pląsając sięgały z wierzchołka Wielkiego Rogu na mniejsze kolce, ale teraz wszystkie się obracały. Sześciopalczasta korona ognia kręciła się w kierunku przeciwnym niż Rama, wykonując jeden obrót na kilka sekund. Jimmy doznawał wrażenia, że patrzy na jakiś pracujący olbrzymi silnik elektryczny, i

może nie był tak bardzo daleki od prawdy.

Znajdował się w połowie drogi nad równinę i nadal leciał po płaskiej spirali, gdy te fajerwerki nagle ustały. Nieomal czuł, jak natężenie pola elektrycznego słabnie, i wiedział nie patrząc, że włoski na rękach już mu się nie jeżą. Teraz nic nie miało odwracać uwagi ani hamować go w ciągu ostatnich minut walki o życie.

Uważnie mógł się rozejrzeć po obszarze, na który spadał. Większość tego rejonu była szachownicą złożoną z kontrastujących połaci, jak gdyby dano wolną rękę jakiemuś ogrodnikowi do cna zwariowanemu, pełnemu rozmachu i obłędnej fantazji. Kwadraty tej szachownicy, o boku prawie kilometra, były przeważnie płaskie, ale nie miał pewności, czy wszystkie są gruntem stałym, tak bardzo różniły się barwami i fakturą. Zdecydował się czekać do ostatniej chwili z wyborem miejsca lądowania, jeśli doprawdy będzie miał wybór.

Na wysokości już tylko kilkuset metrów po raz ostatni odezwał się do Kontroli na Piaście:

— Jeszcze panuję trochę. Opadnę za pół minuty, wtedy zamelduję.

To była tylko nadzieja, jak wszyscy zdawali sobie sprawę. Ale nie chciał się pożegnać; chciał, by jego towarzysze wiedzieli, że do końca walczy nieustraszenie.

Rzeczywiście raczej się nie bał i to go zdumiewało, bo nigdy nie uważał się za człowieka szczególnie odważnego. Nieomal doznawał wrażenia, że tak się teraz boryka ktoś nieznajomy, a on patrzy zainteresowany problemami aerodynamiki i zmienności parametrów, ciekaw, co się stanie. Prawie jedynym jego uczuciem był jakiś obojętny żal z powodu straconych okazji — zwłaszcza rychłej Olimpiady Księżycowej. Jedno przynajmniej było pewne: Ważka nie zaprezentuje swoich walorów na Księżycu.

Jeszcze sto metrów, szybkość opadania wydawała się do przyjęcia, ale jak gwałtowne będzie uderzenie? I oto uśmiech losu — teren tutaj zupełnie płaski. Trzeba wytężyć wszystkie siły w ostatecznym zrywie energii. Raz, dwa JUŻ!

Prawe skrzydło po spełnieniu swej powinności w końcu oderwało się zupełnie. Ważka zaczęła się przetaczać. Spróbował ją naprostować, stawiając temu młynkowi opór całym ciałem. Na wprost nad sobą widział odległy o szesnaście kilometrów zaokrąglony łuk krajobrazu.

To nie w porządku, to nie ma sensu, że niebo jest takie twarde.

29. Pierwszy kontakt

Gdy Jimmy Pak odzyskał przytomność, przede wszystkim uświadomił sobie, że piekielnie boli go głowa. Prawie ucieszył się z tego bólu, przynajmniej świadczącego, że żyje.

Potem spróbował się poruszyć i natychmiast odczuł najrozmaitsze inne bóle, kłucia i ćmienia. O ile jednak mógł się zorientować, żadna kość nie była złamana.

Potem spróbował otworzyć oczy, ale zamknął je od razu przed blaskiem bijącym z góry. Jako lekarstwo na ból głowy widok raczej niewskazany.

Jeszcze leżał odzyskując siły i zastanawiając się, kiedy będzie mógł bezpiecznie otworzyć oczy, gdy nagle usłyszał z bliska dziwne chrupnięcie. Powoli odwrócił głowę w kierunku tego odgłosu i odważył się spojrzeć. Omal nie zemdlał znowu.

W odległości nie większej niż pięć metrów ucztowało na szczątkach biednej Ważki jakieś duże stworzenie podobne do kraba. Opanował nerwy i powoli, cichutko odturlał się dalej, niepewny, czy za chwilę potwór nie pochwyci go w kleszcze, gdy odkryje, że może mieć bardziej apetyczny posiłek. Jednakże potwór wcale nie zwracał na niego uwagi. Oddalony już o dziesięć metrów, Jimmy ostrożnie podparł się i usiadł.

Z tej większej odległości ów krab nie wydawał się taki straszny. Mierzył chyba ze dwa metry wzdłuż i metr wszerz, miał niski spłaszczony tułów, sześć nóg i to nieprawda, że jadł Ważkę: co więcej;: Jimmy nie widział ani śladu pyska. To zwierzę tylko niszczyło, kleszczami jak nożyce cięło rower powietrzny na małe kawałki. Następnie całym szeregiem manipulatorów, które wyglądały jak maleńkie ręce ludzkie, przenosiło sobie te kawałki na grzbiet, układając je w coraz większą stertę.

Ale czy to było zwierzę? Chociaż w pierwszej chwili tak pomyślał, teraz miał co do tego wątpliwości. Celowość działania raczej wskazywała na dosyć wysoką inteligencję, nie widział powodu, dla którego jakiekolwiek stworzenie kierujące się tylko instynktem tak starannie zbierałoby rozrzucone szczątki jego powietrznego roweru — chyba że miałby to być materiał do uwicia gniazda.

Obserwując czujnie kraba, nadal zajętego wyłącznie swoją pracą, pogramolił się i wstał. Po kilku chwiejnych krokach stwierdził, że może nadal chodzić, nie był jednak pewny, czy zdoła prześcignąć tego sześcionoga. Włączył radio spokojny, że nadal będzie działało. Katastrofa, z której on zdołał wyjść z życiem, chyba nawet nie została zarejestrowana przez półprzewodnikową elektronikę.

— Kontrola na Piaście — powiedział cicho. — Słyszycie mnie?

— Bogu dzięki! Nic ci się nie stało?

— Trochę jestem wstrząśnięty. Popatrzcie na to.

Odwrócił kamerę w stronę kraba akurat w porę, żeby utrwalić ostateczne demolowanie skrzydła Ważki.

— Co to jest, do diabła… i dlaczego żuje twój rower?

— Gdybym to ja wiedział. Ważka już załatwiona. Uciekam stąd na wypadek, gdyby to coś chciało dla odmiany dobrać się do mnie.

Jimmy powoli wycofał się, przy czym ani na chwilę nie odrywał oczu od kraba. Stwór chodził teraz w kółko coraz szerszą spiralą, najwidoczniej szukając fragmentów Ważki ewentualnie przeoczonych, toteż Jimmy mógł zobaczyć go całego.

Teraz, gdy już ochłonął z wrażenia, uznał, ze bestia jest dosyć urodziwa, przy czym określenie “krab”, jakiego automatycznie użył, nie należało do najtrafniejszych. Gdyby to stworzenie nie było tak niemożliwie duże, można by je nazwać żukiem. Miało lśniący jak metal, piękny pancerz; w istocie Jimmy prawie gotów byłby przysiąc, że to rzeczywiście metal.

Ciekawa koncepcja. Może więc robot, a nie zwierzę? Przejęty tą myślą, uważnie zbadał wzrokiem szczegóły jego anatomii. Zamiast otworu gębowego zobaczył zbiór manipulatorów bardzo przypominających wieloczynnościowe scyzoryki — marzenie i radość wszystkich małych zuchów: szczypce, szpikulce, pilniki i nawet coś, co wyglądało jak świder, ale nic z tego nie dawało się określić zdecydowanie. Na Ziemi świat owadów ma też podobne narządy i wiele innych ponadto. Kwestia zwierzę czy robot pozostawała nie rozstrzygnięta.

Oczy tego “kraba”, które może by rozstrzygnęły sprawę, czyniły ją jeszcze bardziej zagadkową. Były tak głęboko osadzone pod kryjącymi je kapturami, że Jimmy nie mógł poznać, czy ich soczewki są z kryształu, czy z galarety. Oczy te były przedziwnie jaskrawoniebieskie i zupełnie bez wyrazu. Chociaż zwracały się kilkakrotnie w jego stronę, nie błysnęła w nich bodaj najmniejsza iskierka zainteresowania. Uznał subiektywnie, że to decyduje o poziomie inteligencji. Żaden stwór — robot czy zwierzę — który ignoruje istotę ludzką, na pewno nie grzeszy bystrością.

Tymczasem krab nie krab przestał krążyć i przez kilka sekund stał nieruchomo, jak gdyby odbierał jakieś niedosłyszalne dla Jimmy’ego sygnały. Potem ruszył dziwnie kołyszącym się krokiem mniej więcej w kierunku morza. Szedł prościuteńko przed siebie ze stałą szybkością czterech czy pięciu kilometrów na godzinę i oddalił się może o dwieście metrów, gdy Jimmy jeszcze nieco wstrząśnięty zauważył, że wraz z nim oddalają się ostatnie smętne szczątki jego ukochanej Ważki. Kipiąc oburzeniem ruszył w gwałtowny pościg.

Postępek Jimmy’ego nie był tak całkowicie nielogiczny. Krab

kierował się w stronę morza, a on wiedział, że ratunek -jeśli już w ogóle -może nadejść tylko stamtąd. Co więcej, chciał odkryć, co krab zrobi ze swoim łupem: to powinno rzucić jakieś światło na odruchy i inteligencję tego stworzenia.

Nadal obolały i odrętwiały, dopiero po kilku minutach dogonił kraba idącego wytrwale. Zachowywał jednak pełną szacunku odległość, dopóki się nie przekonał, że jego obecność jest krabowi zupełnie obojętna. Podchodząc bliżej, zobaczył wśród szczątków Ważki swoją manierkę z wodą i żelazną rację żywnościową. Natychmiast poczuł głód i pragnienie.

Oto sprzed nosa ucieka z bezlitosną prędkością pięciu kilometrów na godzinę jedyny posiłek i napitek w całej południowej połowie Ramy. Bez względu na ryzyko trzeba je odzyskać. Ostrożnie podszedł do kraba od tyłu z prawej strony. Dotrzymując mu kroku, studiował skomplikowany rytm jego nóg, aż w końcu mógł przewidzieć w każdej chwili, gdzie która stąpnie. Gdy już był gotów, bąknął szybko: “Przepraszam” i rzucił się błyskawicznie, żeby porwać swoją własność. Nigdy nie przypuszczał, że nadejdzie dzień, w którym będzie musiał wykazać umiejętności złodzieja kieszonkowego. Udało się i był sobą zachwycony. W niecałą sekundę uciekł od kraba, idącego wciąż tak samo miarowym krokiem.

Pozostał w tyle na odległość kilkunastu metrów. Zwilżył wargi wodą z manierki i zaczął żuć baton koncentratów mięsnych. To małe zwycięstwo poprawiło mu humor: teraz odważył się nawet zastanowić nad swoją ponurą przyszłością.

Póki życia, póty i nadziei, a przecież nie wyobrażał sobie żadnego sposobu ratunku. Choćby jego koledzy przeprawili się przez morze, jak dotarłby do nich z urwiska półkilometrowej wysokości?

— Znajdziemy jakiś sposób — obiecała mu Kontrola na Piaście. — Niemożliwe, żeby to urwisko biegło wokół Ramy nieprzerwanym ciągiem.

Wyrywało mu się pytanie: “Dlaczego niemożliwe?”, ale ostatecznie nie zapytał.

Jedną z najdziwniejszych okoliczności wędrowania po Ramie było to, że zawsze się widziało miejsce docelowe. Tutaj zakręty niczego nie zasłaniały — przeciwnie, ukazywały wszystko. Po jakimś czasie Jimmy wiedział, dokąd krab idzie: daleko na lądzie, który zdawał się wznosić przed nim, ziała szeroka na pół kilometra jama. Trzy takie wypatrzono z Piasty w południowej części Ramy. Nie zdołano jednak określić, jak są głębokie. Nadano im nazwy słynnych kraterów na Księżycu i krab teraz zbliżał się do krateru zwanego Kopernikiem. Ten Kopernik raczej nie przypominał swego imiennika księżycowego, nie otoczony wzgórzami i bez szczytów pośrodku. Był głębokim szybem o pionowych zboczach.

Podchodząc dostatecznie blisko, żeby tam zajrzeć, Jimmy zobaczył w dole co najmniej o pół kilometra poniżej złowieszczą, szarą jak ołów taflę wody. A więc woda chyba na poziomie morza: zastanowił się, czy jest z morzem połączona.

W głąb tej studni prowadziła spiralna rampa, tak wcięta w stromą ścianę, że wyglądała jak rowek gwintu w lufie ogromnej strzelby. Wydawało się, że zakręca niezliczoną ilość razy; Jimmy, zdezorientowany coraz bardziej, dopiero gdy prześledził kilka jej skrętów, zrozumiał wreszcie, że to są trzy rampy, a nie jedna, trzy oddzielne, rozmieszczone względem siebie co sto dwadzieścia stopni. W każdych innych okolicznościach uznałby całą tę koncepcję za wspaniały architektoniczny *tour de forte*.

Rampy dochodziły do samej wody i znikały pod jej złowieszczą powierzchnią. Przy zwierciadle wody Jimmy zobaczył kilka czarnych tuneli czy też jaskiń wyglądających dosyć groźnie. Zastanowił się, czy są zamieszkane. Może Ramianie to istoty ziemnowodne?

Kiedy krab podszedł do krawędzi studni, Jimmy myślał, że zacznie on schodzić jedną z tych ramp, może niosąc szczątki Ważki do jakiejś istoty, która potrafi je oszacować. Ale krab stanął na krawędzi bez żadnych oznak wahania, chociaż stąpnięcie o parę centymetrów za daleko byłoby katastrofalne, nachylił się nad przepaścią i otrząsnął się. Szczątki Ważki trzepocząc zleciały w głębinę. Jimmy patrzył ze łzami w oczach. Oto — pomyślał gorzko inteligencja tego stworu!

Po takim pozbyciu się odpadków krab odwrócił się i ruszył ku Jimmy'emu, stojącemu w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Czy mnie potraktuje tak samo? — zastanowił się Jimmy. Miał nadzieję, że kamera nie drży zanadto w jego rękach, kiedy pokazywał Kontroli na Piaście szybkie zbliżanie się potwora.

— Co doradzacie? — szepnął z niepokojem, nie bardzo licząc na pomocną odpowiedź.

Trochę pocieszała go myśl, że przecież wkracza do Historii. Naprędce przypomniał sobie rozmaite wzory spotkań z istotami z dalekiego wszechświata. Dotychczas wszystkie były czysto teoretyczne. On będzie pierwszym człowiekiem, który się przekona, jaki obrót może to przyjąć w praktyce.

— Nie uciekaj, dopóki nie stwierdzisz, że to stworzenie jest wrogie — usłyszał szept z Kontroli na Piaście.

Ale dokąd uciekać? — zadał sobie pytanie. Chyba prześcignąłby tego kraba w biegu na sto metrów, miał jednak niemiłą pewność, że na dłuższy dystans dałby się pokonać.

Powoli uniósł wyprostowane ręce. Od dwustu lat ludzie dyskutują nad tym gestem: czy każde stworzenie wszędzie we wszechświecie zrozumie owo: "Widzisz, nie mam broni"? No, ale nikt jeszcze nie wymyślił nic lepszego.

Stwór nie zareagował ani nie zwolnił kroku. Zupełnie zignorował Jimmy'ego, gdy go mijał w swej wyraźnie celowej wędrówce na południe. Czując się bardzo głupio, przedstawiciel gatunku *Homo sapiens* patrzył, jak jego Pierwszy Kontakt odchodzi po ramiańskiej równinie zupełnie obojętnie, czyli po prostu go lekceważy.

Niewiele razy w życiu Jimmy czuł się tak upokorzony. Potem jednak wzięło górę poczucie humoru. Ostatecznie żadna tragedia, że zlekceważyła człowieka automatyczna ciężarówka do wywozu śmieci. Byłoby znacznie gorzej, gdyby ta ciężarówka powitała go jak dawno zaginionego brata…

Podszedł z powrotem do krawędzi Kopernika i popatrzył w dół, na tę mętną wodę. Dopiero teraz zauważył pod jej powierzchnią sunące powoli tam i z powrotem jakieś nieokreślone kształty — niektóre z nich nawet spore. Jeden skierował się ku najbliższej spiralnej rampie i coś, co wyglądało jak czołg na wielu nogach, rozpoczęło długą wędrówkę w górę. W tym tempie — pomyślał Jimmy dojdzie tu nie prędzej niż za godzinę; jeżeli stanowi niebezpieczeństwo, to w każdym razie nierychliwe.

Potem zauważył miganie znacznie szybszego ruchu w pobliżu owych jaskiń przy samej linii wody. Coś posuwało się bardzo szybko po rampie, ale nie mógł na tym skupić wzroku ani dopatrzyć się w tym czegokolwiek określonego: zupełnie jakby zobaczył małą trąbę powietrzną albo słup kurzu wielkości mniej więcej człowieka…

Zamrugał i potrząsnął głową, przymykając oczy. Gdy po kilku sekundach znów tam spojrzał, widziadła już nie było.

Może to jego lądowanie wywołało większy wstrząs, niż przypuszczał: nigdy dotąd nie miewał halucynacji. Postanowił nie zwierzać się z tego Kontroli na Piaście.

Ani też nie miał zamiaru badać ramp, chociaż początkowo zamierzał to zrobić. Tylko by stracił energię zgoła zbytecznie.

Wirująca zjawa, którą z pewnością sobie uroił, nie miała z tą jego decyzją nic wspólnego.

Absolutnie nic, bo oczywiście Jimmy nie wierzył w duchy.

30. Kwiat

Jimmy po tak wielkich wysiłkach miał pragnienie, więc pił, chociaż dobrze wiedział, że na całym tym lądzie nie ma wody nadającej się do picia. Zawartość manierki mogłaby prawdopodobnie wystarczyć na tydzień, pomagając przetrwać — ale po co? Problemem ratowania go wkrótce się zajmą najtęższe mózgi na Ziemi. Kapitan Norton będzie miał uszy pełne dobrych rad. Cóż, kiedy nie można sobie wyobrazić zejścia z półkilometrowej wysokości południowego urwiska. Nawet gdyby znalazła się lina dostatecznie długa, nie byłoby o co jej zaczepić.

Nie, nie, to głupie i nie przystoi mężczyźnie — poddać się bez walki. Wszelka pomoc może nadejść tylko z morza, więc trzeba tam pójść, a idąc wypełniać dalej swoje zada nie, tak jakby nic się nie stało. Nikt już nigdy nie będzie mógł oglądać i fotografować tych zróżnicowanych terenów i takie osiągnięcie przecież zagwarantuje Jimmy'emu pośmiertną nieśmiertelność. Jakkolwiek wolałby honory innego rodzaju, ostatecznie lepszy taki zaszczyt niż żaden.

Od morza dzieliły go zaledwie trzy kilometry, gdyby leciał swoją biedną Ważką, ale zdany tylko na własne siły nie mógłby przebyć tej drogi w prostej linii. Część terenu z pewnością była nie do przebycia. Nie martwiło go to, ponieważ tras nad morze nie brakowało. Widział je wszystkie na tej wielkiej zaokrąglonej mapie, która go otaczała wznosząc się po obu jego stronach.

Czasu miał mnóstwo, więc postanowił wędrować przez okolice. gdzie krajobraz jest najciekawszy, choćby musiał nakładać drogi. Mniej więcej o kilometr na prawo zobaczył kwadrat rozmigotany jak rżnięte szkło czy też olbrzymia jakaś wystawa klejnotów. Prawdopodobnie to drugie porównanie sprawiło, że przyspieszył kroku. Nawet skazańca może przelotnie ożywić myśl o kilku tysiącach metrów kwadratowych drogocenności.

Nie poczuł się szczególnie rozczarowany, gdy stwierdził, że owe klejnoty to kryształki kwarcu, miliony ich osadzone w piasku. Natychmiast zainteresował się sąsiednim kwadratem szachownicy, gdzie rozstawione gęsto, jak gdyby bez żadnego planu. sterczały puste w środku metalowe kolumny o wysokości od jednego do sześciu prawie metrów. Nie było przejścia w tej kolumnadzie: tylko czołgiem dałoby się przejechać przez taką gęstwinę rur.

Idąc pomiędzy kwadratem kryształków i kwadratem kolumn dotarł do pierwszego skrzyżowania. Z prawej strony ujrzał ogromny, też kwadratowy dywan czy kilim utkany z drutu. Spróbował oderwać kawałek drucianej przędzy, ale bez skutku. Z lewej strony znajdowała się mozaika z sześciokątnych płytek — inkrustacja tak gładka, że

nigdzie nie dojrzał śladu złączeń. Ta powierzchnia wydawałaby się jednolita, gdyby nie fakt, że kafle mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Przez wiele minut usiłował wypatrzyć dwa sąsiadujące z sobą kwadraty jednakowej barwy, żeby sprawdzić, czy wtedy zdoła dociec, jak są połączone, ale nie znalazł żadnego takiego układu.

Przekazał Kontroli na Piaście panoramiczne ujęcie skrzyżowania i niepewnym głosem zapytał:

— Jak myślicie, co to jest? Czuję się, jakbym chodził po fragmentach olbrzymiej łamigłówki. Czy może to ramiańska galeria sztuk?

— Tak samo nie wiemy jak ty, Jimmy. Ale na razie nic nie świadczy, żeby Ramianie przejawiali zapędy artystyczne. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, zaczekajmy, aż będzie trochę więcej dowodów.

Dwa przykłady, na które natknął się przy następnym skrzyżowaniu, niewiele mu pomogły. Były to kwadraty zupełnie różne: jeden o barwie naturalnej szarej, prawie nijakiej, twardy, ale śliski pod dotknięciem, drugi miękki, gąbczasty, z miliardami maleńkich otworków. Stąpnął na tę gąbkę i aż mdło mu się zrobiło, gdy zafalowała jak dopiero co naniesione ruchome piaski.

Przy następnym skrzyżowaniu zobaczył kwadrat uderzająco podobny do zaoranego pola — tyle że wszystkie bruzdy miały równą głębokość jednego metra, szorstkie jak pilniki *czy* raszple. Ale nie to przykuło jego uwagę, tylko kwadrat sąsiedni, najbardziej zastanawiający ze wszystkich, jakie dotychczas widział. W końcu coś tutaj mógł zrozumieć — zresztą ku swemu zaniepokojeniu.

Cały ten kwadrat otaczało ogrodzenie tak zwyczajne, że po raz drugi nie spojrzałby na nie, gdyby je zobaczył na Ziemi. W odstępach pięciometrowych stały słupy chyba z metalu, podtrzymujące sześć przeciągniętych między nimi drutów. Za tym ogrodzeniem było identyczne drugie, a za drugim trzecie. Jeszcze jeden typowy przykład redundancji w Ramie: cokolwiek by się znajdowało w tym zamknięciu, o wydostaniu się stamtąd nie mogło być mowy. Nigdzie nie zobaczył wrót, które by się rozwierały, żeby wpuścić owe zwierzę czy też wiele zwierząt, które zapewne tam trzymano. Tylko pośrodku tego kwadratu zobaczył otwór, podobny do krateru Kopernik, tyle że mniejszy.

Nawet w innych okolicznościach prawdopodobnie nie wahałby się, a teraz nie miał przecież nic do stracenia. Szybko wspiął się na druty pierwsze, drugie i trzecie, podszedł do otworu i zajrzał w głąb.

Płytsza niż Kopernik, ta studnia miała tylko pięćdziesiąt metrów głębokości. Na suchym dnie zobaczył wyloty trzech tuneli, duże jak dla słoni. I nic więcej.

Długo tam patrząc uznał, że podłoga w tym szybie może być

jedynie windą; innego sensownego wytłumaczenia nie ma. Ale co ta winda przewozi, prawdopodobnie nigdy nie będzie wiadomo. Można tylko zgadywać, że ,coś dosyć dużego i chyba niebezpiecznego.

W ciągu następnych kilku godzin przeszedł ponad dziesięć kilometrów wzdłuż brzegu morza i kwadraty szachownic już mu się zaczęły zamazywać w pamięci. Niektóre pod siatką drucianą wyglądały jak olbrzymie klatki dla ptaków. Inne wydawały się basenami napełnionymi jakąś cieczą zsiadłą i zbełtaną, a jednak, gdy je ostrożnie sprawdzał, stwierdzał, że to jest substancja stała. Natrafił też na kwadrat smoliście czarny, aż nie mógł tam zobaczyć nic i tylko zmysłem dotyku rozpoznał, że to nie jest sama ciemność.

A przecież teraz nastąpiło jakieś delikatne przejście w coś, czego nie mógł zrozumieć. Szeregiem na południe rozciągały się jedno za drugim — żadne inne określenie by tu nie pasowało — pola. Równie dobrze mógłby tak przechodzić obok jakiejś eksperymentalnej farmy na Ziemi: kwadraty były połaciami staranie wyrównanej gleby tego nigdy jeszcze nie widział wśród metalowych krajobrazów Ramy.

Pola uprawne, ale dziewicze, bez życia, czekające na plony zboża, którego nigdy nie zasiano. Jimmy zastanowił się, jaki jest ich cel; stanowczo odrzucał możliwość, żeby stworzenia na tak wysokim szczeblu rozwoju jak Ramianie zajmowały się jakąkolwiek formą rolnictwa. Nawet na Ziemi gospodarka rolna była już tylko ulubionym hobby bądź snobizmem nakazującego zaopatrywać się w żywność egzotyczną, bardzo luksusową. Ale gotów był przysiąc: to są pola — czekające na ziarno, bezbłędnie przygotowane. Dotychczas nie wiedział, że gleba może być tak czysta: każdy kwadrat pokrywała wielka płachta z twardego przezroczystego plastyku. Spróbował przeciąć ten plastyk, żeby wziąć próbkę gleby, ale zdołał ledwie zadrapać nożem jego powierzchnię.

Dalej w głębi lądu ciągnęły się inne pola; na wielu z nich stały skomplikowane konstrukcje z prętów i drutów, przypuszczalnie do podpierania pnączy. Wyglądały ponuro i bezbarwnie jak bezlistne drzewa w środku zimy. Ta zima, którą one znały, musiała być rzeczywiście długa i straszna, a teraz kilka tygodni ciepłego blasku może miało być

jedynie interludium przed jej rychłym powrotem.

Nie wiedząc dlaczego, nagle zatrzymał się, żeby spojrzeć uważniej na ten metalowy labirynt. Najwidoczniej machinalnie chłonął wszystkie szczegóły wokół siebie i raptem, też machinalnie, dostrzegł w fantastycznie obcym krajobrazie coś jeszcze bardziej fantastycznego.

Pośrodku jednego z okratowań z drutu i prętów jaśniała oddalona może o ćwierć kilometra kolorowa plamka. Mała i niepokaźna, wcale nie rzucała się w oczy; na Ziemi nikt nie zwróciłby na nią uwagi. A przecież niewątpliwie zauważył ją tutaj właśnie dlatego, że

przypominała mu Ziemię…

Nie zameldował o tym Kontroli na Piaście, dopóki nie upewnił się, że to nie pomyłka i nie złuda, wywołana samym pobożnym życzeniem. Dopiero gdy podszedł na odległość kilku metrów, wiedział niezbicie, że to wtargnęło w jałowy, aseptyczny świat Ramy nieproszone. Otóż u skraju ramiańskiego lądu południowego rozkwitał swoją samotną wspaniałością kwiat.

Gdy podszedł jeszcze bliżej, zobaczył, że coś tu jest nie tak, jak być powinno. W plastykowej płachcie, przypuszczalnie chroniącej warstwę gleby przed zanieczyszczeniem ze strony jakichś niepożądanych form życia, widniała dziura. Z rozdarcia sterczała zielona łodyga grubości ludzkiego małego palca, pnąca się w górę po kracie. Na wysokości metra od gruntu wybuchała pękiem rozwiniętych sinych liści, mających bardziej kształt piór niż liście jakiejkolwiek znanej Jimmy'emu rośliny. Na poziomie jego oczu kończyła się czymś, co zrazu można by uznać za pojedynczy kwiat. Teraz jednak stwierdził bez zdziwienia, że są to trzy kwiaty, jeden przy drugim.

Płatki, a raczej jaskrawe rurki długości około pięciu centymetrów — co najmniej po pięćdziesiąt ich w każdym z tych kwiatów — lśniły takim metalicznym błękitem, fioletem i zielenią, że wydawały się raczej skrzydłami motyla niż czymkolwiek z królestwa roślin. Jimmy, który właściwie pojęcia nie miał o botanice, zdumiał się, że brak tu bodaj śladu cech normalnych kwietnych płatków bądź pręcików. Może podobieństwo do ziemskich kwiatów jest tylko przypadkowe? Może to coś bardziej zbliżonego do koralowca? W każdym razie chyba z tego wynika, że istnieją w Ramie jakieś stworzonka sprowadzone drogą powietrzną, żeby służyć jako czynniki użyźniające albo jako pożywienie.

Nieważne zresztą. Cokolwiek powiedzieliby o tym naukowcy, dla Jimmy'ego to był kwiat. Dziwne, zgoła nie w stylu ramiańskim cudo, kwitnące sobie wśród metalowej martwoty, przypominało mu o wszystkim, czego nie miał zobaczyć już nigdy. Zapragnął więc ten kwiat zerwać.

Nie była to taka prosta sprawa. Dzieliła go od kwiatu odległość ponad dziesięciu metrów i kratka z cienkich pręcików, które układały się w sześciany o czterdziestocentymetrowych bokach. Jimmy jednak nie latałby na rowerach powietrznych, gdyby nie był smukły, giętki. Wiedział, że jakoś przeciśnie się przez te odstępy w kracie. Ale powrót stamtąd będzie o wiele trudniejszy — za ciasno, żeby się odwrócić, trzeba by wycofać się tyłem.

Kontrola na Piaście wyraziła zachwyt wobec jego odkrycia, gdy już je opisał i sfotografował z każdej strony. Bez żadnego sprzeciwu przyjęto jego decyzję:

— Idę po ten kwiat.

Zresztą sprzeciwów wcale się nie spodziewał; mógł robić ze swoim życiem, co tylko chciał, bo teraz było jego wyłączną własnością.

Rozebrał się do naga, chwycił za te gładkie metalowe pręty i zaczął się wczołgiwać w okratowanie. Ciasno diabelnie: czuł się jak więzień uciekający przez okienko celi. Wreszcie wcisnął się cały i zanim ruszył dalej, spróbował dla sprawdzenia wycofać się z powrotem. Szło mu to znacznie gorzej, bo musiał teraz inaczej naprężać ręce, żeby się odpychać, a nie wciągać, ale i tak nie było obawy, że zostanie bezradny w tej pułapce.

Z natury czynny i impulsywny, nigdy nie bawił się w rozmyślania. Toteż gdy wił się mozolnie przez wąski korytarz z prętów, nie tracił czasu na roztrząsanie pobudek swojej donkiszoterii. Dotychczas kwiaty w ogóle mogły dla niego nie istnieć, a tu nagle marnuje resztki energii, żeby zerwać kwiat.

Istotnie to był okaz niezwykły, przedstawiający nieoszacowaną wartość naukową. Ale on chciał zerwać ten kwiat tylko dlatego, że to było ostatnie ogniwo łączące go ze światem życia i z planetą, na której się urodził.

Gdy już miał kwiat przed sobą, opadły go skrupuły. Może to jedyny kwiat w całej Ramie: czy zerwanie go dałoby się usprawiedliwić?

Gdyby Jimmy potrzebował pretekstu, mógłby się pocieszać myślą, że sami Ramianie nie włączyli kwiatów do swoich planów. Ta roślina, najwidoczniej fenomen tutaj, wyrosła o całe stulecia za późno — czy też za wcześnie. Ale tak naprawdę Jimmy pretekstu nie potrzebował. Wahał się tylko chwilę. Sięgnął, chwycił łodygę i mocno szarpnął.

Zerwał kwiat bez trudu razem z łodygą i dwoma liśćmi, po czym zaczął powoli wyczołgiwać się przez okratowanie. Teraz, mając jedną rękę zajętą, wracać tyłem było bardzo trudno, wkrótce więc musiał odpocząć, żeby nabrać tchu. Właśnie wtedy zauważył, że pierzaste liście na łodydze stulają się i roślina w gruncie, już bez kwiatu, powoli odwija się od swojej podpory. Gdy patrzył zafascynowany i przerażony jednocześnie, cała wsunęła się w glebę jak wąż śmiertelnie ranny, wpełzający z powrotem do gniazda.

Zamordowałem coś pięknego — powiedział sobie Jimmy. — No, ale Rama przecież mnie zabija. Wziąłem tylko to. co mi się prawowicie należy.

31. Prędkość końcowa

Kapitan Norton, który jeszcze nigdy nie utracił nikogo z załogi, nie miał zamiaru utracić nikogo teraz. Jeszcze przed wyruszeniem Jimmy'ego na biegun południowy rozważał ewentualną akcję ratunkową; ten problem jednak okazał się zbyt trudny. Norton zdołał zrobić tylko tyle, że wykluczył wszystkie rozwiązania oczywiste.

Jak wspiąć się na pionowe urwisko o wysokości pół kilometra? Z właściwym ekwipunkiem — i po przeszkoleniu — to dosyć łatwe. Cóż, kiedy na pokładzie Śmiałka nie było hakownicy, a nikomu jak dotąd nie przyszedł do głowy żaden inny praktyczny sposób wbijania koniecznych setek haków w twardą, gładką ścianę.

Pokrótce rozpatrzył rozwiązania dziwaczniejsze, nawet wyraźnie wariackie. Może by mogła tam wejść któraś z małp wyposażona w przyssawki? Ale choćby ten plan był wykonalny, ile trzeba by czasu, żeby wyprodukować i sprawdzić owe wyposażenie, a potem odpowiednio przeszkolić małpę? Bo człowiekowi chyba by zabrakło siły na dokonanie takiego wyczynu.

Później sięgnął do technologii bardziej nowoczesnej. Kusiły go zespoły osobistego napędu odrzutowego, ale to był napęd za słaby, ponieważ zaprojektowano je do pracy w stanie nieważkości. W żadnym wypadku nie udźwignęłyby ciężaru człowieka nawet przy skromnym przyciąganiu Ramy.

Czy można wysłać tak wysoko sam silnik odrzutowy zdalnie sterowany, niosący tylko linę ratunkową? Spróbował zainteresować tym sierżanta Myrona, który raz dwa udzielił odpowiedzi odmownej. Są — wykazał ten inżynier poważne trudności, jeśli chodzi o stabilność: dałoby się je pokonać, ale nieprędko, a czas przecież nagli.

Więc może balony? To wydawało się raczej wykonalne skombinować jakąś powłokę i dostatecznie małe źródło ciepła. Tego właśnie jedynego pomysłu Norton nie odrzucił, gdy problem nagle przestał być teoretyczny i stał się kwestią życia i śmierci, wysuniętą na pierwsze miejsce w każdym dzienniku telewizyjnym na wszystkich zaludnionych planetach.

W czasie gdy Jimmy wędrował wzdłuż krawędzi Morza Cylindrycznego, wielu szalonych wynalazców w Układzie Słonecznym próbowało go ratować. W Kwaterze Głównej Floty Kosmicznej rozpatrywano każdą propozycję i mniej więcej jedną na tysiąc przekazywano kapitanowi Śmiałka. Doktor Carlisle Perera pojawił się dwukrotnie — raz korzystając z bezpośredniego kanału kontroli kosmicznej i raz za pośrednictwem TELEKOSMOSU Z PIERWSZEŃSTWEM DO RAMY. Rozwiązanie przedstawione przez tego uczonego zabrało jemu niecałe pięć minut, a komputerowi jedną

tysięczną sekundy.

Z początku Norton myślał, że to żart w bardzo kiepskim guście. Kiedy jednak zobaczył nazwisko nadawcy i załączone obliczenia, szybko zmienił pogląd.

Wręczył tę wiadomość Karlowi Mercerowi.

— Co o tym sądzisz? — zapytał tak obojętnie, jak tylko zdołał.

Karl przeczytał to szybko, po czym odpowiedział:

— No, niech mnie diabli! On ma rację, rzecz jasna.

— Jesteś tego pewny?

— Miał rację co do burzy, prawda? Że też nam to na myśl nie przyszło: czuję się teraz jak głupiec.

— Nie ty jeden. Następne zagadnienie: jak myto powiemy Jimmy'emu?

— Chyba nie musimy… aż do ostatniej chwili. Przynajmniej ja na jego miejscu wolałbym nie wiedzieć. Tylko mu powiedz, że już do niego wyruszamy.

Jimmy Pak, chociaż widział całą szerokość Morza Cylindrycznego i orientował się, z której strony Decyzja płynie mu na ratunek, wypatrzył maleńką tratwę dopiero wtedy, gdy minęła Nowy Jork. Wprost nie mógł uwierzyć, że mieści się na niej sześć osób i cały sprzęt ratowniczy, jaki zabrali z myślą o nim.

Gdy byli w odległości już tylko kilometra od podnóża urwiska, rozpoznał kapitana Nortona i zaczął machać rękami. Po chwili dowódca zobaczył go i pomachał ręką w odpowiedzi.

— Cieszę się, że cię widzę w dobrej formie, Jimmy -powiedział przez radio. — Przyrzekłem, że ciebie nie zostawimy. Teraz już mi wierzysz?

Niezupełnie — pomyślał Jimmy. Dopóki nie zobaczył Decyzji, podejrzewał, że to wszystko jest intrygą uknutą z dobroci serca, żeby podtrzymać go na duchu. Ale kapitan chyba nie przeprawiałby się przez Morze tylko po to, by się z nim pożegnać; najwidoczniej coś obmyślił.

— Uwierzę, kapitanie, kiedy znajdę się na pokładzie. Powiedzcie mi, jak ja mam to zrobić?

Decyzja płynęła teraz wolniej w odległości stu metrów od podnóża urwiska. Jimmy nie widział na niej żadnego nadzwyczajnego wyposażenia — chociaż nie był pewny, co spodziewał się zobaczyć.

— Przykro mi z tego powodu, Jimmy, ale nie chcieliśmy, żebyś denerwował się zawczasu.

To brzmiało złowieszczo: co, do diabła, kapitan chciał przez to powiedzieć?

W odległości pięćdziesięciu metrów od podnóża urwiska Decyzja zatrzymała się i Jimmy na wysokości pięciuset metrów patrzył teraz

jak z lotu ptaka. Kapitan mówił do mikrofonu:

— W tym właśnie rzecz, Jimmy. Nic ci się nie stanie, ale to będzie wymagało odwagi. Wiemy, że odwagi masz mnóstwo. Skoczysz.

— Z wysokości pół kilometra!

— Tak, ale tylko przy połowie przyciągania:

— Więc… Czy pan, kapitanie, spadł kiedyś z wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów na Ziemi?

— Zamknij się, bo ci skreślę następny urlop. Sam już dawno powinieneś wpaść na ten pomysł. To jest tylko kwestia prędkości końcowej. W tutejszej atmosferze nie będzie to więcej niż dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, czy się spada z wysokości dwustu, czy dwóch tysięcy metrów. Dziewięćdziesiąt to dosyć dużo, ale można zmniejszyć trochę, przyhamować. To właśnie masz zrobić, więc posłuchaj uważnie…

— Posłucham — powiedział Jimmy. — I niech tylko to się skończy dobrze.

Nie przerywał już dowódcy ani razu i nie komentował, gdy Norton skończył mówić. Owszem, to niegłupie, a tak śmiesznie proste, że doprawdy, żeby wpaść na to, trzeba być geniuszem. I chyba kimś, kto jest daleki od znalezienia się w podobnej sytuacji…

Jimmy nigdy nie był nurkiem głębinowym ani nie próbował skakać z opóźnionym otwieraniem spadochronu, co by mu zapewne dało jakieś psychiczne przygotowanie do takiego wyczynu. Człowiek, choćby mu się mówiło, że zupełnie bezpiecznie przejdzie po kładce nad przepaścią, bo obliczenia wytrzymałościowe są bezbłędne, może po prostu nie być do przejścia jej zdolny. Teraz Jimmy zrozumiał, dlaczego dowódca tak wymijająco mówił przedtem o szczegółach akcji ratunkowej. Chodziło o to, by nie miał czasu na ponure refleksje i wymyślanie kontrargumentów.

— Nie ponaglam cię — powiedział Norton przekonywająco z głębokości pół kilometra pod nim — ale im wcześniej to zrobisz, tym lepiej.

Jimmy spojrzał na swoją cenną pamiątkę, jedyny kwiat w Ramie. Pieczołowicie owinął go brudną chustką do nosa, zawiązał ją i rzucił z urwiska w dół.

Zawiniątko trzepotało zlatując uspokajająco powoli, ale też i bardzo długo, coraz mniejsze i mniejsze i mniejsze, aż zupełnie zniknęło mu z oczu. Zaraz potem Decyzja podpłynęła pod urwisko i wtedy wiedział, że znaleziono na wodzie jego przesyłkę.

— Piękny! — wykrzyknął dowódca z entuzjazmem. Jestem pewny, że nazwą ten kwiat twoim nazwiskiem. Dobrze. Czekamy…

Jimmy zdjął koszulę — kurtek nie nosili w tym tropikalnym klimacie Ramy — i rozłożył ją starannie. Kilkakrotnie w czasie wędrówki omal jej nie wyrzucił; teraz mogła się przyczynić do

ocalenia.

Po raz ostatni obejrzał się na wklęsły świat nie penetrowany przez nikogo poza nim i na dalekie złowieszcze wieżyczki Wielkiego Rogu i Małych Rogów. Potem, ujmując koszulę mocno prawą dłonią, skoczył z urwiska tak daleko, jak tylko zdołał.

Teraz nie było szczególnego pośpiechu: miał pełne dwadzieścia sekund, żeby cieszyć się tym przeżyciem. Ale gdy spostrzegł, że wiatr wzmaga się wokół niego, a Decyzja wolno powiększa się w jego polu widzenia, już nie marnował czasu. Trzymając koszulę oburącz, rozciągnął ręce tak, że pęd powietrza dmuchał w nią nad jego głową i wypełniał ją jak pustą rurę.

Spadochronem koszula była raczej kiepskim; chociaż zmniejszała o kilka kilometrów na godzinę jego prędkość, nie sprawiało to zasadniczej różnicy. Odgrywała rolę znacznie ważniejszą — utrzymywała go w pozycji pionowej; miał lecieć w morze wyprostowany.

Wciąż jeszcze miał wrażenie, że wcale nie opada i że to tylko woda w dole błyskawicznie podnosi się ku niemu. Teraz, w powietrzu, wcale się nie lękał. Co więcej, był oburzony na dowódcę, który tak oszczędzał jego nerwy. Czy kapitan Norton rzeczywiście myśli, że on by się bał skoczyć, gdyby przedtem zastanawiał się nad tym dłużej?

W ostatniej chwili puścił koszulę, zaczerpnął tchu i obiema dłońmi zasłonił sobie nos i usta. W myśl zalecenia dowódcy wyprostował się, sztywno zwierając stopy. Miał wpaść do wody prosto jak rzucona włócznia.

— To będzie zupełnie tak -zapewnił go Norton-jakbyś skoczył do basenu z trampoliny na Ziemi. Nic strasznego, jeżeli nie skrewisz.

— A jeśli skrewię? — zapytał dowódcy.

— Będziesz musiał wrócić na górę i spróbować jeszcze raz.

Coś trzepnęło go po stopach — mocno, ale nie boleśnie. Milion cienkich rąk rozrywało mu skórę, ryki w uszach rozsadzały czaszkę — to wzrastało ciśnienie. Chociaż powieki miał zaciśnięte, widział tę ciemność, gdy wpadał w głębinę Morza Cylindrycznego.

Wytężył siły i zaczął płynąć pod górę ku nikłej jasności. Mógł otworzyć oczy na jedno tylko mgnienie: trująca woda podziałała jak kwas, gdy otworzył je szerzej. Wydawało mu się, że walczy z tą wodą już od wieków, i chwilami drętwiał, zdjęty koszmarnym lękiem, że zatracił orientację i naprawdę płynie w dół, nie w górę. W takich sekundach ryzykował, znów zerkał spod przymrużonych powiek — stawało się coraz jaśniej.

Z oczami kurczowo zamkniętymi wypłynął na powierzchnię morza. Zachłysnął się haustem świeżego powietrza, obrócił się na wznak, otworzył oczy i popatrzył wokoło.

Decyzja z największą prędkością już płynęła ku niemu, w ciągu

sekund skwapliwe ręce chwyciły go i wciągnęły na tratwę.

— Nałykałeś się wody? — zapytał niespokojnie kapitan Norton.

— Myślę, że nie.

— W każdym razie wypłucz tym usta. Doskonale. Jak się czujesz?

— A bo ja wiem? Będę wiedział za minutę. Och… dziękuję wam wszystkim.

Nie minęła minuta, gdy Jimmy rzeczywiście już wiedział.

— Zwymiotuję — wyznał bardzo smętnie.

Ratownicy patrzyli z niedowierzaniem.

— Na tym spokojnym martwym morzu, zupełnie bez fal? — zaprotestowała sierżant Ruby Barnes. Najwyraźniej uważała, że Jimmy swoim samopoczuciem kwestionuje jej umiejętności żeglarskie.

— Ja bym nie powiedział, że bez fal. — Dowódca szerokim machnięciem ręki wskazał obręcz wody na niebie. Ale nie wstydź się, Jimmy, widać połknąłeś trochę tego paskudztwa. Pozbądź się go jak najszybciej.

Jimmy jeszcze wysilał się daremnie i zgoła nie bohatersko, gdy nagły błysk rozdarł niebo za nimi. Wszyscy spojrzeli w stronę bieguna południowego. Jimmy natychmiast zapomniał o mdłościach. Rogi zaczęły znów się popisywać fajerwerkami.

Długie na kilometr serpentyny ognia pląsając sięgały ze środkowego kolca do mniejszych. Jeszcze raz zaprezentowały swoje wspaniałe wirowanie; jak gdyby niewidzialni tancerze rozwijali wstęgi wokół ozdobnego elektrycznego słupa, obracały się coraz szybciej, aż to był jeden wielki błyskający stożek światłości.

To widowisko wzbudziło większą cześć i grozę niż każde inne, które dotychczas widzieli w Ramie, tym bardziej że dudnienie nadawało temu wrażeniu dziwnie przytłaczającą moc. A przecież w niecałe pięć minut wszystko ustało raptownie, jakby ktoś przekręcił kontakt elektryczny.

— Chciałbym wiedzieć, czym to wytłumaczy Komitet do Spraw Ramy — mruknął Norton. — Może ktoś z was wysunie jakąś teorię?

Nikt nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej samej chwili odezwała się wielce podniecona Kontrola na Piaście.

— Decyzja! Wszystko w porządku? Odczuliście?

— Co odczuliśmy?

— Sądzimy, że to było trzęsienie Ramy…, akurat w momencie, kiedy fajerwerk się skończył.

— Są jakieś szkody?

— Chyba nie ma. Nie było zbyt gwałtowne… trochę jednak nami potrzęsło.

— Myśmy nawet nie wiedzieli. Ale i tak byśmy nie odczuli tutaj na morzu.

— Oczywiście, głupio, że o tym nie pomyśleliśmy. W każdym

razie wydaje się, że teraz wszędzie jest spokój… do następnego razu.

— Tak, do następnego razu — powtórzył Norton. Tajemnica Ramy ciągle się pogłębiała: im więcej odkrywali, tym mniej rozumieli.

Nagle od steru doleciał okrzyk:

— Kapitanie, patrz… tam na niebie!

Norton podniósł oczy i szybko rozejrzał się po obwodzie morza. Nie zobaczył nic, dopóki nie powiódł wzrokiem prawie do zenitu i nie zobaczył drugiej połowy Ramy.

— Boże — wyszeptał, powoli zdając sobie sprawę, że ten “następny raz” już nadchodzi.

Wielka fala pędziła ku nim wieczystą krzywizną Morza Cylindrycznego.

32. Fala

A przecież nawet w owej chwili wstrząsu Norton przede wszystkim zatroszczył się o swój statek.

— Śmiałek! — zawołał. — Zameldować o sytuacji!

— W porządku, kapitanie — doleciała uspokajająca odpowiedź zastępcy. — Czuliśmy lekkie drżenie, ale nic takiego, co by mogło spowodować szkody. Jest niewielka zmiana położenia, mostek podał… o dwie dziesiąte stopnia. Ich zdaniem prędkość wirowania Ramy też się trochę zmieniła. Dokładny odczyt będziemy mieli za parę minut.

A więc to już — pomyślał Norton. — Znacznie wcześniej niż przewidywaliśmy: jesteśmy jeszcze daleko od peryhelium i od momentu, w którym logicznie można przejść na

inną orbitę. Ale niewątpliwie nastąpiła jakaś korekta trajektorii lotu… i mogą być dalsze wstrząsy.

Tymczasem skutki pierwszego trzęsienia były aż zanadto widoczne na zaokrąglonej powierzchni wody, pozornie spływającej wciąż z nieba. Fala w odległości jeszcze dziesięciu kilometrów od nich rozciągała się na całą szerokość morza od brzegu północnego do południowego. Przy brzegach tworzyła pieniste ściany bieli, ale pośrodku, gdzie pędziła o wiele szybciej niż jej flanki z bałwanami, wyglądała jak niezbyt wyraźna niebieska krecha. Opór przybrzeżnych mielizn wyginał ją w łuk, którego część środkowa wysuwała się coraz bardziej naprzód.

— Sierżancie — rzekł Norton pospiesznie. — To jest twoja dziedzina. Co możemy zrobić?

Sierżant Ruby Barnes zatrzymała tratwę i ze skupieniem zaczęła badać sytuację. Wyraz jej twarzy, jak Norton stwierdził z ulgą, nie świadczył o niepokoju: to było raczej przyjemne podniecenie zawodnika przyjmującego wyzwanie.

— Chciałabym mieć wyniki sondowania — powiedziała. Jeżeli jesteśmy na głębokiej wodzie, nie ma czym się denerwować.

— Więc nic nam się nie stanie? Do brzegu jeszcze cztery kilometry.

— Mam nadzieję, że nic, ale chcę wiedzieć.

Znów włączyła silnik i skierowała Decyzję prosto ku zbliżającej się fali. Norton osądził, że ta szybsza środkowa część łuku dosięgnie ich najpóźniej za pięć minut, ale tak samo jak Ruby wiedział, że to nie stanowi poważnego niebezpieczeństwa. To tylko pędzące wybrzuszenie o wysokości zaledwie metra, które może nawet nie zakołysze tratwą. Natomiast flanki, sunące daleko w tyle, są rzeczywiście groźne.

Nagle na samym środku tej mniejszej fali zapieniły się bałwany.

Fala najwidoczniej uderzyła w jakąś parokilometrową zaporę znajdującą się tuż pod powierzchnią wody. Jednocześnie bałwany obu flank opadły, przetaczając się na pełne morze.

Łamacze fal, pomyślał Norton. Takie same jak w zbiornikach paliwa na Śmiałku, tylko na tysiąckrotnie większą skalę. Z pewnością tu na dnie morza istnieje jakiś system, żeby stłumić każdą wezbraną falę jak najszybciej. Jedyna ważna teraz kwestia, to czy jesteśmy nad jednym z elementów tego systemu?

Sierżant Barnes okazała się bystrzejsza od niego. Zatrzymała Decyzję. Kotwica uderzyła w dno na głębokości zaledwie pięciu metrów.

— Wyciągnąć ją! — zawołała sierżant Barnes do swojej załogi. — Musimy stąd uciekać!

Norton serdecznie przyznał sierżantowi Barnes rację: uciekać — ale w którą stronę? Ruby znów z maksymalną szybkością prowadziła Decyzję ku fali, oddalonej już tylko o pięć kilometrów. Dopiero teraz Norton usłyszał ten ryk — daleki, niewątpliwy ryk, jakiego nigdy nie spodziewał się usłyszeć w Ramie. Po chwili natężenie odgłosu zmieniło się: środkowa część fali opadła, boki podniosły się znowu.

Spróbował wyliczyć odległość między podwodnymi przegrodami, zakładając, że są rozmieszczone w równych odstępach. Jeśli się nie myli, powinna być jeszcze jedna przed nim; byle pomiędzy przegrodami ustawić tratwę na głębokiej wodzie, będą zupełnie bezpieczni.

Sierżant Barnes wyłączyła jeszcze raz silnik i rzuciła kotwicę. Stwierdziła, że kotwica nawet na głębokości trzydziestu metrów nie uderza o dno.

— W porządku — powiedziała z westchnieniem ulgi. Ale zostawię silnik włączony.

Teraz były tylko te ociągające się bałwany przy brzegach; pośrodku morza znów panował spokój, chociaż niepokaźna sina zmarszczka wody nadal pędziła. ku Decyzji. Sierżant Barnes trzymała kurs w jej kierunku, gotowa w każdej chwili przyspieszyć obroty silnika.

Potem już o dwa kilometry od nich morze się wzburzyło. W białogrzywej furii stanęło dęba i ryczało ogłuszająco. Z szesnastokilometrowej wysokości tej fali runęła, jak gdyby nałożona na nią, sunąc niczym lawina po górskim zboczu, fala mniejsza, ale tak szeroka, że mogła ich zabić.

Sierżant Barnes zobaczyła lęk na twarzach swojej załogi. Spróbowała przekrzyczeć ryk morza:

— Czego się boicie?! Pływałam nieraz po większych falach!

To niezupełnie zgadzało się z prawdą: i tak samo dobrze było im wiadomo, że przeprowadzała owe doświadczenia w łodzi odpowiednio

zbudowanej, a nie na zaimprowizowanej tratwie.

— Jeżeli trzeba będzie skakać, czekajcie, aż wam powiem. Sprawdźcie swoje kamizelki ratunkowe!

Ruby jest wspaniała — pomyślał dowódca. — Wyraźnie napawa się każdą minutą jak wiking, wojownik, który płynie w ogień bitwy. I zapewne ma rację… chyba że myśmy się fatalnie przeliczyli.

Fala nadal potężniała, piętrząc się i pieniąc coraz bardziej. Prawdopodobnie nie była aż tak wysoka, jak się wydawała, a przecież mogła mieć ogromną, nieodpartą naturalną siłę, miażdżącą wszystko na swojej drodze.

I nagle w ciągu sekund osunęła się, jak gdyby wyciągnięto spod niej fundament. Najwidoczniej rozbiła się o następną zaporę w głębi morza. W minutę później Decyzja tylko podskoczyła na niej parokrotnie. Sierżant Barnes zakręciła i popłynęła z maksymalną prędkością na północ.

— Dziękuję, Ruby, spisałaś się znakomicie. Ale czy dotrzemy do brzegu, zanim ta fala zrobi okrążenie i wróci?

— Prawdopodobnie nie zdążymy. Wróci za jakieś dwadzieścia minut. Ale już bardzo słaba, prawie jej nie zauważymy.

Teraz, gdy fala przepłynęła, mogli się odprężyć i cieszyć tym rejsem, chociaż zdawali sobie sprawę, że naprawdę spokojni będą dopiero po wylądowaniu. Jeszcze pozostały wiry w przypadkowych lejach, bił z nich w górę dziwny zapach kwasu.

— Jak zgniecione mrówki — trafnie ujął to Jimmy. Ów odór, jakkolwiek niemiły, nie wywołał u nikogo mdłości; po prostu był czymś tak obcym, że fizjologia ludzka nie reagowała.

W minutę później fala wspinając się ku niebu uderzyła o następną podwodną zaporę. Tym razem widowisko, oglądane od tyłu, przeszło bez wrażenia. Nawet im było wstyd, że przedtem nie ukrywali lęku. Zaczęli już czuć się panami Morza Cylindrycznego. `

Toteż wstrząs był dla nich ogromny, gdy nie dalej niż o sto metrów od tratwy zobaczyli sterczące z wody, kręcące się powoli koło. Połyskliwe metalowe szprychy o długości pięciu metrów wynurzyły się ociekając i po kilku obrotach w srogim blasku ramiańskich słońc plusnęły w wodę z powrotem. Zupełnie tak jakby jakaś olbrzymia rozgwiazda z rurowatymi ramionami wypłynęła na powierzchnię morza.

Nie mogli poznać, czy to jest zwierzę, czy maszyna. Przewróciło się z pluskiem na wodzie i leżało kołysane resztkami fali. Zobaczyli, że składa się z dziewięciu ustawionych promieniście ramion połączonych wyraźnie stawami, i z okrągłego tułowia czy może tarczy. Dwa z tych ramion, chyba odłamane, urywały się przy zewnętrznym stawie. Inne, nie naruszone, kończyły się skomplikowanym zbiorem manipulatorów, które żywo przypomniały Jimmy'emu kraba

spotkanego na południu Ramy. Oba stwory pochodziły z tej samej linii ewolucji — czy może z tej samej deski kreślarskiej.

Na samym środku tarczy sterczała mała głowica o trzech dużych okach. Dwa były zamknięte, jedno otwarte — ale również nieruchome, jak gdyby nie widzące. Teraz już nie wątpili, że patrzą na dogorywanie jakiegoś dziwnego potwora, którego wyrzuciły na powierzchnię morza ostatnie zawirowania wody.

Potem zobaczyli, że potwór nie jest sam. Skubiąc jego ledwie ruchome kończyny, pływały przy nim dwa nieduże stworzenia, jak gdyby wyrośnięte nadmiernie homary. Sprawnie chwytały go w kleszcze, a on nie stawiał oporu, chociaż miał szpony, zdawałoby się, dobrze przystosowane do rozprawiania się z takimi napastnikami.

I znowu Jimmy pomyślał o krabie niszczącym Ważkę. Patrzył uważnie, jak ten jednostronny atak się rozwija, i po chwili nabrał pewności.

— Patrz, kapitanie — szepnął. — Widzisz, one tego nie jedzą. Nawet nie mają pysków. Tylko siekają to na kawałki. Z Ważką było zupełnie tak samo.

— Owszem, widzę. Rozmontowują to jak… jak popsutą maszynę. — Norton pokręcił nosem. — Ale żadna maszyna nigdy tak nie cuchnie!

Po chwili jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy: Boże, a jeśli one wezmą się później do nas?

— Płyńmy do brzegu, Ruby, jak najszybciej!

Decyzja pomknęła, nie bacząc na możliwości baterii zasilających ich silnik. Za nimi wielka rozgwiazda — lepszej nazwy nie dało się wymyślić — traciła stopniowo swoje dziewięć ramion i wkrótce ten niesamowity okaz osunął się z powrotem w głębinę morza.

Nie było żadnego pościgu, ale odetchnęli spokojnie, dopiero gdy Decyzję wciągnięto na stały ląd i stanęli na nim szczęśliwie. Norton patrząc na tajemniczą, teraz nagle złowrogą obręcz wody niezłomnie postanowił, że nikomu już nie pozwoli po niej pływać. Zbyt wiele tam jest niewiadomych, zbyt wiele czai się niebezpieczeństw…

Powiódł wzrokiem po obwałowaniu i basztach Nowego Jorku i po ciemnym urwisku lądu za tą wyspą. Nie będzie już tamtym okolicom zagrażać ciekawość człowieka.

Dosyć tego kuszenia bogów Ramy!

33. Pająk

— Od tej chwili — zarządził Norton — zawsze mają być w obozie Alfa co najmniej trzy osoby i zawsze któraś z nich musi czuwać. — Dotyczyło to również wszystkich zespołów w terenie. W Ramie pokazały się stwory potencjalnie niebezpieczne i chociaż żaden nie przejawiał wrogości, roztropny dowódca nie mógł ryzykować.

Dodatkowe zabezpieczenie stanowiły nieustanne dyżury przy potężnym teleskopie na Piaście. Z jego dogodnej pozycji widać było całe wnętrze Ramy i nawet biegun południowy wydawał się oddalony zaledwie o kilkaset metrów. Teren dokoła każdej grupy badaczy miał być pod stałą obserwacją. To dawało nadzieję, że nie będzie możliwości zaskoczenia.

Plan dobry, a jednak zawiódł całkowicie.

Dochodziła godzina dwudziesta druga, pora ostatniego posiłku i udania się na spoczynek. Norton, Rodrigo, Calvert i Laura Ernst po kolacji oglądali zwykły telewizyjny dziennik wieczorny, specjalnie nadawany dla nich przez stację telewizyjną w Piekłogrodzie na Merkurym. Interesowały ich zwłaszcza dwa filmy — jeden Jimmy'ego z południa Ramy i drugi: powrót przez Morze Cylindryczne — epizod, który wprawiał w podniecenie wszystkich telewidzów. Naukowcy, komentatorzy i członkowie Komitetu do Spraw Ramy wypowiadali na ogół sprzeczne opinie. Toczono spory, czy ów stwór podobny do kraba, którego spotkał Jimmy, jest zwierzęciem, czy maszyną, czy prawdziwym Ramianinem, czy też eżymś nie zaliczającym się do żadnej z tych kategorii.

Właśnie patrzyli nie bez mdłości, jak tę ogromną rozgwiazdę niszczą rodzimi łupieżcy, gdy nagle odkryli, że już nie są sami. W obozie był intruz.

Pierwsza zauważyła go Laura Ernst. Zdrętwiała z wrażenia, a potem powiedziała:

— Nie ruszaj się, Bill. Teraz powoli spójrz w prawo.

Norton odwrócił głowę. O dziesięć metrów od niego stał jakiś trójnóg z kulistym kadłubem nie większym niż piłka nożna, wieńczącym jego trzy cienkie nogi. Miał troje oczu bez wyrazu, rozmieszczonych na tej kuli, tak że chyba obejmowały wzrokiem pełny krąg, i pod kadłubem trzy obwisłe, podobne do biczów czułki. Owo stworzenie, nie dorównując człowiekowi wzrostem, wyglądało krucho, zgoła niegroźnie, ale to nie usprawiedliwiało lekkomyślności, przez którą dali się tak zaskoczyć. Norton pomyślał przede wszystkim, że to jakiś olbrzymi dziwny pająk czy też długonogi komar, i zastanowił się, jak on rozwiązuje problem — nigdy przez żadne stworzenie na Ziemi nie rozwiązany — chodzenia na trzech nogach.

— Co myślisz o tym, doktorze? — zapytał szeptem, wyłączając głos spikera telewizyjnego.

— Zwykła ramiańska potrójna symetria. Nie widzę sposobu, w jaki ono mogłoby nam wyrządzić krzywdę, chociaż te bicze mogą być nieprzyjemne… może jadowite, jak u jamochłonów. Nie ruszajcie się i patrzcie, co ono robi.

Po przyjrzeniu im się obojętnie przez kilka minut stwór nagle ruszył z miejsca — i teraz zrozumieli, dlaczego nie spostrzegli jego przybycia. Był chyży i posuwał się tak nadzwyczajnym młynkiem, że ludzkie oczy i umysł prawie nie nadążały.

Norton osądził — chociaż tylko kamera nastawiona na maksymalną szybkość rozstrzygnęłaby tę sprawę — że każda noga kolejno stanowi czop osi, wokół którego obraca się całość. Przez cały czas bicze migały wokoło jak błyskawice, i chyba, ale nie na pewno, co kilka "kroków" stwór zmieniał kierunek swego wirowania. Jego maksymalna prędkość — też bardzo trudna do ustalenia — wynosiła co najmniej trzydzieści kilometrów na godzinę.

Ów pająk nieomal w mgnieniu oka okrążył cały obóz, badając każde urządzenie. Delikatnie dotykał biczami zaimprowizowanych łóżek, krzeseł i stołów, aparatury radiowej i telewizyjnej, pojemników z żywnością, elektronicznych urządzeń sanitarnych, kamer, zbiorników wody i narzędzi — przy czym wydawało się, że nic nie uchodzi jego uwagi, z wyjątkiem czworga ludzi, którzy go obserwują. Oczywiście musiał być dość inteligentny, żeby odróżniać żywe istoty od ich martwego dobytku. Jego aktywność sprawiała niewątpliwie wrażenie bardzo metodycznej ciekawości.

— Chciałabym go zbadać! — wykrzyknęła Laura bezradnie, gdy nadal wykonywał swoje szybkie piruety. Schwytamy go?

— W jaki sposób? — rzeczowo zapytał Calvert.

— No, wiecie, tak jak prymitywny myśliwy powala szybko uciekające zwierzęta: dwoma ciężarkami przyczepionymi do powrozu. To ich nawet nie boli.

— Wątpię — powiedział Norton. — Zresztą nawet gdyby miało się nam udać, lepiej nie ryzykować. Nie wiemy, jak dalece inteligentne jest to stworzenie. I taką sztuczką może by się połamało mu nogi. Wtedy rzeczywiście dostalibyśmy za swoje od Ramy i od Ziemi, i od wszystkich innych.

— Ale ja muszę mieć jakiś okaz!

— Raczej będziesz musiała zadowolić się kwiatkiem Jimmy'ego, chyba że któreś z tych stworzeń zechce ci pójść na rękę. Użycie siły wykluczone. A gdyby tak coś wylądowało na Ziemi i uznało ciebie za dobry okaz do sekcji, byłoby ci przyjemnie? _

— Przecież nie chcę zrobić sekcji — powiedziała Laura niezupełnie przekonywająco. — Chcę go tylko obejrzeć.

— No, obcy goście może też chcieliby cię tylko obejrzeć, ale z pewnością czułabyś się bardzo nieswojo, zanim byś im uwierzyła. Nie wolno nam zrobić żadnego posunięcia, które by mogło się wydawać zagrożeniem.

Cytował regulamin statku i Laura o tym wiedziała. Roszczenia nauki musiały ustąpić pierwszeństwa wymogom kosmicznej dyplomacji.

W istocie nie potrzebowali podchodzić do tego tak górnolotnie: wystarczyłoby przypomnieć sobie zasady dobrego wychowania. To oni byli tutaj przybyszami i to nie proszonymi…

Pająk chyba skończył inspekcję. Jeszcze raz bardzo szybko okrążył obóz, a potem błyskawicznie ruszył ku schodom. — Ciekawa jestem, jak sobie poradzi z wchodzeniem zastanowiła się głośno Laura.

Na odpowiedź nie czekała długo: pająk całkowicie ich ignorując sunął pod górę po łagodnym zboczu rampy wciąż w tym samym szybkim tempie.

— Kontrola na Piaście — powiedział Norton. — Może wkrótce ktoś was odwiedzi. Spójrzcie na schody Alfa odcinek szósty. Nawiasem mówiąc, stokrotne dzięki za czuwanie nad nami.

Upłynęła minuta, zanim ten sarkazm dotarł. Obserwator na Piaście zaczął przepraszająco chrząkać.

— Hm… Teraz widzę coś, kapitanie, kiedy już wiem, że coś tam jest. Ale co to?

— Zagadka nie mniejsza dla mnie, niż dla ciebie — odpowiedział Norton naciskając guzik alarmu ogólnego. Obóz Alfa wzywa wszystkie stacje. Właśnie odwiedziło nas jakieś stworzenie. Wygląda jak pająk na trzech nogach, bardzo cienkich, wysokość około dwóch metrów, tułów mały kulisty. Posuwa się szybkim ruchem wirowym. Chyba nieszkodliwe, ale ciekawskie. Może zakraść się do was, zanim go spostrzeżecie. Potwierdzić odbiór.

Pierwszy odezwał się Londyn odległy o piętnaście kilometrów na wschód.

— Tutaj nic niezwykłego, kapitanie.

Z tej samej odległości na zachodzie Rzym odpowiedział głosem podejrzanie sennym:

— Tak samo tutaj, kapitanie. Och, chwileczkę…

— O co chodzi?

— Odłożyłem długopis przed chwilą… Zniknął. Co do… och!

— Mów do rzeczy.

— Niewiarygodne, kapitanie. Robiłem notatki… wiesz, lubię pisać i to przecież nikomu nie przeszkadza… Pisałem moim ukochanym długopisem, który ma prawie dwieście lat. No, teraz leży na ziemi o jakieś pięć metrów ode mnie! Już podniosłem. Chwała Bogu… pisze.

— Ale jak twoim zdaniem się tam znalazł?

— Hmm… może zdrzemnąłem się na chwilę. Ciężki dziś był dzień.

Norton westchnął, powstrzymał się jednak od komentarza. Jest ich tak niewielu do zbadania świata Ramy, a czas nagli. Entuzjazm nie zawsze zdoła przeważyć nad zmęczeniem. Zastanowił się, czy nie ryzykuje zbytecznie. Może nie powinien rozdzielać ludzi na małe grupy i rozsyłać daleko. Ale zawsze pamiętał, że dni szybko mijają, a tyle nie rozwiązanych tajemnic jest wokoło. Z dnia na dzień nabierał coraz większej pewności, że coś się stanie i będą musieli uciekać, zanim Rama dotrze do peryhelium: moment ujawnienia prawdy może nadejdzie, ale zbiegnie się z koniecznością zmiany orbity.

— Słuchajcie, Piasta, Rzym, Londyn, wszyscy — powiedział. — Meldujcie się co pół godziny przez całą noc. Zakładamy, że możemy spodziewać się gości w każdej chwili. Niektórzy z nich może są niebezpieczni, ale za wszelką cenę musimy unikać incydentów. Wszyscy znacie odnośne dyrektywy.

Znali: to należało do ich przeszkolenia, ale przecież chyba nikt z nich w głębi ducha nie wierzył, że od dawna w tylu teoriach przedstawiany “fizyczny kontakt z obcą inteligencją” nastąpi za ich życia, a jeszcze mniej, że doświadczą tego sami.

Co innego przeszkolenie, co innego rzeczywistość. Nigdy nie wiadomo, czy w krytycznej chwili nie dojdzie do głosu odwieczny ludzki instynkt samozachowawczy. Niemniej trzeba udzielać każdemu stworzeniu spotkanemu w Ramie *beneficjum dubitandi,* dopóki to będzie możliwe — czy też nawet zawsze.

Kapitan Norton nie chciał wkroczyć na karty historii jako człowiek, który rozpętał pierwszą wojnę międzyplanetarną.

W kilka godzin później setki pająków kręciły się po całej równinie. Przez teleskop widać było, że roi się od nich także na lądzie południowym, ale wyspę Nowy Jork jakoś ominęły.

Nie zwracały uwagi na badaczy i wkrótce badacze niewiele uwagi zwracali na nie — chociaż od czasu do czasu Norton dostrzegał łupieżcze błyski w oczach lekarza pokładowego. Głowę by dał za to, że nic by pani doktor nie ucieszyło bardziej niż jakiś niefortunny wypadek któregoś z pająków, i chyba nawet nie byłoby poniżej jej godności przyczynić się do owego wypadku osobiście dla dobra nauki.

Wydawało się pewne, że te pająki nie mogą być inteligentne: miały ciała za małe, żeby mieścił się w nich odpowiedni mózg, i aż dziw brał, skąd czerpały energię potrzebną do poruszania się. Jednakże ich ruchy były dziwnie celowe i skoordynowane: doznawało się wrażenia, że są wszędzie, ale nigdy nie wracały tam, skąd raz odeszły. Chwilami Nortonowi przychodziło na myśl, że czegoś szukają. Czegokolwiek szukały, jeszcze tego nie znalazły.

Odbywały wędrówkę aż na centralną Piastę, nadal gardząc potrójnymi schodami. Nikt nie mógł pojąć, jak im się udaje wchodzić po odcinkach pionowych nawet w stanie nieważkości. Laura wysunęła przypuszczenie, że mają przyssawki.

I nagle ku swej nie ukrywanej radości dostała gorąco upragniony okaz. Kontrola na Piaście zameldowała o pająku, który spadł z pionowej ściany i leży martwy czy też unieruchomiony na pierwszym podeście. Czas, w jakim Laura dotarła na ten podest z równiny, był rekordem nie do pobicia.

Stwierdziła, że pomimo małej prędkości spadania pająk połamał sobie wszystkie trzy nogi. Oczy miał jeszcze otwarte, ale nie reagował na nic. Nawet ciepły jeszcze nieboszczyk ludzki byłby żywszy — uznała Laura. Zabrała swoją zdobycz na pokład Śmiałka i przystąpiła do sekcji.

Pająk był tak kruchy, że rozpadł się na kawałki prawie bez jej udziału. Rozebrała nogi, po czym zaczęła badać delikatny pancerz: rozcięła go wzdłuż trzech wyraźnych kół i otworzyła, tak jakby obierała pomarańczę.

Po długiej chwili tępego niedowierzania — bo tego, co zobaczyła, nie mogła rozpoznać ani określić — zrobiła szereg dokładnych fotografii. Potem uniosła skalpel.

Gdzie kroić? Miała ochotę zamknąć oczy i wbić skalpel na chybił trafił, ale to by nie było podejście naukowe.

Ostrze weszło nie napotykając żadnego wyraźnego oporu. Po sekundzie wszerz i wzdłuż Śmiałka rozbrzmiał wrzask lekarza pokładowego pani Ernst zgoła nie świadczący, że jest ona spokojną, dobrze wychowaną damą.

Zdenerwowany sierżant McAndrews musiał przez dobre dwadzieścia minut uspokajać przerażone małpy.

34. Jego ekscelencja żałuje…

— Jak wszystkim wam wiadomo, panowie — powiedział ambasador Marsa — sporo się wydarzyło od czasu naszego ostatniego spotkania. Mamy teraz wiele spraw do omówienia… i zadecydowania. Toteż szczególnie przykro mi z powodu nieobecności naszego znakomitego kolegi z Merkurego.

Ostatnie słowa niezupełnie zgadzały się z prawdą. Doktorowi Bose nie było przykro, że jego ekscelencja ambasador Merkurego jest nieobecny. Powinien raczej powiedzieć, że ta nieobecność go niepokoi. Cała jego dyplomacja mówiła mu, że coś się święci, a chociaż źródła informacji miał doskonałe, ani rusz nie mógł się zorientować, co to może być.

List ambasadora z przeprosinami był grzeczny i całkowicie niezrozumiały. Jego ekscelencja żałuje, ale pewne nieuniknione, palące sprawy nie pozwalają mu wziąć udziału w zebraniu ani osobiście, ani wideofonicznie. Doktor Bose naprawdę nie pojmował, jakie sprawy mogą być bardziej palące — czy ważniejsze — niż Rama.

— Dwaj nasi członkowie chcą złożyć oświadczenia. Wolałbym najpierw udzielić głosu profesorowi Davidsonowi.

Wśród innych uczonych, którzy zasiadali w Komitecie, rozległ się szmer podniecenia. Większość z nich była zdania, ze ten astrofizyk ze swymi dobrze znanymi zapatrywaniami nie nadaje się na przewodniczącego Rady Kosmicznej. Czasami profesor Davidson mówił i postępował tak, jak gdyby aktywność inteligentnych form życia stanowiła w dostojnym wszechświecie gwiazd i galaktyk żałosną niedorzeczność i tym samym za nietakt można by poczytać przywiązywanie do niej zbyt dużej wagi. To bynajmniej nie zyskiwało mu sympatii takich egzobiologów jak doktor Perera, którzy reprezentowali odmienny punkt widzenia. Głosili oni, że jedynym celem wszechświata jest wytwarzanie inteligencji, i nieraz wyrażali się szyderczo o zjawiskach czysto astronomicznych. “Tylko martwa materia” — mawiali z pogardą.

— Panie ambasadorze — zaczął profesor Davidson. Poddałem analizie dziwne zachowanie się Ramy w ciągu ubiegłych kilku dni i chciałbym przedłożyć Komitetowi moje wnioski. Niektóre są dosyć zdumiewające.

Przede wszystkim mamy niezwykły szereg wydarzeń, odkąd ten młody porucznik. przeleciał na półkulę południową Ramy. Same wyładowania elektryczne, chociaż efektowne, nie były niebezpieczne: łatwo wykazać, że zawierały stosunkowo mało energii. Ale zbiegły się ze zmianą prędkości wirowania Ramy i ze zmianą jej położenia, a więc także orientacji w przestrzeni kosmicznej. To już wymagało na

pewno ogromnej ilości energii. Wyładowania, które o mało nie spowodowały śmierci pana… hmm… Paka, były tylko pomniejszym produktem ubocznym, może zawadzającym i dlatego zminimalizowanym przez te olbrzymie piorunochrony na biegunie południowym.

Wyciągam z tego dwa wnioski. Kiedy statek kosmiczny… a przecież musimy Ramę nazywać statkiem kosmicznym pomimo jej bajecznych rozmiarów… zmienia położenie, to zwykle oznacza, że wkrótce zmieni orbitę. Należy więc traktować poważnie głosy tych, którzy sądzą, że Rama może przygotowuje się, by zostać jeszcze jedną planetą naszego układu, zamiast wrócić gdzieś między gwiazdy.

Jeżeli tak jest, Śmiałek oczywiście musi być gotów odbić czy tak się to mówi o statkach kosmicznych? — w każdej chwili. Bo przycumowany do Ramy mógłby się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie. Myślę, że kapitan Norton już dobrze wie o tej możliwości, ale chyba powinniśmy przesłać mu dodatkowe ostrzeżenie.

— Bardzo dziękujemy panu profesorowi Davidsonowi. Tak… słuchamy, panie doktorze Solomons.

— Chciałbym to skomentować — powiedział ten historyk nauk ścisłych. — Wydaje się, że Rama zmieniła prędkość wirowania bez pomocy napędów odrzutowych i reaktorów. Moim zdaniem istnieją dwa ewentualne wytłumaczenia.

Pierwsze: Rama jest wyposażona w żyroskopy czy też jakieś inne odpowiedniki. Muszą one być ogromne. Gdzie się mieszczą?

Druga ewentualność wywróciłaby całą nasza fizykę. A mianowicie: Rama ma bezreakcyjny system napędowy. Tak zwany napęd kosmiczny, w który profesor Davidson nie wierzy. Jeżeli tak, to możliwości Ramy są prawie nieograniczone. Nie zdołamy przewidzieć, co zrobi, nawet w świetle całej naszej ziemskiej fizyki.

Dyplomaci wyraźnie byli nieco zbici z tropu taką wymianą poglądów. Astronom nie dawał jednak za wygraną. Zaszedł dosyć daleko jak na jeden dzień.

— Za pozwoleniem, ja będę trzymał się praw fizyki, dopóki nie zostanę zmuszony do ich odrzucenia. Jeżeli nie wykryliśmy w Ramie żyroskopów, to może szukaliśmy za mało staranie, czy też nie tam, gdzie trzeba.

Ambasador Bose zobaczył, że doktor Perera zaczyna się niecierpliwić. Normalnie ten egzobiolog, jak wszyscy inni, chętnie słuchał domysłów. Ale teraz wreszcie uzyskał pewne konkretne dane. Jego od dawna zubożała wiedza raptem stała się bogata.

— Dobrze… Jeżeli nie ma innych komentarzy… Wiem, że doktor Perera ma dla nas ważne informacje.

— Dziękuję, panie ambasadorze. Jak wszyscy widzieliście,

panowie, przedstawiono nam okaz jednej z ramiańskich form życia i obserwujemy z bliska kilka innych. Pani komandor Ernst, lekarz pokładowy Śmiałka, przysłała nam wyczerpujące sprawozdanie o stworzeniu podobnym do pająka, które poddała sekcji.

Muszę przyznać, że niektóre z wyników tej sekcji są zaskakujące i w innych okolicznościach nie uznałbym ich za wiarygodne.

Ten pająk jest zdecydowanie organiczny, chociaż jego skład chemiczny różni się od naszego pod niejednym względem… zawiera znaczne ilości lekkich metali. Waham się jednak, czy nazwać go zwierzęciem, a to z powodów zasadniczych.

Po pierwsze: wydaje się, że nie ma otworu gębowego ani żołądka, ani kiszek… żadnej możliwości trawienia! Nie ma również dróg oddechowych, płuc, krwi ani narządów rozrodczych

Możecie się zastanawiać, co ma. No, jest pewien zespół mięśni, kontrolujący jego trzy nogi i trzy podobne do biczów węzły czułków. Jest mózg… dosyć złożony, głównie zawiadujący nadzwyczaj rozwiniętym potrójnym wzrokiem tego stworzenia. Ale osiemdziesiąt procent jego ciała składa się z plastra dużych komórek, które sprawiły pani doktor Ernst taką nieprzyjemną niespodziankę, kiedy przystąpiła do sekcji. Gdyby miała więcej szczęścia, może by zorientowała się w porę, bo to właśnie jedyna konstrukcja ramiańska rzeczywiście istniejąca na Ziemi, chociaż tylko u nielicznych zwierząt morskich.

Ten pająk jest przede wszystkim baterią, bardzo podobną do baterii w ogniwach fotoelektrycznych. Ale jemu to najwidoczniej nie służy do obrony. To po prostu jego źródło energii. I dlatego on nie ma warunków do tego, żeby jeść i oddychać: nie potrzebuje takiego prymitywnego systemu. Nawiasem mówiąc, czułby się doskonale w próżni.

A więc mamy stworzenie, które na dobrą sprawę nie jest niczym więcej niż ruchomym okiem. Brak organów operatywnych, czułki o wiele za wiotkie. Gdyby mi dano tylko taki szczegółowy opis, powiedziałbym, że to opis aparatu do rekonesansu.

Jego zachowanie z pewnością odpowiada temu określeniu. Te pająki nie robią nic poza tym, że wszędzie biegają i wszystko oglądają. Tylko to mogą robić…

Ale inne ramiańskie zwierzęta to już nie to samo. Krab, rozgwiazda, rekiny… z braku lepszych nazw… najwyraźniej mogą wpływać na swoje otoczenie i są wyspecjalizowane, jak się zdaje, w różnych funkcjach. Zakładam, że źródło ich energii to również elektryczność, bo tak jak ten pająk, chyba nie mają otworów gębowych.

Jestem pewny, że orientujecie się, panowie, jakie problemy biologiczne wyłaniają się z tego. Czy takie stworzenia mogłyby rozwijać się naturalnie? Prawdę mówiąc, nie sądzę. Wydaje się, że

zostały zaprojektowane jako maszyny.

Gdybym ja miał je określić, powiedziałbym, że to są roboty biologiczne roboty, coś, co nie ma żadnego odpowiednika na Ziemi.

Jeżeli Rama jest statkiem kosmicznym, może one są częścią załogi. Jak się rodzą, czy też zostają stworzone, nie potrafię powiedzieć. Ale domyślam się, że odpowiedź na to znalazłbym w ramiańskim Nowym Jorku. Jeżeli kapitan Norton i jego ludzie będą mogli zatrzymać się tam dostatecznie długo, może zaczną spotykać stworzenia coraz bardziej skomplikowane, zachowujące się w sposób dla nas jeszcze nie do przewidzenia. I w pewnej chwili może spotkają samych Ramiam prawdziwych twórców tego świata.

Gdy to się stanie, panowie, nie będzie już co do Ramy żadnych wątpliwości…

35. Przesyłka specjalna

Kapitan Norton spał mocno, gdy prywatny komunikator wyrwał go z radosnych snów. Właśnie spędzał wakacje z rodziną na Marsie i przelatywał nad budzącym cześć i grozę ośnieżonym szczytem Nix Olimpica, najpotężniejszego wulkanu w Systemie Słonecznym. Mała Billie zaczęła mówić coś do niego, ale co, nigdy nie miał się dowiedzieć.

Obudził się. Jawą był zastępca kapitana na pokładzie Śmiałka.

— Przykro mi, że cię budzę, kapitanie — powiedział komandor porucznik Kirchoff. — Potrójnie pilne z Kwatery Głównej.

— Przekaż — wymamrotał Norton jeszcze zaspany.

— Nie mogę. Nadane szyfrem, dla dowódcy osobiście.

Norton natychmiast zupełnie się rozbudził. Tylko trzy razy w całej swojej karierze zawodowej otrzymał wiadomość w ten sposób i za każdym razem oznaczało to kłopoty.

— Do diabła! — zaklął. — Co zrobimy?

Zastępca nawet się nie trudził, żeby odpowiedzieć. Obaj wiedzieli, w czym rzecz: to był problem, którego regulamin statku nie przewidywał. W normalnych okolicznościach dowódca nigdy nie oddalał się na dłużej niż pięć minut od swego biura i książki szyfrów zamkniętej w jego prywatnym sejfie. Wyruszając zaraz Norton może by — po wędrówce bardzo wyczerpującej dotarł na statek za kilka godzin. Zwłoka niedopuszczalna w odbieraniu wiadomości mających potrójne pierwszeństwo.

— Jerry — odezwał się Norton w końcu. — Kto tam jest przy centralce?

— Nikt, ja sam to nadaję.

— Magnetofon wyłączony?

— Dziwnym przypadkiem, wbrew regulaminowi, owszem.

Norton uśmiechnął się. Jerry był najlepszym zastępcą, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się mieć. Jerry myślał o wszystkim.

— W porządku. Wiesz, gdzie jest mój klucz do szyfru. Nadasz mi to.

Przez następne dziesięć minut czekał tak cierpliwie, jak tylko zdołał, próbując raczej bez powodzenia myśleć o innych sprawach. Nie cierpiał marnować wysiłków umysłowych: nie mógłby przecież w żaden sposób odgadnąć, co zawiera owa wiadomość, i wkrótce miał poznać jej treść. Wtedy będzie czas, żeby się biedzić skutecznie.

Zastępca się zameldował. W jego głosie słychać było napięcie.

— To właściwie nie jest aż tak nie cierpiące zwłoki, godzina nie sprawi różnicy. Wolałbym nie nadawać tego przez radio. Lepiej to zrzucić tam na dół.

— Ale dlaczego… Och, dobrze, wierzę w twoje rozeznanie. Kto przeniesie to przez śluzy?

— Ja sam. Dam znać, kiedy będę na Piaście.

— Czyli zastępstwo obejmie Laura.

— Na godzinę najwyżej. Wrócę jak najszybciej.

Lekarz pokładowy nie ma specjalnego przeszkolenia, żeby zastępować dowódcę, tak samo jak dowódca nie uczy się operować pacjentów. W razie konieczności dochodziło do takiej zamiany ról nieraz zupełnie gładko, ale zalecane to nie było. No, jeden przepis już i tak został dziś zlekceważony.

— Oficjalnie jesteś na statku nieprzerwanie. Czy obudziłeś Laurę?

— Jest zachwycona taką okazją.

— Całe szczęście, że lekarze potrafią zachowywać sekrety. Aha, nadałeś potwierdzenie odbioru?

— Oczywiście, w twoim imieniu, kapitanie.

— A więc czekam.

Teraz Norton nie zdołał uniknąć niecierpliwego wyczekiwania. “…Nie jest aż tak nie cierpiące zwłoki… wolałbym nie nadawać tego przez radio”.

Jedno było pewne: dowódca nie mógł liczyć na dużo snu tej nocy.

36. Obserwator biobotów

Sierżant Pieter Rousseau wiedział, dlaczego zgłosił się do tego zadania: pod niejednym względem było to spełnienie jego marzeń z czasów dzieciństwa. Teleskopy urzekły go, gdy miał zaledwie sześć czy siedem lat; dorastając zbierał z zamiłowaniem najrozmaitsze soczewki. Osadzał je w tekturowych rurkach i w ten sposób zaczął wyrabiać instrumenty o coraz większej mocy, aż zawarł dzięki temu znajomość z Księżycem, bliższymi planetami i stacjami kosmicznymi, poznał też dobrze krajobraz w promieniu trzydziestu kilometrów od domu.

Miał szczęście, że przyszedł na świat w górach Kolorado: widoki prawie z każdej strony były malownicze i niewyczerpane. Godzinami bezpiecznie oglądał szczyty, które z roku na rok zbierały obfite żniwo ofiar wśród nieuważnych, lekkomyślnych turystów wysokogórskich. Chociaż widział dużo, wyobrażał sobie jeszcze więcej. Lubił myśleć, że za każdym grzbietem skalnym, tam gdzie jego teleskop nie sięga, są baśniowe królestwa pełne cudownych stworzeń. Przez długie lata nie chciał zapuszczać się w tamte okolice, bo rzeczywistość przecież nie mogła dorastać do jego marzeń.

Teraz na centralnej osi Ramy oglądał dziwy, które przekraczały granice najzuchwalszej młodzieńczej fantazji. Oto miał przed sobą cały inny świat — wprawdzie mały, ale tak obcy, że człowiek do końca życia nie spenetrowałby dokładnie tych czterech tysięcy kilometrów kwadratowych, nawet gdyby to był świat martwy i niezmienny.

A właśnie życie ze wszystkimi swymi nieskończonymi możliwościami zbudziło się w Ramie. Jeżeli owe roboty biologiczne nie były żywymi stworzeniami, to z pewnością były naśladownictwem doskonałym.

Nie wiadomo, kto wymyślił słowo “biobot”, ale natychmiast każdy zaczął tego słowa używać. Panując nad Ramą z punktu obserwacyjnego na Piaście, Pieter, naczelny obserwator biobotów, zaczynał — jak mu się wydawało rozumieć ich funkcje.

Pająki były ruchomymi czujnikami, wyposażonymi we wzrok — i prawdopodobnie w dotyk — do przeprowadzania inspekcji we wnętrzu Ramy. Setki ich kręciły się z szaloną szybkością i raptem po niecałych dwóch dniach zniknęły. Stało się teraz rzeczą niezwykłą zobaczyć choćby jednego.

Na ich miejsce pojawiła się menażeria stworów o wiele bardziej imponujących. Pieter porządnie się głowił, żeby wymyślić dla nich stosowne nazwy. Byli froterzy o dużych uszkowatych stopach w sam raz do polerowania szlaków na całej drodze do wszystkich sześciu

sztucznych słońc Ramy. Ich ogromne cienie padały na średnicę tego świata, czasami powodując chwilowe zaćmienia po drugiej stronie.

Krab, który posiekał Ważkę, był chyba czyścicielem. Sztafeta takich stworów przybyła do obozu Alfa i zabrała wszystkie odpadki schludnie spiętrzone na skrajach; zabrałyby w ogóle wszystko, gdyby Norton i Mercer stanowczo się temu nie oparli. Ta konfrontacja była dosyć nerwowa, ale krótka, później bioboty chyba wiedziały, czego wolno im dotykać, i przybywały w regularnych odstępach czasu. żeby zobaczyć, czy ich usługi już są potrzebne. Bardzo szczęśliwie się to złożyło, świadcząc o wysokim stopniu inteligencji samych czyścicieli czy też może jakiejś indywidualności rządzącej nimi z daleka.

Usuwanie śmieci i rupieci było w Ramie bardzo proste: wszystkie przyjmowało morze, gdzie zapewne podlegały przetworzeniu w formy, w których mogły znów być przydatne. Ów proces odbywał się błyskawicznie. Decyzja zniknęła z dnia na dzień ku wielkiej irytacji Ruby Barnes. Norton pocieszał strapioną panią sierżant, zapewniając, że ta tratwa wykonała swoje zadanie wspaniale i że on by w żadnym razie nie pozwolił już nikomu na niej pływać. Rekiny może nie potrafią tak rozróżniać, co jest do wyrzucenia, jak czyściciele.

Żaden astronom nie radowałby się z odkrycia nieznanej planety bardziej niż Pieter, gdy zobaczył nowy typ biobota i starannie sfotografował go przez teleskop. Niestety wydawało się, że wszystkie interesujące gatunki pozostają na biegunie południowym, pełniąc tam jakieś tajemnicze funkcje wokół Rogów. Od czasu do czasu widywał, jak stwór w rodzaju stonogi z przyssawkami penetruje sam Wielki Róg, raz mignęło mu w okolicy niższych schodów stworzenie, które mogłoby być skrzyżowaniem hipopotama i buldożera. 1 wypatrzył nawet żyrafę o dwóch szyjach, będącą najwidoczniej ruchomym dźwigiem.

Przypuszczalnie Rama, tak jak każdy inny statek kosmiczny, wymaga prób, sprawdzania i napraw po swoim zawrotnym locie. Załoga już pracuje gorliwie; kiedy ukażą się pasażerowie?

Klasyfikacja biobotów nie była głównym zadaniem Pietera: otrzymał rozkaz czuwania nad zespołami badawczymi, których parę zawsze przebywało w terenie, to znaczy miał uważać, czy nic im nie grozi, i w razie czego ostrzegać. Zmieniał się w zasadzie co sześć godzin z kimś innym, kogo dowództwo mogło odkomenderować od badań, ale nieraz się zdarzało, że siedział na dyżurze przez dwanaście godzin z rzędu. W rezultacie znał teraz “geografię” Ramy lepiej niż ktokolwiek z ludzi wszystkich czasów. Ta kraina stała się dla niego tak swojska jak góry Kolorado z chłopięcych lat.

Gdy Jerry Kirchoff wynurzył się ze śluzy Alfa, Pieter wiedział od razu, że dzieje się coś niezwykłego. Nigdy nie było ruchu w godzinach spania, a już minęła północ według czasu pokładowego. Potem

przypomniał sobie, że ludzi jest mało, a pracy coraz więcej, i tym bardziej wstrząsnęło nim to zdumiewające lekceważenie regulaminu.

— Jerry, kto zastępuje kapitana?

— Przecież ja — odrzekł ozięble zastępca, jednym przytknięciem otwierając swój hełm. — Chyba nie myślisz, że zszedłbym z mostku, gdybym był na wachcie?

Sięgnął do kieszeni kombinezonu i wyciągnął małą puszkę wciąż jeszcze z etykietką: “Koncentrat soku pomarańczowego: po rozcieńczeniu pięć litrów”.

— Ty dobrze rzucasz, Pieter. Kapitan czeka na to.

Pieter wyważył puszkę w ręce i powiedział:

— Włożyłeś, mam nadzieję, dosyć, żeby miała odpowiedni ciężar. One czasami zostają na pierwszym tarasie.

— No, jesteś przecież fachowcem.

Tak było. Obserwatorzy na Piaście mieli mnóstwo praktyki w zrzucaniu drobnych przedmiotów, które zapomniano zabrać ze sobą bądź nieoczekiwanie ich potrzebowano. Sztuczka polegała na rzucie poza rejon prawie nieważkości tak zręcznym, żeby siła Coriolisa nie poniosła owych rzeczy zbyt daleko od obozu, gdy będą staczały się z wysokości ośmiu kilometrów na równinę.

Pieter mocno zaparł się nogami, chwycił puszkę i cisnął ją wzdłuż ściany urwiska. Celował nie bezpośrednio do obozu Alfa, tylko z odchyleniem o trzydzieści bez mała stopni.

Już po sekundzie opór powietrza sprawił, że puszka utraciła swą prędkość początkową, ale potem zaczęło oddziaływać pozorne przyciąganie Ramy, więc dalej zlatywała już ze stałą prędkością. Uderzyła raz o podstawę drabiny i powoli odbiła się. co zmiotło ją z pierwszego tarasu.

— W porządku — oznajmił Pieter. — Chcesz się założyć?

— Nie — padła szybka odpowiedź. — Ty byś wygrał.

— Nie masz w sobie ducha sportowego. Ale i tak ci powiem: zatrzyma się gdzieś o trzysta metrów od obozu.

— Niezbyt blisko.

— To może sam spróbujesz rzucić lepiej? Kiedyś widziałem, jak Joe chybił o parę kilometrów.

Puszka już się nie odbijała: przyciąganie było dość silne, żeby utrzymać ją na wklęsłej ścianie kopuły północnej. Zleciała na drugi taras z prędkością dwudziestu czy trzydziestu kilometrów na godzinę, prawie maksymalną, na jaką pozwalało tarcie.

— Teraz trochę poczekamy — rzekł Pieter i usiadł przy teleskopie, żeby śledzić swojego gońca. — Dotrze do celu za dziesięć minut. Ach, jest kapitan… Już potrafię rozpoznawać ludzi pod tym kątem. Patrzy w górę na nas.

— Przypuszczam, że teleskop daje ci poczucie władzy.

— Och, tak. Jestem jedynym człowiekiem, który wie wszystko, co się dzieje w Ramie. Przynajmniej myślałem, że wiem — dodał smętnie, spoglądając na Kirchoffa z wyrzutem.

— Jeżeli tak koniecznie chcesz wiedzieć, kapitanowi zabrakło pasty do zębów.

Po tym wyjaśnieniu rozmowa utknęła, aż w końcu Pieter powiedział:

— Wolałbym, żebyś się założył… On musi przejść tylko pięćdziesiąt metrów. Już ją widzi. Zadanie wykonane.

— Dziękuję, Pieter, znakomicie. Teraz możesz spać dalej.

— Spać! Mam dyżur do czwartej rano.

— Przepraszam. Ale pamiętaj: spałeś. Inaczej jak mogłoby ci się to wszystko przyśnić?

Nadzór przestrzeni kosmicznej do dowódcy statku kosmicznego Śmiałek. Potrójne pierwszeństwo. Ściśle tajne. Zniszczyć natychmiast po przeczytaniu.

> *Straż kosmiczna melduje, że jakiś bardzo szybki obiekt, wystrzelony, jak się zdaje, z Merkurego dziesięć do dwunastu dni temu, leci w kierunku Ramy. Jeżeli nie zmieni orbity, przybicie przewidziane dnia 322 godzina 1 S. Może być konieczna wasza ewakuacja przed tym terminem. Czekajcie na dalsze rozkazy.*
>
> *Głównodowodzący*

Norton przeczytał to kilkakrotnie, żeby zapamiętać datę. Trudno było zachowywać poczucie czasu w Ramie; dopiero gdy spojrzał na kalendarz, wiedział, że jest dzień 315. Czyli pozostaje zaledwie tydzień…

Wiadomość rzeczywiście mroziła krew w żyłach nie tylko swoją treścią, ale i tym, co zawierała między wierszami. Merkurianie wystrzelili coś potajemnie, a to samo w sobie było pogwałceniem prawa kosmicznego. Wniosek nasuwa się niewątpliwy: ich "obiekt" może być tylko pociskiem.

Ale dlaczego? Wykluczone… no, raczej wykluczone, żeby Merkurianie odważyli się zagrażać Śmiałkowi, więc przypuszczalnie sami wystosują należyte ostrzeżenie. W razie konieczności Śmiałek mógłby odlecieć w ciągu paru godzin. ale on zrobi to wbrew sobie tylko na bezpośredni rozkaz głównodowodzącego.

Powoli. z rozmysłem Norton przeszedł do zaimprowizowanego kompleksu gospodarczego i wiadomość wrzucił w muszlę elektronicznego klozetu. Patrząc, jak jasny promień lasera bucha tam przez szparę, wiedział, że wymogom bezpieczeństwa stało się zadość. Szkoda — myślał — że nie można tak szybko i w sposób tak

higieniczny pozbywać się wszystkich problemów.

37. Pocisk

Pocisk znajdował się jeszcze w odległości pięciu milionów kilometrów, gdy łuna jego hamujących plazmowych silników odrzutowych ukazała się w głównym teleskopie Śmiałka. Sekret przestał już być sekretem i Norton niechętnie wydał rozkaz drugiej, może ostatniej ewakuacji z wnętrza Ramy; ale Śmiałek miał na Ramie pozostać, dopóki tylko to będzie możliwe.

Nieproszony gość z Merkurego po dokonaniu manewru hamującego zatrzymał się o pięćdziesiąt zaledwie kilometrów od Ramy i najwidoczniej prowadził obserwacje przez swoje kamery telewizyjne. Wyraźnie było je widać — jedną na przodzie, drugą w tyle — jak również kilka anten oraz wielką antenę paraboliczną kierunkową wycelowaną nie zmiennie w świecącą w oddali gwiazdę Merkurego. Norton zastanawiał się, jakie polecenia przekazuje z Merkurego ten promień i jakie informacje lecą w odpowiedzi.

A przecież Merkurianie nie mogą się dowiedzieć nic poza tym, co już wiedzą: wszystkie odkrycia Śmiałka były nadawane przez radio i telewizję w całym Układzie Słonecznym. Merkuriański pojazd, który pobił wszystkie rekordy prędkości. żeby przylecieć tutaj, może być tylko przedłużeniem woli swoich twórców, ich narzędziem do osiągnięcia celu. Ten cel wkrótce będzie wiadomy, bo za trzy godziny ambasador Merkurego w Organizacji Planet Zjednoczonych przemówi do Zgromadzenia Ogólnego.

Oficjalnie ten pocisk jeszcze nie istnieje. Nie ma żadnych znaków identyfikacyjnych i nie nadaje identyfikacyjnych sygnałów na żadnej typowej częstotliwości. To też było poważnym pogwałceniem prawa, ale nawet Straż Kosmiczna dotychczas nie zaprotestowała formalnie. Wszyscy czekali z nerwową niecierpliwością na następne posunięcia ze strony Merkurego.

Trzy dni minęły, odkąd stwierdzono, że pocisk leci i kto go wystrzelił, a Merkurianie nadal milczeli uparcie. Oni potrafili milczeć, gdy im to odpowiadało.

Niektórzy psychologowie orzekli, że nie sposób w pełni zrozumieć mentalności kogokolwiek urodzonego i wychowanego na Merkurym. Bezpowrotnie wygnani z Ziemi trzy razy silniejszym jej przyciąganiem, Merkurianie mogą stać na Księżycu i przez wąską przepaść patrzeć na planetę swoich przodków — nawet swoich rodaków — nigdy jednak nie mogą tej planety odwiedzić. Więc oczywiście mówią, że odwiedzić jej nie chcą.

Ale tylko udają, że mają w pogardzie te łagodne deszcze, falujące pola, te jeziora i morza, i niebieskie niebo — wszystko, co mogą znać tylko z odtwarzania. Ich planetę nagrzewa tak potężna energia

słoneczna, że temperatura w ciągu dnia często dochodzi do sześciuset stopni. Przywdziali dosyć chełpliwie twarde pancerze brutalności, w których jednak z bliska widać szczeliny. Co więcej, są raczej słabi fizycznie, skoro życie jest dla nich możliwe tylko w całkowitej izolacji od otoczenia. Merkurianin, choćby nawet znosił przyciąganie ziemskie, zupełnie by opadł z sił w ciągu jednego upalnego dnia w jakimkolwiek kraju tropikalnym na Ziemi.

A przecież w sprawach naprawdę istotnych byli brutalni. Nacisk, jaki wywiera na ich psychikę ta tak bliska żarłoczna gwiazda, trudności techniczne wdzierania się w oporną planetę i wyszarpywania z niej koniecznych środków do życia sprawiły, że powstała tam spartańska i pod wieloma względami wysoce godna podziwu kultura. Na Merkurianach można polegać: niech tylko coś obiecają, zrobią to na pewno, chociaż rachunek za to wystawią może słony. Sami żartują, że jeśli Słońce kiedykolwiek zacznie się przemieniać w gwiazdę nową, oni podejmą się wziąć je pod kontrolę, gdy tylko zostanie ustalone odpowiednie honorarium. Ale już nie merkuriański jest żart, że tam każde dziecko, które okaże bodaj trochę zainteresowania sztuką, filozofią bądź matematyką abstrakcyjną, dostaje się natychmiast pod pług, żeby użyźnić pola hydroponiczne. W odniesieniu do tamtejszych przestępców i psychopatów to wcale żartem nie jest. Przestępstwo zawsze było jednym z luksusów, na jakie Merkury nie może sobie pozwolić.

Kapitan Norton poleciał raz na tę planetę i zwiedzał ją będąc pod wielkim wrażeniem — nie inaczej niż większość turystów. Zaprzyjaźnił się z wieloma Merkurianami. Zakochał się w dziewczynie w Porcie Lucyfera i nawet myślał o podpisaniu z nią trzyletniego kontraktu małżeńskiego, ale jej rodzice stanowczo nie chcieli dla niej nikogo spoza orbity Wenus. I dobrze się stało.

— Potrójnie pilne z Ziemi, kapitanie — zawiadomiono z mostku. - Głos i tekst głównodowodzącego. Przyjmujesz?

— Tekst sprawdzić i do akt; dajcie mi sam głos.

— Proszę.

Admirał Hendrix mówił spokojnie, rzeczowo, jak gdyby to był zwykły rozkaz dla floty, a nie omówienie sytuacji jedynej w swoim rodzaju na przestrzeni historii kosmicznej. No ale admirał Hendrix nie miał przed sobą bomby oddalonej zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów.

— Śmiałek, tu głównodowodzący. Oto zwięzłe podsumowanie sytuacji, tak jak my ją widzimy. Wiadomo wam, że Zgromadzenie Ogólne zbierze się o godzinie czternastej. Proszę uważnie słuchać transmisji z tego zebrania. Jeżeli to będzie możliwe, macie przystąpić do akcji natychmiast bez zasięgania rady. Stąd ta odprawa.

Rozpatrzyliśmy przekazane przez was fotografie. Ten pojazd jest typową sondą kosmiczną zmodyfikowaną do pracy impulsowej i

prawdopodobnie z napędem laserowym o początkowym dużym przyspieszeniu. Rozmiary i masa odpowiadają bombie jądrowej mającej moc od pięciuset do tysiąca megaton; Merkurianie zwykle przy swoich operacjach górniczych używają do stu megaton, więc zbudowanie pocisku o takiej mocy nie przedstawiałoby dla nich problemu.

Poza tym, według oceny naszych ekspertów, byłoby to właśnie owe minimum konieczne, żeby zniszczyć Ramę. Gdyby została zdetonowana obok najcieńszej części powłoki kadłuba — pod Morzem Cylindrycznym — nastąpiłoby pęknięcie, po czym do rozpadu Ramy doprowadziłoby samo jej wirowanie.

Zakładamy, że Merkurianie, jeżeli planują taki akt, dadzą wam dostatecznie dużo czasu na oderwanie się od Ramy. Zaznaczam: promieniowanie gamma z takiej bomby mogłoby być dla was niebezpieczne w zasięgu tysiąca kilometrów.

Ale to jeszcze nie jest największe niebezpieczeństwo. Fragmenty Ramy ważące wiele ton i rozlatujące się ruchem wirowym z prędkością prawie tysiąca kilometrów na godzinę mogłyby grozić wam zagładą na przestrzeni nieograniczonej. Dlatego zalecamy, abyście odlecieli wzdłuż osi jej obrotu, ponieważ żadne fragmenty nie będą lecieć w tym kierunku. Dziesięć tysięcy kilometrów powinno być odległością bezpieczną.

Ten komunikat nie może być podsłuchany, jako że przekazuje się go złożoną drogą pseudolosową, więc nie muszę mówić szyfrem. Ale wasza odpowiedź może zostać przechwycona, mówcie więc oględnie i używajcie szyfru, tam gdzie to jest konieczne. Odezwę się do was natychmiast po dyskusji Zgromadzenia Ogólnego. Skończyłem. Głównodowodzący wyłącza się.

38. Zgromadzenie Ogólne

Jak wiemy z książek historycznych — chociaż naprawdę trudno w to uwierzyć — były czasy, gdy stara Organizacja Narodów Zjednoczonych liczyła stu siedemdziesięciu dwóch członków. Organizacja Planet Zjednoczonych liczy ich tylko siedmiu i to nieraz wydaje się za dużo. W kolejności oddalenia od Słońca reprezentowane są planety: Merkury, Ziemia, Księżyc, Mars, Ganimedes, Tytan i Tryton.

Ta lista kryje liczne przeoczenia i niejasności, które zapewne skoryguje przyszłość. Krytycy niezmordowanie wykazują, że większość Planet Zjednoczonych to wcale nie planety, tylko satelity. I że niedorzecznością jest wyłączenie czterech olbrzymów: Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna…

Ale na tych olbrzymach gazowych nikt nie mieszka i zupełnie możliwe, że nikt mieszkać nie będzie nigdy. To samo można powiedzieć o jeszcze większej, nie reprezentowanej Wenus. Nawet najbardziej zapaleni do tej planety inżynierowie przyznają, że miną wieki, zanim da się ją oswoić; tymczasem Merkurianie wciąż mają na nią oko i niewątpliwie knują dalekosiężne plany.

Oddzielne reprezentacje dla Ziemi i Księżyca również są kością niezgody: inni członkowie wysuwają argument, że to pozostawia za dużą władzę w jednym kącie Układu Słonecznego. Ale na Księżycu żyje więcej ludzi niż na wszystkich innych planetach z wyjątkiem samej Ziemi i to jest miejsce zebrań Organizacji Planet Zjednoczonych. Ponadto Ziemia i Księżyc chyba w żadnej kwestii dotychczas nie zgadzały się z sobą, więc raczej nie zachodzi prawdopodobieństwo, żeby utworzyły groźny blok.

Mars ma pod kuratelą wszystkie asteroidy — oprócz grupy Ikara (nadzorowanej przez Merkurego) i garstki tych, których peryhelia są poza Saturnem i do których tym samym rości sobie prawo Tytan. Kiedyś większe asteroidy, takie jak Pallas, Westa, Junona i Ceres, będą dostatecznie ważne, żeby mieć własnych ambasadorów, i wówczas liczba członków OPZ stanie się dwucyfrowa.

Ganimedes reprezentuje nie tylko samego Jowisza, czyli masę większą niż cała reszta Układu Słonecznego razem wzięta, ale również pozostałych jego satelitów w liczbie około pięćdziesięciu, licząc chwilowe aneksje z pasa asteroid (prawnicy nadal sprzeczają się co do tego). Podobnie Tytan reprezentuje Saturna, jego pierścienie i ponad trzydzieści pozostałych satelitów.

Sytuacja Trytona wydaje się jeszcze bardziej skomplikowana. Ten duży księżyc Neptuna jest w Układzie Słonecznym najdalej wysuniętym na zewnątrz ciałem stale zamieszkiwanym; w rezultacie

jego ambasador pełni wiele funkcji. Reprezentuje Urana i jego osiem księżyców (z których żadnego jeszcze nie zajęto), Neptuna i jego trzech satelitów, Plutona i jego jedyny księżyc, i samotną, nie mającą księżyca Persefonę. Gdyby za Persefoną były jakieś planety, one także podlegałyby Trytonowi. I mało tego, ambasador Zewnętrznej Przestrzeni, jak czasami go nazywano, podobno kiedyś zapytał smętnie: A co z kometami? Uznano jednak powszechnie, że z tym można poczekać, bo niewątpliwie przyszłość to rozwiąże.

I oto teraz, w pewnym konkretnym sensie, ta przyszłość już nadeszła. Niektórzy uczeni zaliczali Ramę do komet; komety to jedyni goście z głębin międzygwiezdnych i wiele ich leciało po hiperbolicznych orbitach jeszcze bliższych Słońca niż orbita Ramy. Każdy prawnik kosmiczny mógłby ten punkt widzenia doskonale wybronić. Ambasador Merkurego był jednym z najlepszych prawników.

— Witamy wśród nas jego ekscelencję ambasadora Merkurego.

Ponieważ delegaci zajmowali miejsca w porządku odległości swoich planet od Słońca, odwrotnym niż kierunek wskazówek zegara, Merkurianin siedział ostatni po prawicy przewodniczącego. Do tej chwili wpatrywał się w ekran swojego komputera; teraz zdjął synchronizujące okulary, które pozwalały tylko jemu czytać wiadomości na tym ekranie, wziął plik notatek i wstał żwawo.

— Panie przewodniczący, znakomici koledzy delegaci. Chciałbym zacząć od krótkiego streszczenia sytuacji, wobec której obecnie stoimy.

Zwrot “krótkie streszczenie”, padając z ust niektórych innych delegatów, wywołałby cichy zbiorowy jęk wszystkich słuchaczy. Ale każdy wiedział, że Merkurianie zawsze mówili zwięźle.

— Olbrzymi statek kosmiczny czy też sztuczną asteroidę, nazwaną Ramą, wykryto w rejonie poza Jowiszem rok temu. Z początku przypuszczano, że to jest ciało naturalne poruszające się po orbicie hiperbolicznej, która poprowadzi je dalej za Słońce, do gwiazd.

Potem zorientowano się, czym Rama jest rzeczywiście, i wtedy statek kosmiczny Nadzoru Układu Słonecznego Śmiałek otrzymał rozkaz spotkania się z nim. Nie wątpię, że wszyscy będziemy gratulować komandorowi Nortonowi i jego załodze sprawności w wypełnieniu tej misji.

Z początku przypuszczano też, że Rama jest martwa zamarznięta od wielu setek tysięcy lat — i odżyć już nie może. Tego jeszcze nie wykluczamy w sensie ściśle biologicznym. Chyba ci, którzy badają tę sprawę, zgadzają się, że żaden żywy złożony organizm nie może żyć w stanie zahamowanej wegetacji dłużej niż kilkaset lat. Nawet przy temperaturze zera absolutnego szczątkowe efekty ilościowe w końcu

usuwają zbyt wiele informacji zapisanej w komórkach, żeby wskrzeszenie było możliwe. Dlatego wydawało się, że Rama, jakkolwiek ma dużą wartość dla archeologów, nie przedstawia szczególnych problemów natury astropolitycznej.

Teraz widzimy naiwność tego podejścia, chociaż od początku słyszeliśmy głosy, że Rama jest zbyt dokładnie wymierzona w Słońce, żeby to mógł być czysty przypadek. Po tej linii można by dalej argumentować — co więcej, argumenty takie wysuwano — że to był jakiś nieudany eksperyment. Rama osiągnęła zamierzony cel, ale owa sterująca nią inteligencja tego nie dożyła. Otóż pogląd taki również wydaje się bardzo naiwnym niedocenianiem istot, z którymi mamy tu do czynienia.

Zważcie, panowie, omieszkaliśmy wziąć pod uwagę możliwość przetrwania niebiologicznego. Jeżeli przyjmiemy teorię doktora Perery, wysoce prawdopodobną, na pewno będącą w zgodzie ze wszystkimi znanymi faktami, to stwory, które obserwujemy w Ramie, jeszcze do niedawna w ogóle nie istniały. Ich schematy czy wzory były zmagazynowane w jakimś centralnym banku informacji i gdy nadszedł po temu czas, nastąpiło wyprodukowanie ich z dostępnych surowców… przypuszczalnie z tej metaliczno-organicznej zupy w morzu Ramy. Taki wyczyn nadal przekracza nasze ludzkie możliwości, teoretycznie jednak nie stanowi problemu. Jak nam wiadomo, obwody wykonane z półprzewodników w przeciwieństwie do materii żywej mogą magazynować informacje bez żadnych strat przez czas nieokreślony.

A więc Rama jest obecnie w stanie stuprocentowo funkcjonalnym, służąc celowi swoich budowniczych… kimkolwiek czy też czymkolwiek mogą oni być. Z naszego punktu widzenia nieważne, czy Ramianie od miliona lat już nie żyją, czy też sami również zostaną odtworzeni i przyłączą się do swoich podwładnych lada chwila. Z nimi czy bez nich wola ich się spełnia… i będzie spełniała się dalej.

Rama obecnie daje nam dowody, że jej system napędowy nadal działa. Za kilka dni znajdzie się w peryhelium, gdzie w myśl wszelkiej logiki powinna przejść na inną orbitę. Niewykluczone więc, że wkrótce będziemy mieli nową planetę, poruszającą się w tej przestrzeni Układu Słonecznego, która podlega jurysdykcji mojego rządu. Oczywiście Rama może dokonać zmian dodatkowych i zająć orbitę ostateczną w każdej odległości od Słońca, jaką sobie wybierze. Mogłaby nawet stać się satelitą którejś z większych planet… takiej jak Ziemia…

Stoimy, koledzy delegaci, przed problemem ewentualności doprawdy bardzo poważnych. Głupio byłoby wmawiać sobie, że te stwory muszą być życzliwe i nie będą ingerować w nasze sprawy. Zjawiają się w naszym Układzie Słonecznym, a więc czegoś tu

potrzebują. Nawet jeśli chodzi im tylko o nasze osiągnięcia naukowe — pomyślcie, jak można te osiągnięcia wykorzystać…

Mamy tu do czynienia z technologią, która wyprzedza naszą o setki, może tysiące lat. i z kulturą całkowicie nam obcą. My, Merkurianie, patrzyliśmy na zachowanie się tych ramiańskich robotów biologicznych… tych biobotów… w filmach przekazywanych przez kapitana Nortona i doszliśmy do pewnych wniosków, którymi pragniemy się z wami podzielić.

Może jesteśmy pechowcami pod tym względem, że nie mamy na Merkurym żadnych miejscowych zwierząt do obserwowania. Ale oczywiście znamy całą zoologię ziemską. Otóż znajdujemy w niej jedną uderzającą. analogię z Ramą.

To jest kolonia termitów. Bo kolonia termitów przecież tak jak Rama jest światem stworzonym w sposób sztuczny i ze środowiskiem kontrolowanym. I tak samo funkcjonowanie tego świata zależy od całego szeregu wyspecjalizowanych maszyn biologicznych: robotników, budowniczych, rolników i… wojowników. Chociaż nie wiemy, czy w Ramie jest jakaś królowa, powiedziałbym, że wyspa zwana Nowym Jorkiem pełni taką właśnie funkcję.

No, byłoby niedorzecznością posuwać tę analogię zbyt daleko; załamuje się ona w wielu punktach. Ale przedkładam wam ją, ponieważ:

Jaki stopień współpracy czy zrozumienia pomiędzy istotami ludzkimi i termitami byłby kiedykolwiek możliwy? Tam, gdzie nie ma żadnej sprzeczności interesów, ludzie i termity tolerują się wzajemnie. Ale niech tylko terytorium bądź zasoby jednych staną się drugim potrzebne, wtedy nie będzie się przebierać w środkach.

My ludzie dzięki naszej inteligencji i technologii możemy zawsze zwyciężyć termity, jeżeli jesteśmy dostatecznie zdecydowani. Czasem nie bywa to łatwe i rodzą się wątpliwości, czy na dłuższą metę termity nie odniosą zwycięstwa.

Biorąc to pod uwagę, pomyślcie o przerażającym niebezpieczeństwie, które Rama może… nie twierdzę, że musi… przedstawiać dla cywilizacji ludzkiej. Jakie kroki podjęliśmy, żeby przeciwdziałać w razie tej najgorszej ewentualności? Żadnych w ogóle: my tylko przemawiamy, snujemy domysły i piszemy uczone rozprawy.

Koledzy delegaci, Merkury wszakże robi coś więcej. Postanowienia klauzuli trzydziestej czwartej traktatu kosmicznego z roku 2057 upoważniają nas do podejmowania wszelkich kroków koniecznych, aby chronić integralność naszej przestrzeni kosmicznej. Wystrzeliliśmy więc w stronę Ramy ładunek nuklearny o dużej sile. Będziemy doprawdy szczęśliwi, jeżeli obejdzie się bez jego użycia. Ale teraz przynajmniej nie jesteśmy tak bezradni, jak byliśmy dotychczas.

Można by nam zarzucić, że postąpiliśmy samowolnie nie konsultując się przedtem. To fakt, przyznajemy. Ale czy ktokolwiek tutaj wyobraża sobie… z całym uszanowaniem, panie przewodniczący… że dałoby się w tym krótkim czasie, jaki nam pozostaje, przedłożyć projekt i uzyskać jednomyślną aprobatę? Jesteśmy pewni, że działamy nie tylko dla dobra nas samych, ale dla dobra całej ludzkości. Może kiedyś wszystkie przyszłe pokolenia będą nam za tę przezorność dziękować.

Rozumiem, że to tragedia, a nawet zbrodnia zniszczyć dzieło tak cudowne jak Rama. Jeżeli jest jakiś sposób, który pozwoliłby tego uniknąć bez narażania ludzkości, proszę powiedzieć, będziemy cieszyć się ogromnie. Myśmy nie znaleźli żadnego, a czas ucieka.

W ciągu najbliższych kilku dni, zanim Rama dotrze do peryhelium, trzeba dokonać wyboru. Oczywiście jak najdobitniej ostrzeżemy Śmiałka. Ale radzilibyśmy kapitanowi Nortonowi, żeby był gotów do odlotu już w godzinę po otrzymaniu ostrzeżenia. Rama w każdej chwili może ulec dalszym dramatycznym zmianom.

To już wszystko, panie przewodniczący, koledzy delegaci. Dziękuję za uwagę, oczekuję współpracy.

39. Decyzja dowódcy

— No, Rod, jak Merkurianie mieszczą się w twojej teologii?

— Aż za dobrze, dowódco — odpowiedział Rodrigo z niewesołym uśmiechem. -To odwieczny konflikt pomiędzy siłami dobra i siłami zła. Bywają chwile, kiedy ludzie muszą niezłomnie stać po jednej albo po drugiej stronie.

Spodziewałem się, że dojdzie do czegoś takiego — uprzytomnił sobie Norton. — Boris, chociaż ta sytuacja na pewno jest dla niego wstrząsem, nie pogodził się biernie z sytuacją. Kosmochrystianie są bardzo energiczni i zaradni. Doprawdy pod wieloma względami niezwykle przypominają Merkurian.

— Przyjmuję, że masz jakiś plan, Rod.

— Tak, dowódco. Plan w istocie zupełnie prosty. Musimy rozbroić tę bombę.

— Aha. Jak według ciebie da się to zrobić?

— Małymi cęgami do cięcia drutu.

Gdyby tak powiedział ktokolwiek inny, Norton uznałby, że żartuje. Ale z Borisem Rodrigo żartów nigdy nie było.

— Zaraz, zaraz! Przecież ta bomba jest najeżona kamerami. Myślisz, że Merkurianie będą na to patrzeć i nic?

— Oczywiście, bo nic nie będą mogli zrobić. Kiedy ten sygnał do nich dotrze, na wszystko będzie już za późno. Z łatwością mogę wykonać całe zadanie w ciągu dziesięciu minut.

— Rozumiem. Będą tylko się wściekać. Ale jeśli bomba ma takie urządzenie, że wszelka ingerencja może spowodować jej wybuch?

— To chyba mało prawdopodobne. Bo i po co? Została zaprojektowana, żeby wybuchnąć w określonym celu daleko w głębi przestrzeni kosmicznej, na pewno więc jest ze wszech miar zabezpieczona przed możliwością wybuchu bez wyraźnego rozkazu. Ale nawet gdyby tak nie było, gotów jestem zaryzykować nie narażając statku. Obmyśliłem to sobie.

— Nie wątpię — powiedział Norton. Pomysł był urzekający, prawie urokliwy; podobała mu się zwłaszcza perspektywa pokrzyżowania planów Merkurianom i dałby wiele, żeby zobaczyć, jak oni zareagują, gdy zrozumieją poniewczasie, co się dzieje z ich zabójczą zabawką.

No, ale wyłaniały się komplikacje — chyba coraz więcej ich — ledwie zaczął rozpatrywać tę sprawę. Musiał teraz podjąć decyzję doprawdy najtrudniejszą i najbardziej przełomową w całej swojej zawodowej karierze.

Śmieszne niedomówienie. Musiał podjąć decyzję najtrudniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek podejmowali dowódcy. Bo gdyby

Merkurianie mieli rację…

Po odejściu Rodriga kapitan Norton włączył swój napis NIE PRZESZKADZAĆ. Nie pamiętał, kiedy to robił ostatnio, więc nawet był trochę zdumiony widząc, że napis jeszcze funkcjonuje. Teraz w sercu swego zatłoczonego, ruchliwego statku był zupełnie sam. Tylko James Cook z portretu patrzył na niego poprzez korytarze czasu.

Poradzić się Ziemi nie można. Już nadano ostrzeżenie, że wszelkie wiadomości mogą być przechwycone — kto wie, czy nie przez aparaturę na bombie. To zwala cały ciężar odpowiedzialności na jego barki.

Słyszał kiedyś, że pewien prezydent Stanów Zjednoczonych — Roosevelt, a może Perez — miał na swoim biurku napis, głoszący: "Każdy interes załatwię osobiście". Norton nie był całkiem pewien, co może oznaczać "interes", ale dowiedział się, kiedy przyszło mu załatwić tak trudną sprawę.

Chyba pozostaje tylko czekać, aż Merkurianie zalecą odlot. Ale jak to będzie wyglądało na kartach historii w przyszłości? — myślał Norton. — Ostatecznie pal licho, czy po śmierci okryje mnie chwała, czy niesława, doprawdy byłoby nieprzyjemnie, gdyby raz na zawsze uznano mnie za wspólnika zbrodni kosmicznej, której za życia mogłem zapobiec.

Ten plan jest bezbłędny. Oczywiście, Rodrigo opracował każdy szczegół, przewidział każdą ewentualność — nawet mało prawdopodobne niebezpieczeństwo, jakie stanowiłby wybuch bomby wskutek majstrowania przy niej. Gdyby tak się stało, Śmiałek za Ramą jak za tarczą pozostałby bezpieczny. A możliwość własnej zagłady porucznik Rodrigo najwyraźniej z całkowitą pogodą ducha uważał po prostu za szansę natychmiastowej apoteozy.

Z drugiej jednak strony nawet po skutecznym rozbrojeniu daleko jeszcze będzie do zakończenia tej sprawy. Merkurianie może znów zaczną czegoś próbować — jeżeli nie znajdzie się sposób, żeby ich powstrzymać. No, ale przynajmniej odwlecze się to o kilka tygodni: Rama już dawno znajdzie się za peryhelium, kiedy oni zdążą wystrzelić następny pocisk. I wtedy, miejmy nadzieję, najgorsze obawy tych panikarzy może już spotkają się z dezaprobatą. Albo na odwrót…

Działać czy nie działać — oto było pytanie. Nigdy dotąd Norton nie odczuwał tak bliskiego pokrewieństwa duchowego z królewiczem duńskim. Cokolwiek postanowi, możliwości dobra i zła są chyba zupełnie równe. Pod względem moralnym to naprawdę najtrudniejsza ze wszystkich decyzji. Jeżeli będzie niesłuszna, dowie się o tym bardzo szybko. Jeśli będzie taka, jaka być powinna — mógłby już nie dożyć…

Nie ma sensu opierać się dalej na logicznych argumentach i wyobrażać sobie alternatywnej przyszłości. To błędne koło. Nadszedł

czas, żeby się wsłuchać w siebie.

Spokojnie, śmiało spojrzał poprzez stulecia.

— Jestem twojego zdania, kapitanie Cook — szepnął. Ludzkość musi żyć w zgodzie ze swoim sumieniem. Choćby najbardziej logiczne były argumenty Merkurian, przetrwanie to jeszcze nie wszystko.

Nacisnął guzik obwodu centrali i wolno powiedział:

— Poruczniku Rodrigo, proszę do mnie.

Potem przymknął oczy, zatknął kciuki za przytrzymujące go pasy fotela, gotów cieszyć się krótką chwilą całkowitego odprężenia.

Może minąć trochę czasu, zanim taka chwila znów będzie możliwa.

40. Sabotażysta

Kosmiczny skuter pozbawiono wszystkiego, co zbyteczne, pozostała tylko sama rama, utrzymująca układy: napędowy, sterowania i podtrzymywania życia. Wyjęto nawet siedzenie drugiego pilota, ponieważ za każdy kilogram dodatkowej masy trzeba byłoby płacić wysoką cenę, jaką stanowił czas na wykonanie tej misji.

To był jeden, chociaż nie najważniejszy z wielu powodów, dla których Rodrigo uparł się, że poleci bez towarzysza. Zadanie było proste, nie wymagało niczyjej pomocy, a ciężar pasażera oznaczałby przedłużenie lotu o kilka cennych minut. Ogołocony skuter mógł teraz przy jednej trzeciej przyciągania zwiększyć szybkość i przebyć odległość od Śmiałka do bomby w cztery minuty. To dawało sześć minut na działanie: zupełnie dosyć.

Rodrigo obejrzał się tylko raz, gdy odleciał od statku. Zobaczył, że zgodnie z planem wzniósł się z osi środkowej i przelatuje lekko nad obracającą się płytą północną Ramy.

Nie spieszył się lecąc nad równiną bieguna. Dopóki kamery bomby nie mogły go uchwycić, oszczędzał paliwo. Ale już wkrótce unosił się ponad zaokrągloną krawędzią tego świata — widział bombę jaśniejącą w blasku Słońca jeszcze sroższym niż na planecie, na której ją wykonano.

Już przedtem zaprogramował trasę lotu swojego wehikułu. Wprowadził teraz tylko dane początkowe, po czym skuter zakręcił się na żyroskopach i osiągnął pełną prędkość w ciągu paru sekund. Zrazu przeciążenie było nieomal druzgocące, ale on szybko się przyzwyczaił. Ostatecznie bez trudu wytrzymał przeciążenia dwa razy większe w środku Ramy. I przecież urodził się w rejonie trzy razy większego przyciągania ziemskiego.

Leciał prosto do celu. Ogromna krągła ściana zewnętrzna pięćdziesięciokilometrowego walca oddalała się wolno poza nim. Niemożliwością było osądzić jej rozmiary, ponieważ była zupełnie gładka i nijaka -tak bardzo nijaka doprawdy, że gdyby nie wiedział, nie poznałby, że Rama się obraca.

To już sto sekund tej misji: przebył prawie połowę drogi. Bombę widział przed sobą jeszcze za daleko, żeby wypatrzyć jej szczegóły, ale już o wiele jaśniejszą na tle smolistego nieba. To było dziwne — nie widzieć gwiazd ani nawet świetlistej Ziemi, nawet olśniewającej Wenus. Uniemożliwiały to ciemne filtry, które chroniły wzrok przed zabójczym słonecznym blaskiem. Przypuszczał, że bije rekord: chyba nigdy dotąd żaden człowiek w jednym obiekcie nie majstrował przy drugim tak blisko Słońca. Całe szczęście, że aktywność Słońca jest nieduża.

Po dwóch minutach i dziesięciu sekundach zapaliła się lampka kontrolna, ciąg opadał do zera i skuter obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Pełny ciąg osiągnął ponownie po krótkiej chwili, ale teraz Rodrigo zmniejszał prędkość przy szaleńczym opóźnieniu wynoszącym trzy metry na sekundę do kwadratu — a nawet więcej, bo utracił już prawie pół masy paliwa. Do bomby miał jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów: dwie minuty drogi. Przedtem leciał z maksymalną prędkością tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę — co jak na skuter kosmiczny było zupełnym obłędem i zapewne także rekordem. Ale to przecież nie jest zwykły rekonesans — on wiedział dokładnie, co robi.

Bomba powiększała się: widział już główną antenę, wycelowaną niezmiennie w niewidoczną planetę, Merkurego. W jego stronę antena od trzech minut przesyła teraz z prędkością światła obraz zbliżającego się skutera. Dopiero za dwie minuty ten obraz dotrze do Merkurego.

Co zrobią Merkurianie, gdy go zobaczą? Zapanuje tam oczywiście konsternacja, zrozumieją, że znalazł się przy bombie o kilka minut wcześniej, niż spostrzegli, że jest w drodze. Prawdopodobnie jakiś obserwator w pogotowiu kosmicznym zaalarmuje zwierzchników, a to również zabierze trochę czasu. Ale nawet w najgorszym wypadku nawet jeżeli ów dyżurny ma upoważnienie do spowodowania wybuchu i naciśnie guzik natychmiast — musi minąć jeszcze pięć minut, zanim ten sygnał dotrze do bomby.

Rodrigo, chociaż nie stawiał na to — bo kosmochrystianie nigdy nie uprawiają hazardu — miał spokojną pewność, że takiej błyskawicznej reakcji nie będzie. Merkurianie prawdopodobnie zaczną się wahać, czy zniszczyć pojazd rekonesansowy Śmiałka, jakkolwiek podejrzany im się wyda ten zwiad. Będą próbowali jakoś się ze Śmiałkiem porozumieć, nastąpi więc dalsza zwłoka.

I co ważniejsze: nie zechcą zmarnować bomby o takiej sile dla zniszczenia jednego skutera. Bo przecież na marne wybuchłaby w odległości dwudziestu kilometrów od swojego celu. Najpierw będą musieli ją podsunąć. Och, rzeczywiście, jest sporo czasu, ale zawsze trzeba uwzględniać najgorsze możliwości. Trzeba postępować tak, jakby ten impuls miał dotrzeć w trybie natychmiastowym — w ciągu pięciu zaledwie minut.

Kiedy skuter przelatywał ostatnie paręset metrów, Rodrigo, widząc już szczegóły bomby, szybko dopasował je sobie do szczegółów, które przedtem oglądał na fotografiach zrobionych z bardzo daleka. Teraz to był twardy metal i gładki plastyk — już nie abstrakcja, tylko zabójcza rzeczywistość.

Bomba w kształcie walca mierzyła około dziesięciu metrów długości i trzy metry średnicy, mając dziwnym zbiegiem okoliczności prawie takie same proporcje jak Rama. Przymocowano ją do konstrukcji nośnej ażurową kratą z krótkimi poprzeczkami. Być może

po to, by utrzymać środek ciężkości, umieszczono ją na osi tego wspornika pod kątem prostym, tak że robiło to odpowiednio złowrogie wrażenie młota. W istocie to był młot, dostatecznie potężny, żeby rozbić planetę.

Z każdego końca bomby biegła wzdłuż walcowatego boku wiązka kabli splecionych w warkocze i poprzez kratę znikała we wnętrzu wspornika; znajdowały się tam wszystkie zespoły łączności i kontroli. Sama bomba nie była wyposażona w żadną antenę. Rodrigo musiał tylko przeciąć te wiązki kabli, żeby stała się nieszkodliwą, bezwładną masą metalu.

Chociaż tego właśnie się spodziewał, ze zdumieniem uznał teraz, że zadanie jest aż nazbyt łatwe. Spojrzał na zegarek: jeszcze trzy sekundy upłyną, zanim Merkurianie, nawet jeżeli mają obserwować, jak wyłaniał się zza krawędzi Ramy, będą wiedzieli bodaj o jego istnieniu. Pozostaje mu na niezakłóconą pracę z pewnością całe pięć minut, a nawet co bardzo prawdopodobne — czas znacznie dłuższy.

Zatrzymał dryfujący skuter przy pocisku i zahaczył o nośnik, tak że utworzyła się jedna sztywna konstrukcja. To zabrało tylko parę sekund. Narzędzia przygotował sobie uprzednio, więc od razu wysunął się z siodełka pilota, nieco skrępowany twardą grubością swego izolacyjnego skafandra. Przede wszystkim rzuciła mu się w oczy mała metalowa tabliczka z napisem:

WYDZIAŁ INŻYNIERII ENERGETYCZNEJ

SEKCJA D

BULWAR ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA 47

WULKANOPOL 174 664

INFORMACJI UDZIELA NASZ PRZEDSTAWICIEL,

PAN HENRY K. JONES

Przypuszczał, że już za kilka minut pan Jones będzie dosyć zajęty.

Ciężkie nożyce do cięcia drutu szybko uporały się z kablami. Gdy rozdzieliły pierwsze przewody, Rodrigo prawie nie myślał o ogniach piekielnych, zamkniętych w odległości zaledwie centymetrów. Jeżeli to spowoduje wybuch, on i tak tego nie zobaczy.

Zerknął znów na zegarek: minęła niecała minuta, czyli zgodnie z

planem nadal nie ma żadnego opóźnienia. Jeszcze ten kabel z tyłu, i można zaraz skierować się z powrotem do Śmiałka na oczach Merkurian, wściekłych i zawiedzionych.

Zaczął pracować przy drugiej wiązce kabli, gdy poczuł lekkie drganie metalu, którego dotykał. Zaskoczony odwrócił głowę i popatrzył na pocisk.

Charakterystyczny niebieskofioletowy ogień silnika plazmowego w działaniu jaśniał wokół jednej z dysz ustalającej położenie. Bomba przygotowywała się do lotu.

Wiadomość z Merkurego była krótka i druzgocząca. Doszła w dwie minuty po zniknięciu Rodriga za krawędzią Ramy.

“Do dowódcy Śmiałka. Kontrola przestrzeni kosmicznej Merkurego, Piekłogród Zachodni. Macie godzinę od chwili odbioru tego ostrzeżenia na odlot z okolic Ramy. Radzimy odlecieć z maksymalnym przyspieszeniem wzdłuż osi wirowania. Potwierdzić odbiór. Koniec wiadomości”.

Norton czytał z czystym niedowierzaniem, a potem z gniewem. Wiedziony dziecinnym odruchem, najchętniej nadałby odpowiedź, że jego załoga jest w Ramie i trzeba kilku godzin, żeby wszyscy stamtąd wyszli. Ale to by nic nie dało — tyle że poddałby próbie stanowczość i odwagę Merkurian.

I dlaczego oni się zdecydowali już działać, na kilka dni przed peryhelium? Może wzrastający nacisk opinii publicznej stał się zbyt duży, więc uznali, że lepiej resztę ludzkości postawić przed faktem dokonanym? Taka jednak wrażliwość nie leży w ich charakterze.

Nie ma sposobu, żeby odwołać Rodriga, bo odkąd skuter znalazł się w cieniu radiowym Ramy, łączność będzie przerwana, dopóki on nie wynurzy się z tego cienia. A to nastąpi dopiero wtedy, gdy jego zadanie zostanie wykonane — albo gdy się nie uda.

Norton musiał czekać: jeszcze miał mnóstwo czasu. Ostatecznie zdecydował się na udzielenie Merkurianom najdobitniejszej z możliwych odpowiedzi.

Ich ostrzeżenie po prostu zignorował. Co Merkurianie zrobią teraz?

Pierwszą reakcją Rodriga na to, że bomba się poruszyła, nie był lęk fizyczny; nie, coś o wiele bardziej obezwładniającego. Wierzył, że wszechświat funkcjonuje w myśl nieugiętych praw, których nawet sam Bóg nie może nie przestrzegać, a cóż dopiero Merkurianie. Żadna wiadomość nie przeleci szybciej niż światło: on ma pięć minut przewagi nad Merkurym, cokolwiek Merkurianie zdołają zrobić.

To chyba tylko zbieg okoliczności — fantastyczny i możliwe, że zabójczy, ale tylko zbieg okoliczności. Najwidoczniej przypadkowo

jakiś sygnał kontrolny został przesłany do bomby mniej więcej w czasie jego odlotu ze Śmiałka, i gdy on przelatywał swoje pięćdziesiąt kilometrów, sygnał tamtych przebył osiemdziesiąt milionów.

Albo może to jest jakaś automatyczna zmiana położenia, żeby zmniejszyć przegrzanie aparatury? Istotnie były miejsca, gdzie temperatura powierzchni dochodziła do tysiąca pięciuset stopni, i Rodrigo bardzo się starał pozostawać w cieniu.

Druga dysza rozkwitła ogniem, likwidując ruch obrotowy nadany przez pierwszą. Nie, to jednak nie było przystosowywanie się do wysokiej temperatury. Bomba zmienia położenie, żeby się skierować ku Ramie…

Nic nie pomogą rozstrząsania, dlaczego tak się dzieje właśnie teraz. Rodrigo wiedział, że na jego szczęście bomba jest mechanizmem o małym przyspieszeniu. Jedna dziesiąta ziemskiej grawitacji — nie więcej. Mógł nie odłączać się od bomby.

Sprawdził przymocowanie skutera do wspornika bomby i zacieśnił linę ratunkową na skafandrze. Determinację wzmagał w nim zimny gniew. Czy taki manewr oznacza, że Merkurianie mają zamiar doprowadzić do eksplozji bez ostrzeżenia, nie umożliwiając Śmiałkowi ucieczki? Niewiarygodne — akt nie tylko brutalności, ale i głupoty, który sprawi, że cała reszta Układu Słonecznego obróci się przeciwko Merkuremu. Co mogło ich popchnąć do takiego zignorowania uroczystej obietnicy swojego ambasadora? Jakikolwiek mają plan, nie ujdzie im to bezkarnie.

Druga wiadomość z Merkurego, która dotarła w dziesięć minut później, była taka sama jak pierwsza. A więc przedłużają termin ostateczny — pomyślał Norton. — Mam jeszcze godzinę. Najwidoczniej czekali na odpowiedź ze Śmiałka, zanim odezwali się znowu.

Teraz dołączył się jeszcze jeden czynnik: musieli już zobaczyć Rodriga i mieli kilka minut, żeby podjąć jakąś akcję. Ich instrukcje zapewne są w drodze. Mogą dotrzeć do bomby lada sekunda. Trzeba pomyśleć o odlocie, zarządzić przygotowania. W każdej chwili przysłaniający niebo ogrom Ramy może się rozżarzyć na całej swojej długości jaśniejąc przelotną chwałą, która zaćmi Słońce.

Gdy główny ciąg zaczął działać, Rodrigo był już bezpiecznie zakotwiczony. Po dwudziestu sekundach ciąg ustał. Rodrigo zrobił szybkie obliczenie w myśli: składowa delta nie może być większa niż piętnaście kilometrów na godzinę. Bomba będzie musiała lecieć do Ramy godzinę; może na razie tylko się tam przybliża, żeby później szybciej zareagować. Jeżeli tak, to jest roztropne posunięcie, ale Merkurianie się z tym spóźnili.

Spojrzał na zegarek, prawie nieomylnie orientował się w czasie. Na Merkurym oni dopiero patrzą, jak leciał wprost ku bombie, jeszcze o dwa kilometry oddalony od niej. Nie mogą mieć wątpliwości co do jego zamiarów, tylko na razie nie wiedzą, czy je przeprowadzi.

Ten drugi komplet kabli przeciął tak samo łatwo jak pierwszy: jak każdy fachowiec, dobrze wybrał narzędzia. Bomba została rozbrojona, czy też, mówiąc ściślej, już nie można było zdalnie spowodować jej wybuchu.

A przecież wiedział, że jest inna ewentualność, której nie powinien lekceważyć. Na zewnątrz nie widać żadnych zapalników stykowych, może jednak są jakieś wewnątrz, czekając na zderzenie się bomby z Ramą. Merkurianie nadal panują nad ruchami swojej bomby, więc mogą trafić nią w Ramę, kiedy tylko zechcą. Zadanie niezupełnie wykonane.

I znowu dopiero za pięć minut w centrali gdzieś tam na Merkurym zobaczą, jak on czołga się do tyłu po powłoce bomby, trzymając w ręce niepokaźne cęgi, którymi już unieszkodliwił tę najpotężniejszą broń, jaką kiedykolwiek skonstruowała ludzkość. Trochę go korciło, żeby pomachać ręką do kamery, ale uznał, że to wydałoby się niepoważne — ostatecznie jest kimś, kto nadaje bieg historii, i miliony ludzi będą w przyszłości oglądać jego wyczyn, jeżeli, rzecz jasna, Merkurianie nie zniszczą tego nagrania w ataku rozgoryczenia. Nietrudno byłoby ich zrozumieć.

Dotarł do podstawy anteny o dalekim zasięgu i podryfował wzdłuż do wielkiej wklęsłej czaszy. Jego wierne nożyce błyskawicznie rozcięły złożony system dopływu zasilania, niszcząc kable i wiązki przewodów zasilających laser. Gdy ciachnął ostatni raz cęgami, antena powoli się obróciła: to go przeraziło, ale zaraz pojął, że zniszczył jej automatyczną łączność z Merkurym. Za pięć minut Merkurianie stracą wszelkie połączenie z tą swoją sługą. Bomba jest nie tylko bezsilna, jest już również głucha i ślepa.

Powoli wspiął się z powrotem na skuter, odczepił go, po czym zakręcił tak, że przednie zderzaki przywarły do środka ciężkości bomby. Doprowadził odrzut do pełnej mocy i utrzymywał tę moc przez dwadzieścia sekund.

Pokonując bezwład masy o wiele większej niż jego własna, skuter reagował bardzo opieszale. Po zredukowaniu odrzutu znów do zera, Rodrigo uważnie zmierzył współrzędne nowego wektora prędkości bomby.

Teraz bomba ominie Ramę z daleka, po czym można będzie ją dokładnie zlokalizować w każdej chwili. To przecież sprzęt bardzo cenny.

Porucznik Rodrigo był człowiekiem nieomal patologicznie uczciwym. Nie chciał, żeby Merkurianie oskarżyli go o

zaprzepaszczenie ich własności.

41. Bohater

— Kochanie — zaczął Norton — przez tę bzdurę zmarnowaliśmy cały dzień z okładem, ale przynajmniej mam dzięki temu trochę czasu, żeby odezwać się do ciebie.

Jestem nadal na statku, wracamy na stanowisko na północnej osi Ramy. Już godzina minęła, odkąd zabraliśmy Roda, który wyglądał tak, jakby właśnie schodził ze spokojnej wachty. Chyba żaden z nas już nigdy nie będzie mógł pokazać się na Merkurym i ciekaw jestem, czy na Ziemi zostaniemy powitani jak bohaterowie, czy jako złoczyńcy. Ale ja mam sumienie czyste: nie wątpię, że postąpiliśmy tak, jak należało. I ciekaw jestem, czy Ramianie kiedykolwiek nam podziękują.

Możemy zostać na Ramie jeszcze tylko dwa dni: my w przeciwieństwie do Ramy nie mamy skóry grubości kilometra, która by nas chroniła przed Słońcem. Kadłub Śmiałka już niebezpiecznie się przegrzewa i musieliśmy wysunąć w niektórych miejscach osłonę termiczną. Nie chciałem nudzić ciebie naszymi trudnościami. Przepraszam.

A więc jest czas na jeszcze jedną wyprawę w głąb Ramy i zamierzam ten czas w pełni wykorzystać. Ale nie martw się, nie będę ryzykował.

Przerwał na chwilę nagrywanie. Tu już — mówiąc oględnie — przesadził. Niebezpieczeństwa w Ramie czyhają nieustannie: żaden człowiek nie może nigdy czuć się tam swojsko wobec sił dla ludzkiego umysłu niepojętych. Ale teraz, gdy wiadomo, że będzie to wyprawa rzeczywiście ostatnia, troszeczkę ryzykować jednak warto.

— Więc za czterdzieści osiem godzin nasza misja się dopełni. Co dalej, nie bardzo wiemy: wchodząc na tę orbitę zużyliśmy właściwie całe nasze paliwo. Ciągle oczekuję wiadomości, czy jakiś tankowiec już leci, żeby spotkać się z nami w porę i umożliwić powrót na Ziemię, czy też czeka nas przymusowe lądowanie na Marsie. W każdym razie powinienem być w domu na Boże Narodzenie. Powiedz dziecku, że żałuję, ale nie mogę przywieźć małego biobocika, takich stworzeń nie dorosłych po prostu nie ma…

Wszyscy czujemy się świetnie, tylko jesteśmy bardzo zmęczeni. Zasłużyłem na długi urlop po tej misji i wtedy nadrobimy cały stracony czas. Cokolwiek będzie się o mnie mówiło, masz prawo twierdzić, że jesteś żoną bohatera. Czy wiele kobiet może się pochwalić mężem, który ocalił planetę?

Jak zawsze, Norton po nagraniu przesłuchał taśmę dla pewności, że treść nadaje się dla obu jego rodzin. Dziwne było nie wiedzieć, którą z nich zobaczy najpierw; zazwyczaj mógł planować co najmniej

na rok z góry, bo decydowały o tym nieubłagane ruchy samych planet.

Ale tak było w czasach przed Ramą: teraz będzie inaczej.

42. Saklam Świątynia

— Jeżeli spróbujemy tam się dostać — zapytał Karl Mercer — myślisz, że bioboty nas zatrzymają?

— Może: to jest jedna z rzeczy, które chcę zbadać. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Mercer po swojemu uśmiechnął się powoli, tajemniczo, jak gdyby bawiło go coś, czym może chce, a może nie chce podzielić się z towarzyszami.

— Już doznawałem wrażenia, kapitanie, że ty chyba uważasz Ramę za swoje włości. Dotychczas sprzeciwiałeś się stanowczo wszelkim próbom sforsowania tych budowli. Skąd raptem taka zmiana? Czyżby Merkurianie cię natchnęli?

Norton roześmiał się, ale zaraz spoważniał. Pytanie było trafne i nie miał pewności, czy oczywista odpowiedź będzie odpowiedzią właściwą.

— Może przez superostrożność… starałem się unikać kłopotów. Ale teraz to nasza ostatnia szansa. Skoro i tak musimy się wycofać, nie stracimy wiele.

— Zakładając, że będziemy się wycofywać bez przygód. — Naturalnie. Ale bioboty jak dotąd nie okazywały się wrogie i nie sądzę, żeby poza tymi pająkami było tam coś, co mogłoby nas pochwycić… jeżeli będziemy musieli uciekać.

— Ty możesz uciekać, kapitanie, ale ja zamierzam odejść z godnością. Nawiasem mówiąc, chyba odkryłem, dlaczego bioboty są dla nas takie grzeczne.

— Trochę już za późno na nowe teorie.

— Niemniej ja mam nową. Im się zdaje, że my to Ramianie. Nie odróżniają jednych połykaczy tlenu od drugich.

— Nie przypuszczam, żeby były aż takie głupie.

— Nie ma w tym głupoty. One zostały zaprogramowane tylko do swoich poszczególnych zadań. My po prostu nie wchodzimy w zakres ich działania.

— Może masz rację. Może to stwierdzimy, kiedy… zaczniemy badać Londyn.

Joe Calvert zawsze z uciechą oglądał w starych filmach włamania do banków, wcale jednak nie przypuszczał, że sam będzie brał w czymś takim udział. A przecież to, co robił teraz, było włamaniem.

Puste ulice Londynu wydawały mu się pełne niebezpieczeństw, chociaż wiedział, że słyszy tylko głos swego nieczystego sumienia. Rzeczywiście nie wierzył, że w tych bezokiennych, szczelnie zamkniętych budowlach są jacyś przyczajeni mieszkańcy, którzy

wylegną wielkimi hordami, ledwie intruzi dotkną ich mienia. Był nawet pewny, że cały ten kompleks, podobnie jak wszystkie ramiańskie miasta, był czymś w rodzaju wielkich składów.

Natomiast inny powód do lęku, też wynikłego z oglądania niezliczonych starych filmów kryminalnych, był chyba logiczniejszy. Na razie nie było tu żadnych dzwonków alarmowych i wyjących syren — rozmyślał Joe Calvert ale sama logika nakazuje zakładać, że Ramianie powinni mieć system ostrzegawczy. Jakże inaczej bioboty wiedziałyby, gdzie i kiedy potrzebne są ich usługi?

— Kto nie wziął okularów ochronnych, niech się odwróci tyłem — wydał rozkaz sierżant Myron.

Zapach tlenku azotu uniósł się wokół, gdy powietrze rozgorzało w płomieniu palnika laserowego. Z miarowym skwierczeniem ten ognisty nóż zaczął rozpruwać powłokę sekretów Ramy.

Nic materialnego nie oparłoby się takiej dawce energii, więc krajanie przebiegało gładko w tempie kilku metrów na minutę. Już po chwili wycięty został otwór dość duży, żeby zmieścił się człowiek.

Gdy ta nacięta cząstka ściany ani drgnęła, Myron stuknął w nią lekko, potem mocniej, potem grzmotnął pięścią całej siły. Dopiero wtedy wpadła do środka z głuchym rezonującym łoskotem.

Norton znowu, tak jak w czasie pierwszego wkroczenia do wnętrza Ramy, pomyślał o archeologu otwierającym starożytny grobowiec egipski. Nie spodziewał się jednak zobaczyć błysków złota: w istocie bez przewidywania czegokolwiek wczołgał się przez ten otwór w świetle latarki, którą trzymał przed sobą.

Jakaś grecka świątynia ze szkła — takie było jego pierwsze wrażenie. Stały tam rzędy za rzędami kryształowych kolumn o grubości mniej więcej jednego metra i wysokich od podłogi do samego stropu. Setki ich znikały w ciemnościach poza zasięgiem ramiańskiego słońca.

Podszedł do najbliższej kolumny i skierował smugę latarki do jej wnętrza. Załamane jak w soczewce cylindrycznej światło rozszerzało się po drugiej stronie, po czym znów się ogniskowało, i znów się rozszerzało, słabnąc stopniowo wśród zastępu dalszych kolumn. Wyglądało to nieomal na jakiś skomplikowany pokaz arcydzieł optyki.

— Bardzo ładne — powiedział praktyczny Mercer ale co to znaczy? Komu potrzebny jest las filarów?

Norton stuknął delikatnie w jedną kolumnę. Sądząc z odgłosu, była ciałem stałym raczej z metalu niż z kryształu. Zdezorientowany zastosował się do użytecznej rady, którą usłyszał przed laty: “Kiedy masz wątpliwości, nie mów nic, tylko idź dalej”.

Przy następnej kolumnie, zupełnie takiej samej, usłyszał okrzyk zdumienia Mercera.

— Przysiągłbym, że ten filar jest pusty w środku… a przecież coś

w nim jest!

Obejrzał się szybko.

— Gdzie? — zapytał. — Ja nic w nim nie widzę.

Popatrzył w kierunku wycelowanego palca Mercera, ale nic nie zobaczył: kolumna była przezroczysta.

— Nie widzisz? — zapytał Mercer z niedowierzaniem. Przejdź na tę stronę. Do licha… teraz już i tego nie widzę.

— Co się dzieje? — zapytał Calvert. Minęło kilka minut, zanim otrzymał niepewną odpowiedź.

Te kolumny były przezroczyste, ale nie pod każdym kątem i nie w każdym oświetleniu. Gdy oglądali je z różnych stron, widzieli w nich chwilami przedmioty wtopione jak muchy w bursztynie, dziesiątki przedmiotów, każdy inny, wszystkie konkretne, nieomal namacalne, i chociaż różne, przeważnie jednakowej wielkości.

— Hologramy — powiedział Calvert — zupełnie jak muzeum na Ziemi.

To było wytłumaczenie oczywiste i dlatego Norton odniósł się do tego podejrzliwie. Powątpiewał coraz bardziej, oglądając inne kolumny i wyczarowując zmagazynowane w nich obrazy.

Narzędzia ręczne (chociaż owe ręce, które by ich używały, musiały być ogromne i bardzo dziwne), pojemniki, małe maszynki z klawiaturami, przystosowanymi chyba do większej liczby palców, przyrządy naukowe, zdumiewająco zwyczajne utensylia domowe łącznie ze sztućcami i talerzami, które, gdyby nie ich wielkość, nikogo nie dziwiłyby swym widokiem na stołach ziemskich — wszystko to tam było, jak również setki przedmiotów już nie tak łatwo dających się rozpoznać, często pomieszane razem w jednej kolumnie. Muzeum chyba powinno mieć jakiś układ logicy, eksponaty posegregowane. To tutaj wydawało się czysto przypadkowym zbiorowiskiem towarów.

Sfotografowali już te trudno uchwytne obrazy w dwudziestu może kryształowych kolumnach, gdy sama rozmaitość przedmiotów dała Nortonowi klucz. Może to nie zbiór, tylko katalog, zredagowany w myśl jakiegoś arbitralnego, ale zupełnie logicznego systemu. Przypomniały mu się niedorzeczności zestawień w każdym słowniku czy też spisie alfabetycznym i spróbował przedstawić ten domysł towarzyszom.

— Wiem, rozumiem — powiedział Mercer. — Ramianie może by tak samo byli zdumieni tym, że my umieszczamy… ach…, kambr tuż obok kambuza.

— Albo but przy butanie — dodał Calvert po kilku sekundach wysiłku umysłowego. Można bawić się w tę grę godzinami. Zaczął podawać przykłady coraz jaskrawszej rozbieżności.

— No właśnie — potwierdził Norton. — Możliwe, że widzimy tu katalog trójwymiarowych obrazów… wzorców… litych rysunków

technicznych, jeżeli tak chcecie to nazwać.

— Jaki to może mieć cel?

— No, znacie teorię o biobotach, koncepcję, że one nie istnieją, dopóki nie są potrzebne, i że w razie potrzeby stwarza się je… syntetyzuje… według jakichś szablonów gdzieś zmagazynowanych.

— Rozumie — powoli, w zadumie powiedział Mercer. Więc Ramianin, kiedy potrzebuje biobota mańkuta, tylko przedziurkowuje należyty numer kodu i dostaje kopię wyprodukowaną według tego wzoru.

— Coś w tym rodzaju. Ale proszę, nie pytajcie mnie o szczegóły praktyczne.

Kolumny, między którymi szli, stawały się coraz grubsze i teraz miały już średnice dwumetrowe. Obrazy były odpowiednio większe; wyraźnie, z jakichś niewątpliwie ważnych powodów Ramianie lubili stosować skalę jeden do jednego: jeśli tak — zastanawiał się Norton — jak oni magazynują obiekty naprawdę duże?

Żeby przyspieszyć tempo pracy, obejmującej jak największy teren, wszyscy czterej rozeszli się wśród kolumn i robili fotografie, tak szybko, jak tylko zdążyli ogniskować kamery na tych ulotnych obrazach. Mam szalone szczęście powiedział sobie Norton, chociaż uważał, że zasłużył na to. Nie mogli wybrać lepszej budowli niż ten katalog ilustrowany ramiańskiego przemysłu. A przecież pod innym względem może trudno byłoby dokonać wyboru bardziej bezowocnego. Tutaj nie było rzeczywiście nic prócz nienamacalnych układów światła i cienia: te pozornie konkretne przedmioty w istocie nie istniały.

Ale nawet wiedząc to, Norton chwilami czuł prawie nieodparte pragnienie, żeby laserem wedrzeć się w głąb którejś z kolumn, wyjąć z niej coś materialnego do przywiezienia na Ziemię. Taki sam odruch — strofował się w duchu — nakazuje małpie chwytać odbicie banana w lustrze.

Fotografował coś, co wyglądało mu na aparaturę optyczną, gdy usłyszał wołanie Calverta. Natychmiast ruszył biegiem między kolumnami.

— Kapitanie! Karl… Will, popatrzcie!

Joe był aż nazbyt wielkim entuzjastą, ale teraz to, na co natrafił, mogło w pełni usprawiedliwić najbardziej niepohamowany entuzjazm.

W jednej z kolumn o dwumetrowej średnicy była kunsztowna uprząż czy też część munduru zrobiona wyraźnie dla stworzenia stojącego pionowo, o wiele wyższego niż człowiek. Bardzo wąska środkowa obręcz z metalu chyba opasywała owo stworzenie w połowie ciała czy tułowia, czy czegoś nieznanego ziemskiej zoologii. Od tej obręczy wznosiły się trzy cienkie pręty, coraz węższe, przymocowane końcami do drugiej idealnie okrągłej obręczy o

imponującej metrowej średnicy. Pętle, równo przy niej rozmieszczone, mógłby chyba być zakładane na górne kończyny, może ręce. Trzy…

Były przy tym liczne sprzączki, torby, ładownice, z których wystawały narzędzia (czy może broń?), rurki i przewody elektryczne, a nawet małe czarne skrzyneczki, które wyglądałyby zupełnie na miejscu w jakimś laboratorium elektronicznym na Ziemi. Cały ten układ był prawie tak złożony jak kombinezon kosmiczny, chociaż najwidoczniej stanowił tylko częściowe okrycie dla owego stworzenia, któremu służyło.

— Czy owo stworzenie to Ramianin? — zastanawiał się Norton. — Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Ale ono musi być inteligentne; żadne zwyczajne zwierzę nie uporałoby się z tak wymyślnym ekwipunkiem.

— Wzrost około dwóch i pół metra — powiedział Mercer — nie licząc głowy, czymkolwiek by to było.

— Z trzema rękami… i przypuszczalnie z trzema nogami. Taki sam projekt jak te pająki, tylko że na znacznie większą skalę. Czyżby zbieg okoliczności?

— Zapewne nie. My też projektujemy roboty na podobieństwo nasze. Dlaczego Ramianie mieliby robić inaczej?

Joe Calvert niezwykle przyciszony patrzył na ten eksponat prawie z bojaźnią i czcią.

— Jak myślicie, oni wiedzą, że mytu jesteśmy? — zapytał szeptem.

— Wątpię — odpowiedział Mercer. — Myśmy nie dotarli nawet do progów ich świadomości, chociaż niewiele brakowało, żeby odczuli starania Merkurian w tym kierunku.

Nadal stali tam i jakoś nie mogli odejść, gdy Pieter zawołał z Piasty gwałtownie, pełnym głosem:

— Kapitanie, lepiej wyjść stamtąd!

— Co się stało? Bioboty tu idą?

— Nie. Coś o wiele poważniejszego. Słońca gasną.

43. Odwrót

Gdy Norton pospiesznie wynurzył się z otworu, który wycięli laserem, wydawało mu się, że sześć słońc Ramy świeci jak przedtem. Chyba Pieterowi coś się przywidziało pomyślał — chociaż to do niego niepodobne.

Pieter jednak spodziewał się takiej właśnie reakcji.

— Gasną tak powoli — wyjaśnił nieomal przepraszająco — że nie od razu to spostrzegłem. Ale nie ma co do tego wątpliwości. Sprawdziłem to na mierniku. Natężenie światła zmalało o czterdzieści procent.

Teraz, gdy oczy już się oswoiły ze światłem po mrokach szklanej świątyni, Norton mógł Pieterowi uwierzyć. Długi dzień Ramy dobiegał końca.

Jeszcze było ciepło, ale Norton poczuł dreszcze. Kiedyś miał podobne przeżycie w piękny letni dzień na Ziemi. Niewytłumaczalnie zaczęło się ściemniać, jak gdyby słońce traciło swoją moc, czy też jak gdyby mroki spływały znikąd, bo przecież nie z nieba bez chmur. Potem sobie przypomniał, co to było — częściowe zaćmienie Słońca.

— A więc — powiedział ponuro — wracamy. Zostawcie całe wyposażenie. Już nam nie będzie potrzebne.

Tę ostatnią wyprawę w głąb Ramy przynajmniej pod jednym względem zaplanował chyba należycie. Wybrał do zbadania Londyn, ponieważ żadne inne ramiańskie miasto nie znajdowało się tak blisko schodów. Do podnóża schodów Beta mieli zaledwie cztery kilometry.

Ruszyli w drogę miarowym kłusem, czyli w sposób najdogodniejszy przy połowie przyciągania. Ustalił tempo, w którym, jak przewidywał, mogli przebyć te kilometry po równinie jak najszybciej, ale bez szczególnego zmęczenia. Dobrze pamiętał o następnych ośmiu kilometrach wspinaczki, ale też wiedział, że na schodach poczują się znacznie bezpieczniej.

Pierwszy wstrząs nastąpił, gdy już tam dochodzili. Był bardzo lekki i Norton instynktownie odwrócił się na południe, pewny, że zobaczy jeszcze jeden pokaz fajerwerków wokół Rogów. Ale zjawiska w Ramie chyba nigdy nie powtarzały się niezmiennie: jeśli ponad tymi iglicami zaczęły się jakieś wyładowania elektryczne, to zbyt słabe, żeby je było widać.

— Mostek! — zawołał Norton. — Odczuliście to?

— Tak, kapitanie. Bardzo mały wstrząs. Czy mogłaby to być znowu zmiana położenia? Obserwujemy żyroskopy… Nic na razie. Chwileczkę! Jest odczyt! Słabiutki… Niecały mikroradian na sekundę, ale trzyma.

A więc Rama przygotowuje się do obrotu, jakkolwiek powoli,

prawie niedostrzegalnie; wcześniejsze wstrząsy były tylko przygrywką, teraz jednak wydaje się, że czas nadszedł.

— Tempo wzrasta. Pięć mikroradianów. Hallo. Odczuliście ten wstrząs?

— Z pewnością. Zarządzić pogotowie. Może będziemy musieli oderwać się w jednej chwili.

— Czy możliwe, żeby to już była zmiana orbity? Jeszcze jesteśmy daleko od peryhelium.

— Może Rama nie stosuje się do naszych podręczników. Doszliśmy do Bety. Odpoczniemy pięć minut.

Pięć minut zgoła na odpoczynek nie wystarczało, a przecież dłużyło się okropnie. Widzieli wyraźnie, że światło przygasa i to coraz szybciej.

Chociaż mieli latarki, myśl o zapadnięciu ciemności stała się nie do zniesienia. Tak już przywykli do nie kończącego się dnia, że aż trudno im było sobie-przypomnieć warunki, w których zaczęli badać świat Ramy. Czuli teraz przemożne pragnienie ucieczki: wydostać się w blask Słońca o kilometr dalej za ścianą tego walca.

— Kontrola na Piaście! — zawołał Norton. — Czy reflektor działa? Może będzie nam zaraz potrzebny.

— Tak, kapitanie. Już go włączam.

Uspokajająca iskra rozbłysnęła na wysokości ośmiu kilometrów ponad nimi. Nawet przy dogasaniu dnia ramiańskiego była przedziwnie nikła, ale dotychczas przecież im służyła, więc w razie potrzeby miała ich poprowadzić i teraz.

To będzie — pomyślał Norton posępnie — najdłuższa i najbardziej denerwująca ze wszystkich naszych wspinaczek. Wiedział, że w żadnym wypadku nie można przyspieszyć tempa; wskutek przemęczenia po prostu osunęliby się gdzieś na tym zawrotnym zboczu i musieliby czekać, aż zbuntowane mięśnie pozwolą im ruszyć w dalszą drogę. Są obecnie jednym z najsprawniejszych, najbardziej zahartowanych zespołów, jakie kiedykolwiek wykonywały zadania w kosmosie, ale istnieją przecież granice ludzkiej wytrzym ałości.

Po godzinie nieprzerwanej żmudnej wspinaczki dotarli do czwartego odcinka schodów, na wysokość około trzech kilometrów od równiny. Odtąd miało być już o wiele łatwiej: przyciąganie zmalało do jednej trzeciej przyciągania ziemskiego. Chociaż zdarzały się niewielkie wstrząsy, żadne niezwykłe zjawisko nie nastąpiło i nadal było dostatecznie jasno. W przypływie otuchy zaczęli się nawet zastanawiać, czy nie wyruszyli na Piastę za wcześnie. Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości: powrotu w głąb Ramy już nie ma. Szli po równinie ramiańskiej po raz ostatni.

Gdy zrobili sobie dziesięciominutowy postój na czwartym podeście, Joe Calvert nagle wykrzyknął:

— Co to za odgłos, kapitanie?!

— Odgłos? Ja niczego nie słyszę.

— Gwizd w wysokiej tonacji. Stopniowo coraz niższy. Słychać go na pewno.

— Masz uszy młodsze niż ja… Och, teraz słyszę.

Ten gwizd zdawał się dolatywać zewsząd. Już głośny, potem nawet rozdzierająco głośny, potem coraz słabszy. Aż raptownie ucichł.

W kilka sekund później rozległ się znowu, tak samo stopniowany. Miało to w sobie żałosną natarczywość syreny z latarni morskiej, wysyłającej ostrzeżenia w mglistą noc. Pojęli, że to jest jakaś wiadomość tutaj, pilna wiadomość. Nie dla nich, ale też mogli ją zrozumieć. Wkrótce, jak gdyby nadając jej nieodwołalność, potwierdziły to same światła.

Przyćmiły się, prawie zgasły, po czym zaczęły błyskać. Świetliste paciorki jak kuliste pioruny toczyły się po sześciu wąskich dolinach, z których przedtem jasność zalewała ten świat. Sunęły od jednego do drugiego bieguna ku morzu w zsynchronizowanym jakimś hipnotycznym rytmie, który mógł mieć tylko jedno znaczenie. “Do morza!” — wołały te światełka. — “Do morza!” I ich wezwaniu trudno było się oprzeć; oni wszyscy doznali dziwnego wrażenia, że coś im nakazuje zawrócić, szukać zapomnienia w wodach Ramy.

— Kontrola na Piaście! — odezwał się Norton gwałtownie. — Widzicie, co się dzieje?

Pieter odpowiedział nieledwie zdjęty czcią, sądząc z jego głosu i dosyć przestraszony.

— Tak, kapitanie. Patrzę na ląd południowy. Tam są jeszcze dziesiątki biobotów… tych dużych także. Dźwigi, buldożery… Mnóstwo czyścicieli. Pędzą do morza, ale jak! Nigdy nie widziałem ich w takim ruchu. Jest jakiś dźwig… na samej krawędzi urwiska! Och! Leci w dół zupełnie jak Jimmy, tylko o wiele szybciej. Rozbił się. Przypływają rekiny, rozdzierają go w drobny… ojej, to nieprzyjemny widok…

Teraz patrzę na równinę. Jeden z buldożerów chyba stracił orientację… krąży w kółko i w kółko… Och! Dwa kraby zabierają się do niego, tną go na kawałki… Kapitanie, myślę, że powinniście wracać czym prędzej!

— Możesz mi wierzyć — powiedział Norton głęboko przejęty — że wracamy tak prędko, jak tylko możemy.

Rama uszczelniała swoje luki jak statek przed burzą. Takie wrażenie odnosił Norton, chociaż nie potrafił tego logicznie sobie wytłumaczyć. Nie bardzo już rozumiał. Był w rozterce — zdawał sobie sprawę z konieczności ucieczki i jednocześnie pragnął być posłuszny tym błyskom na niebie, nakazującym mu przyłączyć się do biobotów w ich marszu do morza.

Jeszcze jedna kondygnacja schodów — jeszcze jeden postój dziesięciominutowy, żeby toksyny zmęczenia usunąć z mięśni. Potem dalej w drogę — dwa kilometry do przejścia, ale starajmy się nie myśleć o tym…

Doprowadzająca do szału sekwencja gwizdów raptownie ustała. W tej samej chwili skończył się roztętniony pęd kulek ognistych po szczelinach prostych dolin ku morzu. Sześć liniowych słońc Ramy znów było nieprzerwanymi pasmami światła.

Ale gasły szybko, chwilami pełgając, jak gdyby ogromne bloki energetyczne były wyrywane ze swoich źródeł bliskich już wyczerpania. Od czasu do czasu lekko drżała powierzchnia pod nogami. Z mostku zameldowano, że Rama nadal obraca się powoli, niepostrzeżenie, jak wskazówka kompasu reagująca na słabe pole magnetyczne. To trochę uspokajało. Dopiero wtedy, gdy Rama przestanie się obracać, Nortona rzeczywiście powinien ogarnąć lęk.

Wszystkie bioboty już zniknęły, zameldował Pieter. W całym wnętrzu Ramy poruszały się jedynie istoty ludzkie wpełzając żmudnie po zaokrąglonej ścianie kopuły północnej.

Norton dawno już przezwyciężył zawrót głowy, jaki odczuwał przy pierwszym wchodzeniu, ale teraz dręczyła go nowa obawa. Jesteśmy tak bardzo bezradni tutaj w czasie tej nie kończącej się wspinaczki z równiny na Piastę myślał. — Co będzie, jeżeli Rama już zmieniła położenie i zacznie nabierać szybkości?

Przypuszczalnie odrzut Ramy nastąpi wzdłuż osi. Jeżeli w kierunku północnym, to nie ma żadnego problemu: trochę mocniej przyciągnie nas zbocze, po którym wchodzimy. Jeżeli jednak odrzut będzie w kierunku południowym, możemy wylecieć w przestworza Ramy i w końcu spaść hen w dół na równinę.

Próbował pocieszać się myślą, że przyspieszenie może być tylko bardzo słabe. Obliczenia doktora Perery są jak najbardziej przekonywające. Rama w żadnym razie nie zacznie nabierać szybkości z przyspieszeniem większym niż jedna pięćdziesiąta przyciągania ziemskiego, bo wtedy Morze Cylindryczne cofnęłoby się na wysokość urwiska południowego i zalałoby cały ten kontynent. No, ale Perera siedzi w wygodnym gabinecie tam na Ziemi, gdzie kilometry metalu nie wiszą mu nad głową wyraźnie gotowe, żeby się na niego zwalić. I kto wie, czy Rama nie została zaprojektowana do okresowych potopów?

Nie, to śmieszne. Niedorzecznością jest wyobrażać sobie, że wszystkie te biliony ton mogą nagle poruszyć się z dostatecznym przyspieszeniem, żeby nas strząsnąć. Niemniej już do końca schodów Norton ani na chwilę nie oddalał się od poręczy, która dawała mu jakie takie poczucie bezpieczeństwa.

Po całych wiekach schody się skończyły. Pozostało do przebycia

tylko kilkaset metrów drabiny pionowo osadzonej w ścianie. Po tym odcinku już nie musieli się wspinać, bo na Piaście przy szybko słabnącym przyciąganiu jeden człowiek mógł z łatwością nieść drugiego. Nawet u podnóża drabiny ważyło się niespełna pięć kilogramów; na jej szczycie praktycznie osiągało się nieważkość.

Więc Norton podciągany na linie odetchnął z ulgą, chwytając za szczeble tylko chwilami, żeby przeciwstawić się słabej sile Coriolisa, jeszcze próbującej odepchnąć go od drabiny. Prawie zapomniał o bólu zmęczonych mięśni, gdy po raz ostatni popatrzył na wnętrze Ramy.

Teraz było prawie tak jasno jak podczas pełni księżyca na Ziemi: widział całość zupełnie wyraźnie, ale nie mógł już zarejestrować drobniejszych szczegółów. Biegun południowy częściowo zasłaniała jarząca się mgiełka, sterczał z niej tylko wierzchołek Wielkiego Rogu — mała czarna kropka widoczna na wprost.

Starannie naniesiony na mapę, a przecież nadal nieznany ląd za morzem wydawał się taką samą przypadkową łataniną jak zawsze przedtem. Gdy się patrzyło z daleka, pełen złożonych szczegółów. Norton uznał, że nic mu nie da wpatrywanie się w tamtą stronę.

Powiódł wzrokiem po obręczy morza i dopiero teraz zwrócił uwagę na układ wzburzonej wody, tak regularny, jakby fale rozbijały się o rafy rozmieszczone w geometrycznych odstępach. Manewrowanie Ramy wywarło pewien skutek, ale to wzburzenie nie było duże. Norton nie wątpił, że sierżant Barnes popłynęłaby chętnie w takich warunkach, gdyby jej polecił przeprawić się przez morze wskrzeszoną jakimś cudem Decyzją.

Nowy Jork, Londyn, Paryż, Moskwa, Rzym… Pożegnał się z tymi wszystkimi miastami północnego kontynentu i miał nadzieję, że Ramianie wybaczą mu wszelkie szkody, jakich narobił. Może zrozumieją, że to wszystko dla dobra nauki.

Potem nagle już był na Piaście i ochocze ręce wyciągnęły się, żeby go pochwycić i prędko przesunąć przez śluzy. Zmęczone ręce i nogi drżały mu nieopanowanie. Jak na wpół sparaliżowany starzec rad był z tej pomocy.

Gdy schodził do środkowego krateru Piasty, niebo Ramy skurczyło się ponad nim. Potem drzwi wewnętrznej komory powietrznej odcięły ten widok na zawsze.

Jakie to dziwne — pomyślał — że noc zapada właśnie teraz, kiedy Rama znajduje się tak blisko Słońca!

44. Napęd kosmiczny

Sto kilometrów to bezpieczna odległość, zadecydował Norton. Rama była teraz ogromnym czarnym prostokąt przysłaniała Słońce całym swoim bokiem. Skorzystali ze sposobności, żeby skierować Śmiałka w zupełny cień, co odciążyło systemy chłodnicze statku, pozwalając dokonać koniecznych remontów.

Ochronny stożek cienia Ramy mógł zniknąć w każdej chwili, Norton chciał więc wyzyskać ten czas do maksimum. Rama nadal się obracała. Obróciła się już o prawie piętnaście stopni i trudno było wierzyć, że nie zanosi się na jakąś większą zmianę orbity. W Organizacji Planet Zjednoczonych podniecenie doszło do szczytu histerii, ale bardzo słabe echo tego docierało do Śmiałka. Załoga była wyczerpana fizycznie i emocjonalnie. Po wystartowaniu z bazy na biegunie północnym wszyscy oprócz wachty spoczynkowej przespali pełne dwanaście godzin. Nortonowi pani doktor Ernst zaleciła poddać się zabiegowi elektrouspokojenia, ale i tak śniło mu się, że wędruje po schodach nie mających końca.

Nazajutrz życie na pokładzie Śmiałka niemal wróciło do stanu normalnego: badania Ramy wydawały się już przygodą z jakiejś innej ery. Norton zaczął się pasować z nagromadzoną pracą biurową i robić plany na przyszłość; ale nie chciał nikomu udzielić wywiadu, chociaż prośby o to były nadsyłane do obwodów radiowych Nadzoru Przestrzeni Kosmicznej, a nawet Straży Kosmicznej. Z Merkurego żadnych wiadomości nie było, więc Zgromadzenie Ogólne Planet Zjednoczonych odłożyło obrady. Z tym że delegaci mieli być gotowi do zebrania się w ciągu godziny.

Norton dopiero w trzydzieści godzin po powrocie z Ramy zasnął zdrowym, spokojnym snem, ale prawie zaraz został z tego snu wyrwany. Zaklął bełkotliwie, otworzył zaspane oczy i zobaczył Karla Mercera. Od razu, jak przystało na dobrego dowódcę, całkowicie oprzytomniał.

— Przestała się obracać?

— Tak. Nieruchoma jak skała.

— Chodźmy na mostek.

Nikt na pokładzie Śmiałka już nie spał, nawet małpy wiedziały, że coś się święci, i popiskiwały niespokojnie, dopóki sierżant McAndrews ich nie uspokoił szybką znaną im gestykulacją. A przecież Norton, gdy wsunął się w swój fotel i zapiął pasy bezpieczeństwa, zastanowił się, czy to nie jest jeszcze jeden fałszywy alarm.

Rama teraz była krótkim grubym walcem, zza którego krawędzi wysunął się gorejący brzeżek Słońca. Norton wymanewrował Śmiałka delikatnie z powrotem w środek obszaru sztucznego zaćmienia i

zobaczył, jak perłowa wspaniałość korony Słońca ukazuje się ponownie na tle jaśniejszych gwiazd. Ogromna, o wysokości co najmniej pół miliona kilometrów, wzbijała się tak daleko, że jej górne odgałęzienia wyglądały jak drzewa z karmazynowego ognia.

Więc teraz musimy czekać — powiedział sobie Norton. Najważniejsze to być wciąż w pogotowiu do zareagowania w każdej chwili, utrzymywać wszystkie instrumenty gotowe do pomiarów, pilnować, żeby pracowały, i nie znudzić się tym czekaniem, choćby miało trwać bardzo długo…

To dziwne. Pole gwiazd się obracało, jak gdyby w takt wirowania statku. A on przecież nawet nie dotknął zespołu przyrządów sterowniczych; ruchy Śmiałka, gdyby jakiekolwiek były, wyczułby natychmiast.

— Kapitanie! — powiedział raptownie Calvert ze stanowiska nawigacyjnego. — Obracamy się, popatrz na gwiazdy! Ale przyrządy tego nie rejestrują!

— Żyroskopy działają?

— Normalnie… bez najmniejszych pląsów. Ale my się obracamy kilka stopni na sekundę!

— To niemożliwe!

— Oczywiście, że niemożliwe. Ale sam zobacz…

Gdy wszystkie inne przyrządy zawodzą, człowiek musi polegać na instrumencie, jakim są jego oczy. Norton już nie miał wątpliwości, że panorama gwiazd rzeczywiście powoli się obraca — oto Syriusz za lewą burtą. Albo wszechświat, stosując się znowu do kosmologii przedkopernikańskiej, nagle zdecydował się kręcić wokół Śmiałka, albo też gwiazdy się zatrzymały, a Śmiałek się obraca.

To drugie wytłumaczenie wydawało się bardziej prawdopodobne, były w nim jednak niewytłumaczalne paradoksy. Gdyby statek rzeczywiście obracał się w tym tempie myślał Norton — czułbym to przecież dosłownie przez skórę, jak się to mówi. I przecież trudno uwierzyć, żeby wszystkie żyroskopy zawiodły tak jednocześnie i niezależnie od siebie.

Pozostawało jedno jedyne rozwiązanie. Najwidoczniej Śmiałek każdym swoim atomem zdany jest na pastwę jakiejś wielkiej siły, a tylko potężne pole grawitacyjne może wywoływać taki skutek. Przynajmniej żadne inne znane pole…

Nagle gwiazdy zniknęły. To gorejący dysk Słońca, który już się wynurzył spoza tarczy Ramy, sprawił, że stały się niewidoczne.

— Możesz odczytać wskazania radaru? Co z efektem Dopplera?

Norton był w pełni przygotowany na to, że urządzenie radarowe także jest do niczego, ale mylił się.

Jak się okazało, Rama była wreszcie w drodze, przyspieszając w skromnym tempie piętnastu setnych grawitacji.

— Doktor Perera — powiedział Norton — będzie zadowolony. Przepowiedział maksimum: dwie setne. — Śmiałek jakoś schwytany w kilwater Ramy, po prostu unosił się jak szczątki na wodzie wirujące w kółko i w kółko za chyżym statkiem…

Mijały godziny, a przyspieszenie nie ulegało zmianie. Rama oddalała się od Śmiałka z prędkością coraz większą. I gdy tym samym odległość się powiększała, nienormalne ruchy Śmiałka powoli ustały: zaczęło znów działać prawo inercji. Można było tylko snuć domysły, rozmawiając o tych energiach, które ich na krótko pochwyciły. I Norton był sam sobie wdzięczny, że przesunął Śmiałka na bezpieczną odległość, zanim Rama włączyła napęd.

Co do natury napędu, jedno już było pewne, chociaż wszystko inne pozostawało tajemnicą. To nie dysze gazowe i nie strumienie jonów czy plazmy dają Ramie odrzut na jej nową orbitę. Najlepiej ujął tę sprawę sierżant-profesor Myron, gdy wstrząśnięty, pełen niedowierzania powiedział: — No i żegnaj, trzecie prawo Newtona.

Jednakże od trzeciego prawa Newtona musiał być Śmiałek zależny nazajutrz, gdy zużył do cna ostatnie rezerwy paliwa, żeby odchylić własną trajektorię dalej od Słońca. Zmiana położenia niewielka, ale dzięki temu jego odległość od peryhelium miała się powiększyć o dziesięć tysięcy kilometrów. Była to zatem różnica pomiędzy działaniem systemu chłodzenia statku przy dziewięćdziesięciu pięciu procentach mocy — a niewątpliwą ognistą śmiercią.

Gdy już dokonali tego manewru, Rama była oddalona o dwieście tysięcy kilometrów i trudno. by było wypatrzyć ją na tle tarczy Słońca. Ale wciąż jeszcze mogli uzyskiwać dokładne radarowe pomiary jej orbity. Im dłużej patrzyli na nie, tym większe ogarniało ich zdumienie.

Sprawdzali te liczby raz po raz, aż w końcu nie mogli już w żaden sposób odrzucić niewiarygodnego wniosku: wyglądało na to, że wszystkie obawy Merkurian, bohaterstwo Rodriga i retoryka Zgromadzenia Ogólnego były zbyteczne.

— Cóż za ironia kosmiczna — powiedział Norton patrząc na ostateczne wyniki swoich obliczeń — jeżeli po milionie lat pomyślnej nawigacji komputery Ramy popełniły jeden drobny błąd, może zmieniając znak w jakimś równaniu, wskazując minus zamiast plusa.

Dotychczas wszyscy byli pewni, że Rama wytraci prędkość, tak aby ulec przyciąganiu Słońca i zostać nową planetą Układu Słonecznego. Działo się wprost przeciwnie.

Nabierała prędkości — lecąc w najgorszym z możliwych kierunków.

Rama coraz szybciej opadała na Słońce.

45. Feniks

Gdy szczegóły nowej orbity Ramy stawały się coraz bardziej oczywiste, trudno było sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby uniknąć katastrofy. Tylko bardzo nieliczne komety przelatywały kiedykolwiek tak blisko Słońca: podczas peryhelium znajdzie się w odległości niespełna pół miliona kilometrów od tego piekła płonącego wodoru. Żadna materia stała nie wytrzymałaby temperatury takiego zbliżenia: twardy stop, z którego zrobiony jest kadłub, zacznie się stapiać w odległości dziesięciokrotnie większej.

Śmiałek ku uldze wszystkich minął peryhelium i powoli oddalał się od Słońca. Rama na bliższej i szybszej orbicie była daleko przed nim i wyglądało na to, że wleciała między najbardziej wysunięte odgałęzienia słonecznej korony. Jak z trybuny mieli ze swego statku zatem oglądać ostatnią scenę tego dramatu.

W odległości pięciu milionów kilometrów od Słońca, nadal zwiększając przyspieszenie, Rama zaczęła otaczać się kokonem. Dotychczas była widoczna przez najpotężniejsze teleskopy Śmiałka jako maleńki jasny pręcik; teraz zaczęła się iskrzyć jak gwiazda za mgiełką na horyzoncie. Prawie można by myśleć, że ulega dezintegracji. Norton widząc to, poczuł dojmujący żal wobec zagłady tylu cudów. Potem zrozumiał, że Rama tam jest, ale osnuta jakąś migotliwą mgłą.

Potem jednak już Ramy nie było. Świeciło w tym miejscu coś jak gwiazda nie mająca kształtu wyraźnego dysku jak gdyby Rama nagle skurczyła się w maleńką kulkę.

Pewien czas minął, zanim pojęli, co się stało. Rama rzeczywiście zniknęła; otaczając się, odbijającą Słońce, kulą o średnicy stu kilometrów.

Teraz mogli widzieć tylko odbicie samego Słońca na bliższej zaokrąglonej części Ramy. W tej ochronnej bańce Rama przypuszczalnie była bezpieczna: słoneczne piekło jej nie zagrażało.

Z godziny na godzinę bańka zmieniała kształt. Obraz Słońca wydłużył się, wypaczył. Kula stała się elipsoidą i jej długa oś była zgodna z kierunkiem lotu Ramy. To właśnie wtedy zaczęły napływać pierwsze niezwykłe meldunki z obserwatoriów robotów, stale, od dwustu lat bez mała obserwujących Słońce.

Coś działo się ze słonecznym polem magnetycznym wokół Ramy. Linie sił tego pola o długości milionów kilometrów, które przenikały koronę słoneczną i wymiatały z niej kłęby zjonizowanego gazu z prędkością będącą nieraz wyzwaniem nawet dla straszliwego przyciągania Słońca teraz ułożyły się wokół tej rozmigotanej elipsoidy. Z początku nic jeszcze nie było widać, ale orbitujące instrumenty

meldowały o każdej zmianie strumienia magnetycznego i promieniowania ultrafioletowego.

I wkrótce już zobaczyli nawet zmiany w koronie. Wysoko w zewnętrznej atmosferze Słońca ukazała się słabo jaśniejąca rura czy tunel o długości stu tysięcy kilometrów. Ów tunel lekko zachodził na orbitę Ramy. I zobaczyli, jak Rama — czy też ochronny kokon wokół niej — niczym migotliwy koralik leci coraz szybciej tym upiornym tunelem przez koronę.

Ponieważ Rama nadal zwiększała przyspieszenie, poruszając się teraz z prędkością dwóch tysięcy kilometrów na sekundę, nie ulegało kwestii, że nie zostanie jeńcem Słońca. Wreszcie strategia ramiańska stała się oczywista. Rama zbliżyła się tak bardzo do Słońca, żeby nabrać energii słonecznej z samego jej źródła i pospieszyć jeszcze szybciej w dalszą drogę do swego ostatecznego nieznanego miejsca przeznaczenia…

I wydawało się, że Ramianie pobierają tam nie tylko energię. Nikt nigdy nie mógł być tego pewny, bo najbliższe obserwatoria automatyczne były oddalone o trzydzieści milionów kilometrów, wiele jednak wskazywało, że materia płynęła ze Słońca do samej Ramy, jak gdyby uzupełniając przecieki i naprawiając szkody z okresu dziesięciu tysięcy stuleci w przestrzeni kosmicznej.

Coraz prędzej Rama sunęła koło Słońca — tak prędko doprawdy, jak żadne ciało przelatujące kiedykolwiek przez Układ Słoneczny. Po niespełna dwóch godzinach zmieniła kierunek o dziewięćdziesiąt parę stopni, dając nieomal wzgardliwie ostatni dowód swego całkowitego braku zainteresowania tymi wszystkimi planetami, na których tak gwałtownie zamąciła spokój umysłów.

I już spadała z płaszczyzny ekliptyki w głąb południowego nieba daleko poniżej równiny, gdzie wszystkie te planety się kręcą. Chociaż to chyba nie mogło być jej celem ostatecznym, wycelowana była prosto w Większy Obłok Magellana i otchłanną pustkę za Mleczną Drogą.

46. Interludium

— Proszę — powiedział machinalnie kapitan Norton, słysząc pukanie do drzwi.

— Bill, wiadomość dla ciebie. Chciałam ci to przekazać pierwsza, zanim załoga wda się w tę sprawę. I w każdym razie to jest mój dział.

Norton wciąż jeszcze przebywał duchem daleko. W świetle przygaszonym leżał z rękami splecionymi pod głową, z oczami przymkniętymi — nie drzemał, tylko był pochłonięty swoimi myślami, jakimś osobistym marzeniem.

Wreszcie mrugnął parę razy i ocknął się raptownie.

— Przepraszam, Lauro… nie zrozumiałem. O co chodzi?

— Nie mów, że o tym nie pamiętasz.

— Nie przekomarzaj się ze mną, ty jędzo. Mam ostatnio niejedną sprawę na głowie.

Lekarz pokładowy, pani doktor Ernst, podsunęła przesuwany na małych kółkach fotelik i usiadła obok Nortona. — Kryzysy międzyplanetarne mogą się zaczynać i kończyć, i znów zaczynać, a tryby biurokracji marsjańskiej kręcą się wciąż dalej. Ale przypuszczam, że Rama dopomogła. To dobrze, że nie musiałeś mieć pozwolenia od Merkurian także.

Już coś Nortonowi zaświtało.

— Och… Pozwolenie z Port Lowell?

— Lepiej. Pozwolenie zostało już wydane. — Laura zerknęła na pisemko, które trzymała w ręce. — "W trybie natychmiastowym — przeczytała. — Prawdopodobnie w tej właśnie chwili nowy pana syn zostaje poczęty. Gratulacje".

— Dziękuję. Brzdąc, mam nadzieję, nie będzie miał pretensji, że musiał czekać.

Jak każdy astronauta, Norton wstępując do tej służby poddał się sterylizacji; dla mężczyzny, który spędza lata w przestrzeni kosmicznej, mutacja spowodowana promieniowaniem nie stanowi ryzyka — to jest pewne. Spermatozoon, który teraz dostarczył transport genów na Marsa o dwieście milionów kilometrów, został zamrożony przed trzydziestu laty, do wykorzystania w odpowiednio wybranych momentach.

Norton zastanowił się, czy zdąży wrócić do domu przed narodzinami swego dziecka. Zasłużył sobie na odpoczynek, odprężenie — na takie normalne życie rodzinne, jakim może kiedykolwiek cieszyć się astronauta. Teraz, gdy ta misja była zasadniczo skończona, już zaczynał się odprężać i myśleć znów o sobie i obu rodzinach. Tak, miło będzie posiedzieć trochę w domu i pod wieloma względami nadrobić czas nieobecności…

— Przyszłam do ciebie — zaprotestowała Laura głosem dosyć słabym — służbowo.

— Po tych wszystkich latach — odpowiedział — znamy się chyba za dobrze na takie ceregiele. Tak czy inaczej, teraz nie jesteś na służbie.

— No, o czym myślisz? — zapytała pani doktor Ernst znacznie później. — Nie stajesz się sentymentalny, mam nadzieję.

— Nie myślę o nas. Myślę o Ramie. Zaczynam do niej tęsknić.

— Dziękuję bardzo za komplement.

Norton mocniej przytulił ją do siebie. Jednym z najprzyjemniejszych plusów nieważkości; stwierdzał nieraz, jest możliwość trzymania dziewczyny w objęciach rzeczywiście przez całą noc, bez obawy, że się zdrętwieje. W istocie dla niektórych astronautów kochanie się w grawitacji ziemskiej było czymś tak nieporęcznym, że trudno się rozkoszować.

— Wiadomo przecież, Lauro, że mężczyźni, inaczej niż wy, kobiety, potrafią myśleć o dwóch rzeczach naraz. Ale poważnie… no, trochę bardziej poważnie… naprawdę brak mi Ramy.

— Potrafię cię zrozumieć.

— Nie bądź taka drażliwa: nie tylko w tym rzecz. Och, nieistotne zresztą. — Zrezygnował. Niełatwo to wytłumaczyć, nawet sobie samemu.

Odniósł sukces przekraczający wszelkie rozsądne oczekiwania. Odkrycia dokonane przez jego podwładnych w Ramie dostarczą naukowcom materiału na dziesiątki lat. I przede wszystkim dokazał tego bez żadnych strat w ludziach.

Ale też poniósł porażkę. Można będzie tylko snuć domysły w nieskończoność, bo nadal zagadka pozostaje zagadką: jacy są Ramianie i jaki mają cel? Układ Słoneczny był dla nich stacją paliwa, punktem korekty trajektorii lotu nazywajcie to sobie jak chcecie — po czym, całkowicie nasze planety lekceważąc, podążyli dalej w jakiejś ważniejszej swojej sprawie. Prawdopodobnie nigdy nie będą nawet wiedzieli o istnieniu ludzkości: taka monumentalna obojętność boli bardziej niż wszelkie rozmyślne obelgi.

Gdy Rama, maleńka gwiazdka, odlatująca w przestrzeń poza Wenus mignęła po raz ostatni, Norton pojął, że pewna część jego życia już się skończyła. Miał lat zaledwie pięćdziesiąt pięć, ale czuł, że zostawił swoją młodość tam, na zaokrąglonej równinie, wśród ramiańskich tajemnic i dziwów, teraz ulatujących nieubłaganie poza zasięg człowieka. Jakiekolwiek osiągnięcia i zaszczyty przyszłość mu przyniesie, nigdy już nie będzie wolny od uczucia szarzyzny i zawsze będzie go dręczył żal nad utratą wspaniałych okazj i.

Tak sobie wtedy powiedział; ale nawet wtedy nie powinien był

być taki niemądry.

Tymczasem na dalekiej Ziemi doktor Carlisle Perera jeszcze nikomu się nie zwierzył, że obudził go z niespokojnego snu meldunek nadany przez jego podświadomość, wciąż jeszcze brzmiący mu w uszach:

— Ramianie robią wszystko potrójnie.